Z PRZED LAT SZEŚĆDZIESIĘCIU.

DZIENNIK MAŁEJ PATRJOTKI

(MARYJKI BOHOWITYN KOZIERADZKIEJ)

1860-65

(ŻYCIE POLSKIE NA KRESACH UKRAINNYCH. KRZEMIENIEC, KIJÓW, POWSTANIE 63 ROKU).

ZEBRAŁA MARJA ŚWIDERSKA.

Nakładem księgarni J. Pisza w Tarnowie.

SUPREME HOUSE OF THE ORD. OF FR. AND ACC.
CONEY ISLAND, N.Y.

PRZEDMOWA

Ogłaszając „dzienniczek" z autentycznych wspomnień młodziuchnej Krzemieńczanki, chcemy dać młodemu pokoleniu (a może i starszym) pamiątkę minionych czasów i obraz życia, uczuć i nastrojów ludzi ówczesnych pod zaborem rosyjskim, zwłaszcza na Kresach ukrainnych; wychowania w rodzinach polskich, a przedewszystkiem pielęgnowania patrjotyzmu, którego uosobieniem, niejako, jest mała Krzemieńczanka, dojrzewająca duchowo pod wpływem wydarzeń, na które patrzy i w których potroszę udział bierze. W atmosferze domu rodzinnego przechował się ten duch niespożyty miłości Ojczyzny i nie dał się stłumić wiekowym uciskiem; przeciwnie, tem mocniej się krzewił i rozkwitał przy każdej sposobności.

Wierne tu znajdziemy odbicie społeczeństwa polskiego w pamiątkowym Krzemieńcu, a także Kijowa, jakim był przed sześćdziesięciu laty, oraz powstania 63-go roku w Kijowszczyźnie.

Liczne przypiski, po części osobiste, a głównie historyczne i biograficzne, rozszerzają widnokrąg „dzienniczka", dostarczając zajmujących a ważnych szczegółów. *S.*

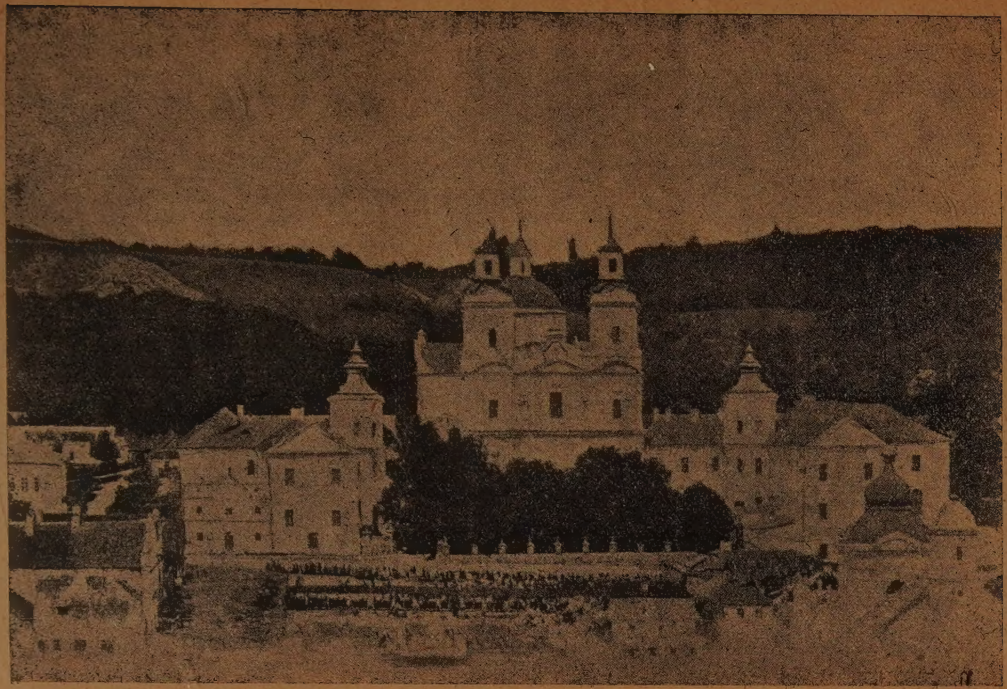

KRZEMIENIEC — BUDYNKI I KOŚCIÓŁ LICEALNY.

W Krzemieńcu, 2 stycznia 1860.

Kilka razy zaczynałam pisać swój dzienniczek i porzucałam to, ale teraz pomyślałam sobie, że miałabym niejedną ciekawą rzecz do zapisania, a kiedyś, kiedyś — może się przyda dla moich dzieci, albo wnuków; może się z pamiętniczka mego dowiedzą czegoś, o czem mądrzejsi ludzie nie pisali, albo zapomnieli. Z jakąż przyjemnością czytałam, jeszcze będąc zupełnie małą, Wspomnienia p. Ewy Felińskiej, która tak łatwo pisze, jakby rozmawiała. Więc i ja się postaram opowiadać, ale nie tylko o sobie i rodzinie, lecz więcej o zacnych i mądrych ludziach, których znam, o tem, co się w naszej kochanej Ojczyźnie dzieje. Ale taki dzienniczek trzeba będzie dobrze chować, żeby go policja nie wytropiła, bo teraz, w niewoli, — nawet nam dzieciom nie wolno Ojczyzny kochać, ani uczyć się o niej, a w szkołach wszystko po moskiewsku i język nasz zakazany. I to się dzieje przecież w takim Krzemieńcu moim rodzinnym (a urodziłam się w rok po śmierci Juljusza Słowackiego, Krzemieńczanina, zmarłego na emigracji, w Paryżu 1849 r., w czterdziestym roku życia [1]), gdzie było sławne na całą Polskę Liceum, przez Tadeusza Czackiego założone (a teraz uczą się tam popowicze moskiewscy, zabrawszy piękny gmach licealny i ogród botaniczny i kościół na cer-

[1]) Matka Słowackiego, pani Bécu, była przyjaciółką moich rodziców; pamiętam ją, gdy mię malutką brała na kolana. Umarła 1854 r.

kiew. Zabrali i piękny kościół Franciszkanów, wsadzając na wieże brzydkie, cebulaste, złocone banie, żeby każdy widział zdaleka, że to moskiewska cerkiew). Przecież w tem Liceum był celującym uczniem Tatuńcio mój ukochany (Aleksander Bohowityn Kozieradzki), a kiedy je ukończył, mając lat siedemnaście, zamiast korzystać z przyznanego sobie stypendjum (im. Lerucha), poskoczył do powstania 31-go roku. Dowódzcą na Wołyniu był Karol Różycki; — w bitwie pod **Boremlem** blisko Łucka, Tatuńcio został rannym i jeńcem, a gdy nieco ozdrowiał, Moskale wysłali go w „sołdaty", t. j. na żołnierza gdzieś aż pod Kazań, na pogranicze Azji. — Młodziutki, ładny, żwawy, rumiany jak jabłuszko chłopczyk (tak później wspominali Tatuńcia koledzy), powrócił wprawdzie po trzech latach, ale już nigdy zdrowia nie odzyskał. Uwolniono go dzięki prośbom, które młodsza siostra jego (C. Kamilcia) podawała do cesarzowej, żony okrutnego Mikołaja I, uwzględniając niby małoletność jeńca i Tatuńcio wstąpił do Akademji Medycznej w Wilnie (gdzie jeszcze znał sławnego Andrz. Śniadeckiego i t. d.) razem z Chałubińskim. Potem osiadł w ukochanym, choć już tak bardzo zmienionym Krzemieńcu, ożenił się z Mamusią (Julją z Pfaffiusów, także siostrą powstańca, Gustawa bar. Pf.), był podobno znakomitym i bardzo dla biednych (nawet żydów) litościwym lekarzem, kochał niezmiernie swoje dwoje dzieci (zwłaszcza córeczkę, którą bardzo pieścił), i umarł mając zaledwie lat 47, drogi nasz Ojciec.

Luty 1860 r.

Jeszcze za życia Tatuńcia zaczęli wracać do Krzemieńca rozmaici wygnańcy z Sybiru, ułaska-

wieni z ciężkich robót przez nowego cara (Aleksander II po Mikołaju, zmarłym, czy jak mówią w sekrecie, otrutym w czasie wojny Krymskiej 1855 r.). Ojciec mój zostawił pamiętniki, ale najciekawsze z nich, właśnie o powstaniu 31-go roku i t. p. całe dwa tomy spisane spaliła niestety Ciocia ze strachu przed policją, która często odbywała rewizje po domach obywatelskich, szukając zakazanych rzeczy polskich. Muszę ja dobrze ukrywać ten dzienniczek, jeśli się ma kiedyś dostać do rąk moich dzieci! — Niedawno opisywałam (jużto ja zawsze mam żyłkę do pisania) podróż naszą na Ukrainę, pierwszą w mem życiu (w starym naszym koczu krytym, 4-ma końmi pocztowemi) i mówiłam, żem już oddawna marzyła o „zielonej Ukrainie", ale że ktoś dał to wydrukować w pisemku dla dzieci w Warszawie, — cenzor Moskal wykreślił „Ukrainę" i wypadło, że pewna dziewczynka marzyła o zielonej „gubernii Kijowskiej"... Uśmieliśmy się z tego, ale czyż nie okropne, że nie wolno nam było nawet kochać Ukrainy czy Wołynia, tylko gubernje moskiewskie?...

Między wygnańcami z Sybiru był uczony wielce Dr Antoni Beaupré, który jeszcze Mamcię znał małą dziewczynką, a teraz jej córeczkę (Marynię, to jest mnie właśnie) polubił, dawał mi piękne książki (zwłaszcza historyczne) do czytania, uczył grać w szachy i opowiadał nam nadzwyczaj ciekawe rzeczy z wygnania. — On właśnie, wraz z p. Gasprem Maszkowskim, Wujem Adolfem Roszkowskim i innymi należał do spisku Konarskiego (któryto potajemnie zajmował się oświatą ludu na kresach naszych t. j. Litwie, Wołyniu, Ukrainie). — Wiadomo, że szlachetny Szymon Konarski został uwięziony i powieszony, a p. A. Beaupré i G. Maszkowski mieli

już stryczek na szyji, gdy nadbiegł „kurjer od cara“ z ułaskawieniem, t. j. pognano ich pieszo (szli przez parę lat) na Sybir do pracy w kopalniach. P. Gasper wspominał nieraz z żalem, że w chwili, gdy mu stryczek założono, połknął ukryte pod językiem 200 rubli asygn., „żeby się Moskalom nie dostały“ — no! i przepadły.

Takto żartowali z siebie nieraz nasi Sybiracy, opowiadając różne anegdotki z niewoli i życia swego na Syberji. Szkoda, że ich tu powtórzyć nie mogę, ale miejscaby nie starczyło. Siostra Mamy, C. Adolfowa Roszkowska, mogłaby dopiero ciekawe napisać pamiętniki, bo jeździła za mężem do Irkucka i tam się urodziły ich dzieci (Staś i Luta), moje kochane rodzeństwo cioteczne, a najstarsza Wandzia zostawała w kraju, bo „car miłosierny“ nie pozwolił żeby dziecko niewinne cierpiało za zbrodnie rodziców i chciał je dać na wychowanie do Smolnego Monastyru, jak to robiono, porywając dzieci wygnańców naszych. Synków ich wysyłano do kadeckich korpusów w Petersburgu i dalej, żeby tam zapominali, iż są Polakami, żeby nie znali mowy swej, ani wiary.

Wandzi nie dano Moskalom, ale różnych znajomych naszych synowie rosną tam gdzieś w moskiewskich korpusach. Może ich tam Bóg ustrzeże śród wrogów [1]).

Między Sybirakami, którzy odwiedzali Krzemieniec i u nas przesiadywali, jak Kisiel, Niemirowski, Kossakowski, Agaton Giller i inni, był także p. Holsztyn, zawsze milczący, smutny i jakby wpatrzony z przerażeniem gdzieś daleko. Koledzy mó-

[1]) Czytać: „Dziecko polskie w latach niewoli i walk“; zebr. Reuttówna. Wilno 1920 r.

wili, że go męczono i bito w głowę. To okropne — a niektórych bito knutami (to bicz z żelaznym końcem) i kijami, tak, że ciało odpadało i oni we krwi padali martwi. To wszystko za to, że Ojczyznę kochali i wyswobodzić ją chcieli. — Kiedy się o tem wszystkiem nasłuchałam, płakałam bardzo w nocy i modliłam się, żeby Bóg policzył te ofiary i kiedyś, kiedyś wrócił nam wolność tej Ojczyzny ukochanej. Mówią, żeśmy dużo złego zrobili przez dumę i samowolę, ale możemy się poprawić i chyba nikt tak nie kocha swego kraju, jak my, Polacy, naszą umęczoną Ojczyznę. I jabym tak chciała dla niej coś uczynić, ale mąk takich okropniebym się bała, — a nasi powstańcy i spiskowcy na wszystko to się narażali, i kobiety-Polki szły na walkę i na męczeństwo (Emilja Plater, Szczaniecka, Makryna Mieczysławska ze swemi Bazyljankami, o której Słowacki napisał poemat, i wiele innych). Staram się uczyć po polsku, kogo mogę tylko, a przyjaciółka Mamci, droga nasza pani Antoniowa Roguska w Nowym Stawie uczy dzieci we dworze, służbę i wieśniaków, naturalnie w tajemnicy, bo uwięzionoby ją i wygnano gdzieś na Sybir za to.

Kwiecień 1860 r.

Jakże się cieszę! Mateczka sprowadziła dla mnie z Warszawy dzieła Mickiewicza w 8-miu tomach. Podobno cenzura dużo wykreśliła, zwłaszcza z poematu „Dziady"; także z „Pana Tadeusza", ale przynajmniej został opis bitwy z Moskalami w Soplicowie. I takie tam cudne opisy Litwy, lasów, krajobrazów, ludzi tamtejszych, nawet grzybów i przysmaczków, chmur, słońca... Widać, jak poeta kocha tę swoją ojczyznę (woła: „Litwo, ojczyzno moja...", bo przecież od trzystu lat Litwa kochana i Polska

to jedno. I Kościuszko tam się urodził i Niemcewicz, którego „Śpiewy historyczne" tak bardzo lubię i tylu innych znakomitych Polaków), jak tęskni za nią nawet w pięknym Paryżu, gdzie mieszkać musi z wielu innymi emigrantami. Nie pozwolą mu wrócić Moskale, bo napisał jeszcze w Rosji będąc swój śliczny poemat „Wallenrod", który mi się nadzwyczajnie podoba. Smutno jest, że ten mężny rycerz musiał zdradzać, bo zdrada i kłamstwo to szkaradne rzeczy; ale cóż, kiedy nie mógł inaczej obronić ojczyzny od podłych Krzyżaków. I oni przecież ciągle kłamali, zdradzając to hasło krzyża Chrystusowego, które sobie obrali. I Mickiewiczowi smutno było, że ucisk i gwałt zmusza nawet do kłamstwa, choćby dla ratowania ojczyzny. To też Wallenrod martwi się, jest nieszczęśliwym, ale widzi, że innej drogi niema; zresztą przypomina mu ten obowiązek zemsty Halban, wieszcz (niby Mickiewicz); więc on wygubia wojsko wrogów, a potem sam ginie i jego ukochana Aldona. — Słyszałam, jak to wszystko tłumaczył Tatuńcio, który całego Wallenroda umiał na pamięć. Ale nie wszyscy to rozumieją. — Podobno teraz, gdy wstąpił na tron po srogim Mikołaju car Aleksander II, zmniejszył się trochę ucisk i pozwalają drukować książki polskie; niby za to, że Polaków tylu walczyło w czasie wojny krymskiej w wojsku moskiewskiem. Walczyli, bo musieli, ale pewno im się tego nie chciało.

Teraz car oswabadza chłopów, nibyto ze swojej łaski i tak im to tłumaczy; nawet w Częstochowie wznoszą mu pomnik przed samą Jasnogórą, tak, że pielgrzymi padając na twarz na widok cudownego miejsca, wyglądają, jak gdyby bili pokłony przed carskim pomnikiem. Tacy chytrzy są ci Moskale. A tymczasem wiadomo, że nasi obywatele w Polsce

i na Litwie dawno już pragnęli nadać wolność włościanom i udawali się o to do Petersburga, ale rząd nie pozwalał, a gdy nalegali, wielu ich ukarał, wysyłając w głąb Rosji, a majątki każąc sprzedawać Moskalom. Działo się tak z naszymi przyjaciółmi i krewnymi. — Niedość, że nas wrogowie zakuli w kajdany, ale jeszcze szkalują przed światem i przed naszym własnym ludem, któremu wmawiają, że go car musi bronić przed panami.

Odeszłam daleko od Mickiewicza, rozgadawszy się o tych smutnych rzeczach. Dodam tylko, że Mateczka często sprowadza książki z Warszawy (od Merzbacha) lub Rygi (Kymmel), ale mamy i tutaj księgarnię Goldenberga; żyd to, ale poczciwy, jak wielu innych żydów krzemienieckich, którzy pamiętają Liceum nasze i Tadeusza Czackiego; są nawet jeszcze tacy, co widzieli Napoleona!

Czerwiec 1860 r.

Wczoraj chodziliśmy na górę Czerczę do Matki Boskiej, której posąg kamienny tam się wznosi, a wokoło na całej górze kwitną białe gwoździczki, cudnie pachnące. W dni krzyżowe idzie procesja do posągu i ślicznie to wygląda ze światłami i różnobarwnemi chorągwiami, jak wąż ogromny wijący się po zielonej górze. — Na stoku góry jest kilka domków z ogrodami, ale najciekawsza to chata Mińczuka z pierogami. Za czasów licealnych całe gromady studentów przychodziły tu zwykle w sobotę raczyć się wybornemi, z serem i doskonałą żółciuchną, gęstą śmietaną pierogami, które się zamawiało na kopy, a jeden studencik zjadał pół kopy i więcej tych pysznych pierożków pszennych lub hreczanych. I panowie profesorowie nie gardzili tym przysmakiem, zwłaszcza prof. Uldyński, który jeszcze teraz

do nas przychodzi czasami (i zażywa tabakę z wielkiej tabakiery). Inni profesorowie powymierali, albo się powynosili do uniwersytetu kijowskiego, gdzie już musieli uczyć po rosyjsku. A byli to ludzie znakomici, np. Euzebjusz Słowacki, ojciec Juljusza, Józef Korzeniowski, który takie piękne powieści pisze i inni. W małym domku niedaleko nas mieszka prof. malarstwa p. Bonawentura Klembowski, który zrobił śliczny pastelowy portrecik mego nieżyjącego braciszka Julcia i lubi przepowiadać pogodę. — W pięknym Nowym Stawie, dokąd w lecie często jeździmy, mieszka prof. Wyżewski z córką swą, kochaną p. Antoniową Roguską, jej mężem i dziećmi, ale nie mogę o tem wszystkiem pisać.

Krzemieniec jest śliczny, bo miasteczko ze swemi białemi domami i wieżami kościołów dawnych leży w kotlinie, otoczone wieńcem pięknych gór. Z tych jedna uwieńczona ruinami zamku królowej Bony[1]), nosi tę nazwę, najwyższa, tuż obok Czerczy. Inna znów Dziewiczą zwana, bo miał tam być klasztor panien, dziś zasypana ogromnemi głazami, które podobno rzucili djabli, zamierzywszy się na klasztor i uciekli, bo kur zapiał. — Jest góra Krzyżowa, najlepiej widziana z naszego ogrodu. — Naprzeciw, przedzielone od niej wąwozem, wznoszą się wspaniałe góry, usypane ze ślicznego, srebrzysto-białego piasku, w którym znajdujemy drobne muszelki, więc musiała tu być kiedyś woda. Cóż to za rozkosz staczać się po tym piasku i bawić się w nim; a oprócz białego, jest i jakiś niebieskawy i żółto-pomarańczowy, którym wyszorowane podłogi wyglądają jak

[1]) Zamek był z XIII w., ale przebudowany w XVI w. przez Bonę, do której należało starostwo Krzemienieckie, jak i wiele innych. Wszędzie gospodarzyła skrzętnie.

malowane. — Inne góry już nie mają nazwy, ale są także piękne i zarosłe zielenią i drzewami, śród których kryją się futory z sadami, pasiekami i t. d. Chodzimy tam czasem na majówkę do naszej mleczarki, lub innych znajomych mieszczan.

A trzeba wiedzieć, że mieszczanie i drobna szlachta w okolicy Krzemieńca, to bardzo sympatyczni ludzie, w największej części Unici, których rząd prześladuje i nie pozwala im wyznawać ich wiary, zmuszając do prawosławia. Zapisują ich popi o długich włosach i brodach do swoich ksiąg, a potem zmuszają brać śluby w cerkwi, chrzcić dzieci na prawosławie i dać się grzebać popom. A oni poczciwi sami nie chcą się temu poddać i znoszą wszelkie prześladowania. — Nasza dawna służąca, Józia, poszła zamąż za Unitę, biorąc ślub w jakimś ukrytym polskim kościółku, a potem tajemnie córeczkę swoją ochrzciła. Ale popi to wyśledzili i kiedyś, wracając do domu z roboty, dowiedziała się, że wpadł pop do izby z djakiem i ochrzcił jej dziecko po swojemu. Oburzona matka porwała dziecinę z płaczem i zaczęła jej czołko szorować piaskiem, żeby zmyć, jak mówiła, wszelki ślad tego oleju czy chryzmu, którym pop krzyż prawosławny nasmarował. Nie mogła jednak biedaczka wymazać napisu w księdze cerkiewnej, gdzie małą Józinkę zapisano jako prawosławną Agafję. — Dużo było dziewcząt, które nie mogąc się przekraść przez granicę na t. zw. krakonskie śluby, wcale zamąż nie wychodziły i, ubrane skromnie, śpiewały ślicznie w czasie nabożeństw w naszym kościele[1]).

Mówiłam już, że piękne nasze kościoły zabrano na cerkwie: otóż przez lat dwadzieścia nabożeństwo

---

[1]) vid. Przyp. lit. g.

katolickie odprawiało się w starym jakimś domu przy ulicy Ogrodowej, gdzie zrobiono niby kaplicę w dużym pokoju z podłogą z próchniejących desek i tak tam było strasznie ciasno, że większość modlących się stała na schodach i na dziedzińcu. Teraz dopiero wykończa się kościół, wymurowany ze składek, z dwiema wieżami, ale wcale nie tak piękny, jak te zabrane świątynie, tylko dość obszerny. Jest tam nasza ławeczka i dla mnie małe krzesełko.

Wrzesień 1860 r.

Wszyscy znajomi i nawet nieznajomi schodzą się do nas, żeby oglądać taką nowość nadzwyczajną: oto lampę kamfinową. Pokazuje się, że niedawno w jednej wiosce w Galicji wytrysnęło źródło w kącie chaty jednego chłopa, ale nie wody, tylko jakiegoś oleju. Drzewo tem oblane paliło się wybornie, a jakiś aptekarz z miasteczka sąsiedniego, dowiedziawszy się o tem, nabrał w butelkę tego płynu i zawiózł do Lwowa, gdzie mądrzejsi jeszcze od niego panowie spróbowali płyn oczyścić, a kiedy nalany do lampy palił się lepiej niż oliwa, nazwali to olejem skalnym (petroleum), kamfiną albo naftą i zaczęli szukać innych źródeł podobnych. Otóż mieszkający także we Lwowie pp. Januszewscy[1]), krewni Juljusza Słowackiego, a przyjaciele moich rodziców, postanowili mi posłać tę niespodziankę. — Przed tygodniem zjawił się u nas jeden pan stamtąd, przywożąc wspaniałą lampę, daleko większą niż

[1]) Pani Euzebjuszowa Sł. matka Juljusza, poślubiła Dra Bécu w Wilnie, a dwie jej pasierbice, Aleksandra i Hersylja, pieściły małego Julka (o tem w „Godzinie myśli"); Hersylja poszła za Teofila Januszewskiego (brata swej macochy); dużo jest o nich i do nich w Listach Słowackiego.

wszystkie oliwne, jakie widziałam, z bronzową niewiastą, która dźwiga wazę na głowie, a do tej wazy nalewa się kamfina z dużej bani i zapala się gruby knot tam wkręcony, naturalnie osłoniony kominkiem i okrągłym szklanym kloszem. Lampa ta świeci jak słońce i ogromnie się nią cieszyliśmy, a braciszek mój Zygmuś wykonywał wokoło stołu jakiś dziki taniec z radości i stawał na głowie, bo on i to potrafi. Cóż to za porównanie z temi świecami łojowemi, których się zwykle u nas dwie paliło na stoliku i które trzeba było co kilka minut „objaśniać" (Francuzi mówią: „moncher" une chandelle — ładna rzecz), a nawet ze stearynowemi świecami. Nic dziwnego, że wszyscy Krzemieńczanie przychodzą lampę naszą podziwiać.

Październik 1860 r.

Jakaż to przyjemność! Przyjechał do nas teatr polski i będzie dawał przedstawienia. Dziwna rzecz, że policja na to pozwoliła, ale cieszymy się wszyscy nadzwyczajnie. Niema tu żadnego gmachu stosownego na teatr, więc urządzono scenę w domu zajezdnym, t. j. w wielkiej szopie, gdzie się mieszczą stajnie, wozownie, ach i nawet chlewiki. To też w czasie przedstawienia, gdy piękny Gustaw ze „Ślubów Panieńskich" Fredry rozmawiał z elegancką Anielą, nagle odezwało się żałosne beczenie kozy i przeraźliwe gdakanie spłoszonych kur z poza kulis; ale to nikomu humoru nie popsuło.

Grano także zabawną sztukę „Majster i Czeladnik", był balet „Wesele w Ojcowie" i inne ładne polskie sztuczki. Szkoda, że za parę tygodni aktorzy wyjadą, żeby odwiedziwszy kilka innych miasteczek, powrócić do Żytomierza. Tam jest teatr Miłaszewskiego stale, a miasto ładnie położone nad Te-

terowem jest niby stolicą naszego Wołynia (guberuji wołyńskiej, jak to Moskale nazywać każą).

Bywają też i koncerty w Krzemieńcu; kiedyś nawet, ale to za dawnych lepszych czasów, przyjeżdżał tu sławny Liszt i śpiewała Catalani, której nazwisko dano jednej z ulic, ale nie wszyscy byli z tego zadowoleni.

20 października 1860 r.

Wczoraj wieczór był u nas kochany nasz Sybirak, Dr Antoni Beaupré i tyle ciekawych rzeczy opowiadał. On do nikogo ze znajomych nie jest podobny: bardzo śniadej twarzy o wydatnych rysach i czarnych, jak węgle oczach, ma także długie, kruczе ze srebrnemi nitkami, w puklach do ramion sięgające włosy i wygląda srogo napozór, ale gdy się uśmiechnie, to zaraz widać, że on taki dobry i mądry zarazem. Pomimo francuskiego nazwiska (urodził się w Kołomyi, z czego sam żartuje), jest gorącym patrjotą polskim; mówiłam już, że miał być powieszonym, a na Syberji długie lata spędził. Jako doktor medycyny dużo dobrego ludziom robił i Moskale go szanowali, ale zajmował się z upodobaniem historją i utworzył bibljotekę całą dla wygnańców naszych na Syberji (w Nerczyńsku). Powracając do kraju, musiał zabrać stamtąd dużo książek, bo nie było ich komu zostawić; a że jest bardzo łaskaw na mnie, daje mi do czytania różne mądre rzeczy historyczne.

Pan Antoni, jak go Mamcia nazywa, opowiada ciekawe szczegóły o życiu wygnańców, których tamtejsi ludzie, lepsi od tutejszych Moskali, otaczali szacunkiem. Nawet dozorcy kopalni zwalniali czasem od robót podziemnych słabszych skazańców naszych; oni zaś pobudowali sobie domki i gospodar-

stwa, a że mało kto był tak szczęśliwy, jak Wuj Adolf Roszkowski, do którego przyjechała na Sybir żona (młoda, piękna, wykształcona i gospodarna), więc musieli sami gospodarować po kolei. I tak: mądry pan doktor, przypasawszy fartuch, siekał kotlety albo lepił pierogi w kuchni; wojowniczy pan Gasper doglądał drobiu i świnek, a koledzy śmiejąc się, przypominali, jak niosąc cebrzyk z żywnością dla paciuczków, odwracał głowę i deklamował z uniesieniem ustępy z „Marji" Malczewskiego („Czy Marja ciebie kocha, mój drogi, mój miły?"....), napisanej wtedy właśnie i przesłanej z kraju dla wygnańców. Był między nimi i ksiądz (Hass) i literat (Giller) i wielu innych, a wszyscy pracowali w osadzie swojej, kopali i uprawiali ogród, choć to niełatwo na Syberji, gdzie lato krótkie, a zimy takie długie i srogie. Wieczorami gawędzili, wspominając kraj rodzinny i więzienne męki, śpiewali pieśni, a był i poeta Gustaw Ehrenberg[1]). Był zacny Karol Podlewski, który się tam ożenił później z młodziutką Józią Brynkówną, córką kolegi wygnańca, Jerzego Brynka. Nieraz bywało im wesoło: kochali się między sobą i krzepili nadzieją powrotu do ojczyzny, czego nie wszyscy doczekali.

W innym „pryisku" (tak nazywają kopalnie złota i t. p.) pracował wuj Adolf R. a ciocia Antolcia urządziła domek, w którym wieczorami schodzili się „katorżnicy" nasi (to znaczy ci, co w ciężkich robotach podziemnych pracowali). Ciocia dawała lekcje córce bogatego kupca tamtejszego, a zarobione w ten sposób pieniądze obracała na dom i przyjęcia sobot-

---

[1]) Szlachetny patrjota, myśliciel i poeta, tłumacz Dantego i t. d. Za powrotem ożenił się z p. Pancerówną. Z dwóch jego synów znany Kazimierz Ehr. redaktor i publicysta.

nie, kiedy najwięcej wygnańców się schodziło. Opowiadała nam nieraz, jak sama szorowała podłogę, piekła chleb i nastawiała samowar, żeby gościom niczego nie brakowało. A herbaty mnóstwo tam piją na Syberji: najczęściej w „prykuskę", to znaczy z malutkim kawałeczkiem cukru, który się trzyma w ustach popijając gorącą herbatą. I ja się od naszych Sybiraków krzemienieckich nauczyłam „prykuski", tylko że wtedy nic jeść nie można do herbaty. Goście Wujostwa nieraz niańczyli małą Julcię lub Stasia, kiedy ich Mama gospodarowała. — Tam podobno bardzo trudno o mleko, zwłaszcza w zimie: dostaje się w krążkach zamarzniętych, a śmietankę z mleka zeskrobuje się nożem. Jeżeli przypadkiem zawędruje zdaleka jabłko, to podaje się pokrajane w krążeczki, jak cytryna i każdy bierze po plasterku. Pytałam, czy nasi panowie piszą pamiętniki o swojem życiu, ale mało który ma ochotę do tego, oprócz Wuja Justynjana Rucińskiego (także Konarszczyka) i p. Aleksandra Bielińskiego, który piękne listy pisywał do Cioci Roszkowskiej. A ja taka jestem śmiała, że piszę ten niby pamiętnik, ale to dla moich dzieci, bo przecież je kiedyś będę miała?

25 października 1860 r.

Wczoraj zjawiła się u nas dziewczynka w moim wieku prosto z Paryża jadąc z matką, która ma być nauczycielką w bogatym domu na wsi (zdaje się u hr. Tarnowskich czy Ledóchowskich). To dziwne, że ona nic nie wie o Polsce: myśli że to Rosja! A my tak lubimy Francuzów, uczymy się ich historji, geografji, cieszymy się, że teraz tam panuje Napoleon, że ma piękną swoją cesarzową Eugenję i synka Lula. Rodzice wypisują francuską „Illustration", a tam takie ładne bywają rysunki: widziałam koły-

seczkę małego Lula i wizerunek jego mamy w takiej szerokiej, szerokiej krynolinie! I ja mam krynolinkę, ale nic lubię jej, bo mię stalki, pozawlekane dla sztywności, kaleczą nieraz aż do krwi, kiedy włażę na drzewo, a przyznam się, że to wielka przyjemność siedzieć sobie na rozłożystej jabłoni w naszym kochanym ogrodzie i nawet z książką tam wygodnie. Mam też swój osobny ogródek.

Ale zapominam mówić o Francuzeczce Lolotte, jak ją nazywają. Otóż, doprawdy, u nas dzieci rozumniejsze, bo przecież wiedzą, co się u nich w kraju dzieje i więcej kochają swoją ojczyznę, może dlatego, że Polska nasza taka nieszczęśliwa. Lolotta opowiadała tylko o swoich lalkach, o teatrze marjonetek, a ojczyzna dla niej to Paryż. Zabawna dziewczynka. A czyta tylko „Malheurs de Sophie" lub coś podobnego. Prawda, że i ja to czytałam kiedyś, ale nie lubię tych głupich i złośliwych dzieci, jakie tam występują. Wolę komedyjki Berquin'a, albo historyczne powiastki Eugénie Foa, ale sto razy ładniejsze nasze polskie rzeczy Klementyny Tańskiej, albo „Pierścionki Babuni" przez Wojnarowską, choć tam są za poważne dla mnie ustępy, bo ta Babunia pisze rady dla swoich czterech wnuczek, dając im po pierścionku; najmłodsza z nich Józia i tej „pierścionek" najwięcej mię interesuje.

Teraz (1860 r.) zaczęła wychodzić nasza polska illustracja: „Tygodnik Illustrowany" i Mamcia to zaraz zaprenumerowała, a mnie wolno przeglądać i czytać; są tam i rebusy ciekawe, które odgaduję. Lolotka przywiozła gościńce z Paryża od jednego Wujka, który tam mieszka od czasów powstania: dla mnie książeczkę ładną (ale za dziecinną); dla Zygmusia lalkę, ślicznego żuawa francuskiego w turbanie i szerokich pantalonach; ale on wolałby sza-

belkę, bo jest wojowniczy i żywy strasznie, ma dopiero sześć lat, a wybiera się do powstania, jak tylko będzie jakie.

Ale co jest ciekawego, to to, że Lolka jechała koleją żelazną, którą my znamy tylko z opisów, bo od nas daleko do tej drogi żelaznej, którą zrobiono (przed paru laty zdaje się) z Warszawy do Petersburga[1]) i gdzie wielki parowóz ciągnie za sobą cały szereg wagonów, jak to widziałam na obrazku, a ludzie wyglądają przez okienka tak zabawnie, jakby stali w klatce w menażerji.

Mieliśmy tu w Krzemieńcu przeszłej zimy wspaniałą menażerję ze słoniem ogromnym (z którym się poprzyjaźniłam tak, że mię ciągnął za sukienkę, jeśli mu nie przyniosłam jakich przysmaczków), ze lwami i tygrysami, z żywym krokodylem i olbrzymim wężem. Niedźwiedzie to widuję często, bo każdej prawie zimy przyprowadza jednego lub dwa nawet człowiek, który im każe pokazywać sztuki różne, ciągnąc za łańcuch przewleczony kółkiem przez nos biednego Misia i mówiąc, że ten się uczył w „Smorgońskiej akademji". Człowiek ten od niedźwiedzi mówi dziwnym jakimś językiem: moskiewskim, polskim i litewskim czy białoruskim, wszystko razem pomięszane.

Zapomniałam powiedzieć, że kolei wprawdzie nie mamy, ale zaczęto i u nas wbijać wysokie słupy z porcelanową czareczką u góry, przez którą przechodzi drut żelazny. Otóż po tym drucie mają prze-

---

[1]) W całym kraju pod rządem Rosji istniała tylko kolej warszawsko-petersburska i warszawsko-wiedeńska, także moskiewsko-petersburska; w Galicji koleje od Zachodu kończyły się we Lwowie, a komunikacja cała z Kijowem odbywała się pocztą.

biegać depesze, t. j. wiadomości i niby listy, nie rozumiem jeszcze w jaki sposób, ale muszę gdzieś przeczytać. Nazywa się to „telegraf“ i w mgnieniu oka przenosi wiadomości zdaleka.

Jeszcze jeden wynalazek poznaliśmy, ale to już parę lat temu; nazywa się „dagerotyp“, czyli portreciki, które robi samo słońce na blasze, albo na ceracie (panotypy). Wyglądają, jak gdyby w lusterku odbite i nie zacierają się, tylko trudno je dojrzeć, bo się mienią i jakby mgłą zachodzą; trzeba je trzymać za szkłem. Mamy takie portreciki dagerotypowe (to wymyślił Francuz Daguerre), a mój Rodzice w medaljoniku zrobić kazali i pokolorować, tak że Maryjka ma różową buzię i żuawkę pąsowo wyszywaną. Cały Krzemieniec się dagerotypował, choć p. Klembowski mówi, że takie słoneczne malowidło nic nie warte.

26 października 1860 r.

Wczoraj byliśmy na zebraniu u p. Ludki Prawdzic Kuczalskiej. Po herbacie starsi poszli do ciemnego pokoju i zasiedli przy małych krągłych stolikach, które podobno zaczynają się kręcić i tańcować, gdy się na nich ręce trzyma. Przy innym znów stoliku siedzi jedna pani i ma przed sobą arkusz białego papieru, a w ręku ołówek; a chociaż nic nie widzi, bo ciemno w pokoju, nagle zaczyna pisać i to po łacinie (chociaż nie umie), albo w innym jakim języku, albo też robi dziwaczne rysunki na tym papierze. Nie każda osoba może to robić, ale niektóre choć nie chcą, to muszą. Nazywa się to spirytyzm. Bardzo byłam ciekawa tego i chciałam się wsunąć do pokoju, ale Mamcia mówi, że to zupełnie niestosowne dla dzieci i nawet myśleć o takich rzeczach nie trzeba, więc się pocieszyłam zabawą z małemi

dziećmi, którym bardzo lubię matkować, chociaż sama nieraz dokazuję i figle płatam rozmaite. Ulubienicą moją jest mała Helenka Kuczalska[1]), kilka lat młodsza odemnie, taka roztropna i grzeczna dziewczynka, zawsze ładnie ubrana i piękne wierszyki mówiąca.

Wróciwszy do domu zastaliśmy list z Paryża od Wujka Gustawa Pfaffiusa (to nie jest, broń Boże, nazwisko niemieckie, bo rodzina Mamusi pochodzi ze Szwecji i Kurlandji), co to po powstaniu musiał zagranicę wyjechać, a teraz obiecuje nas odwiedzić: ma podobno śliczną córkę, Lily, o kilka (może i dziesięć) lat starszą odemnie, a chcącą się uczyć po polsku, bo dotąd była wychowana we Francji i Anglji. Inny Wuj, dalszy już, Choński, którego ojciec Michał Choński był profesorem Liceum naszego, zfrancuział podobno zupełnie i nawet listów po polsku nie pisuje. Mój Boże, a inni Wujowie na Sybirze w kopalniach się męczą i ciągle tylko o swej ojczyźnie myślą i mówią. Jedna znów ciotka Mamy była żoną generała barona Rosena, który dowodził wojskiem rosyjskiem przeciw powstaniu 30-go roku, gdzie walczyli jej siostrzeńcy i inni krewni. Jak to smutno! Teraz generał nie żyje, a Babunia owa w Warszawie mieszka i wychowuje swoją wnuczkę małą Helcię, późniejszą panią Paderewską, sierotkę, bo jej matka, Greczynka, umarła, a ojciec gdzieś zaginął. Takie to mieszaniny w rodzinie naszej, ale najwięcej mamy dobrych Polaków-patrjotów.

Jest tu w naszem sąsiedztwie dziewczynka ode-

[1]) Później znana w kraju patrjotka i działaczka na polu pedagogji. Prowadziła Zakład gimn. szwedz. rytmicznej i t. p. w Warszawie — pisała — zajmowała się pedologją, instytucjami Dziecięctwa i t. d. Po wielkiej wojnie (1918) osiadła w Toruniu, krzewiąc polszczyznę.

mnie młodsza, Maniusia Drużyłowska, której matka umarła, a ojciec niema czasu nią się zajmować, a że w Krzemieńcu jest tylko szkoła rosyjska, więc jej tam nie posyła. Uczy się trochę Maniusia na pensyjce (pani Scholińskiej), a w niedziele i święta ja ją zabieram do siebie i czytujemy różne dobre książki polskie, które jej też do domu pożyczam, żeby się nauczyła naszej historji i innych ciekawych rzeczy[1]).

Ja sama dużo się uczę, ale po większej części sama, bo Mamcia zajęta i często cierpiąca. Wieczorami czytam z nią głośno rozmaite poważne książki (np. Catéchisme de Persévérance X. Gaume'a w 4-ch grubych tomach, albo Historję powszechną i polską Lelewela), na które sama nie miałabym cierpliwości; ale za to nad innemi rzeczami ślęczę po całych dniach i nawet raniutko wstaję, żeby nadążyć; w zimie to nawet przy świeczce raniutko piszę jakieś tłumaczenie, np. pięknej powieści „Cola di Rienzi" Bulwera, którą czytałam po niemiecku (z angielskiego) i tak mi się podobała, bo Rienzi to także bohater, walczący o wolność swego ludu w Rzymie, gdzie go uciskały dwa rody magnackie (Colonna i Ursini). W końcu ginie Rienzi, ale zasłużył na to. Gdybym to ja potrafiła kiedyś pisać historyczne powieści[2]).

---

[1]) Dziewczynka ta wyjechała później do Warszawy, a dorósłszy, poślubiła szewca-poetę p. Kłobukowskiego. U pp. Kł. co sobota zgromadzało się kółko przyjaciół, rzemieślników i innych, a po skromnej składkowej herbatce czytano poezje, śpiewano, dzielono się ważnemi wiadomościami z gazet i t. p. Pani Kł. spotkawszy kiedyś swą niegdyś młodziutką a dziś siwowłosą nauczycielkę, dziękowała jej serdecznie za rzucony niegdyś posiew miłości ojczyzny i poezji.

[2]) Spełniło się marzenie autorki dzienniczka, a z pomiędzy pism jej dla młodzieży: „Opowiadania historyczne" niezmiernie były lubiane, czytane i prześladowane przez cenzurę rosyjską.

Teraz jest we Włoszech żywy bohater-patrjota Józef Garibaldi, walczący o zjednoczenie kraju swego, który jest podzielony między różnych panujących, a w dodatku Austrjacy trzymają kawał tej pięknej ziemi. Nie wiem, jak się to skończy, bo nieprzyjaciół ma dużo Garibaldi, ale u nas bardzo się nim interesują: wszędzie są jego portrety, a panie noszą bluzy czerwone, nazwane garybaldkami, bo on takie nosi. I ja mam bluzkę taką; daleko ją wolę, niż te obcisłe staniki na fiszbinach, w których wyglądam, jak mała dama. Gdyby to jeszcze i krynolinki można się pozbyć.

Niedawno zaczęłam się uczyć fizyki z francuskiej książki Ganot; z początku było mi trudno, ale teraz wszystko rozumiem, dzięki wybornym rysunkom i nawet robię małe doświadczenia, które się udają.

Geografję lubię bardzo: rysuję cierpliwie mapy rozmaite i czytam podróże (np. Arago) po lądach i morzach. Także Trypplina czytałam, ale on podobno kłamie, więc nie wiem czemu wierzyć?

Zapomniałam powiedzieć, że oddawna, bo od sześciu lat życia uczę się muzyki i tak dużo ćwiczyć się muszę, aż trzy godziny dziennie; to też nie bardzo to lubię i często grając, patrzę przez okno na chmury, a palce same wystukują egzercycje z Nowakowskiego, albo Czernego. Nauczyciel mój, p. Michał Müller[1]) ma lat 80, bardzo rozumny i taki dobry dla mnie: gram z nim na 4 ręce fugi Bacha i inne

[1]) Ciekawym trafem miała autorka dzienniczka za nauczycieli muzyki po kolei trzech Millerów, a wszyscy wyborni muzycy i kompozytorowie nawet. Drugim był Konst. Miller; trzecim (w Lublinie) Jan Nepomuc. Müller. Później córka jej była wybornąą muzyczką.

poważne rzeczy, a czasem na skrzypcach oboje gramy z nut; ale ja bardzo mało umiem. Dawniej podobno zabawnie wyglądało, jak poważny taki starzec, biały jak gołąbek, a obok niego malutka (bo ja drobna jestem i szczupła) dziewczynka wywijali smyczkiem. Przy fortepianie kazał mi nóżki trzymać na stołeczku, bo wtenczas jeszcze do ziemi nie dostawałam. Teraz to co innego!

Rysować lubię, zwłaszcza widoczki, ale z natury nie potrafię, tylko ze wzorków i niema komu mię uczyć, bo umarł p. Hycke (Arkadjusz!), Polak z Ameryki tu przybyły, a on mówił, że mam zdolności. Co to za zdolność, jeśli patrząc na nasze śliczne góry, nie potrafię ich narysować, ani namalować? I kwiaty najlepiej z wzorków kopjuję bardzo cierpliwie i dokładnie.

27 października 1860 r.

Ogród nasz tak lubię: ciągnie się on na wzgórzu i dzieli się na trzy części: przed oknami i parapetowemi drzwiami mamy terasę pełną klombów i kwiatów; stoki jej obłożone trawnikiem i po schodkach się na nią wchodzi. Dalej, za szpalerem wysokim malin jest ogród warzywny; a na prawo od obu największy — to sad owocowy z alejkami ładnie gracowanemi i dużą altaną z jabłoni. Ciągnie się coraz wyżej, a z ławeczki ostatniej właśnie mamy widok na góry, otaczające wspaniałym wieńcem miasteczko nasze. Lubię tam siedzieć pod wieczór, „dumać", jak to mówią poeci, a czasem wierszyk ułożę, ale nie tak piękny, jakbym chciała.

W ogrodzie tym mamy wyborne jagody (maliny, truskawki, porzeczki białe, różowe i pąsowe, agrest) i owoce, a drzewka wiśniowe są tak małe, że na ziemi stojąc, obrywać je można; najmniejsze

z nich należą do Muchy (tak nazywamy Zygmusia), a wyższe do mnie i mamy prawo zrywać z nich owoce dla siebie, dla Mamci i dla gości, których częstujemy. Są śliczne tyrolki, gruszki bery, winiówki, panny i bergamotki, ale najwięcej śliw — renkłod i pysznych węgierek, które się zajada, a jesienią suszy na rożenkach (z kminkiem), albo smaży się powidła. To najciekawsze, bo w ogrodzie wykopują dół, rozpalają ognisko, a nad niem ustawiają duży kocioł, pełny śliwek, które długo muszą się wysmażać, a kucharz (Daniel poczciwy) mięsza je łopatką na długim drągu osadzoną. Robią też u nas marmoladę z agrestu, z czarnych wiśni i różne wyborne konfitury, ale to już w kuchni.

Mamy też w domu najrozmaitsze zwierzątka: koni już niema od śmierci Tatuńcia, ale jedna krówka, wychowanka nasza została; pasie się w ogrodzie i przychodzi, kiedy ją zawołać (a nazwałam ją Belotka, tak jakoś z francuska); mamy psy, śliczne kotki i mnóstwo królików białych z czerwonemi, jak rubin oczkami i szarych z niebieskiemi; kanarki i rozmaite inne chwilowe wychowanki, ale za długo byłoby o tem wszystkiem gawędzić; przecież mam rzeczy ważniejsze do powiedzenia.

28 października 1860 r.

Pokazuje się, że cesarz (Aleksander II) pozwolił wrócić do kraju emigrantom naszym z zagranicy, ale podobno to pozwolenie takie ubliżające, że mało z nich chce zeń korzystać. Przyjechał jednak pewien pan i opowiadał ciekawe rzeczy, jak to Francuzi w czasie wojny (Krymskiej 1853—1856 r.) z Rosja przemyśliwali o wskrzeszeniu Polski, ale Anglja temu przeszkodziła, choć na pozór zgadzała się, a podmawiali ją niegodziwi, jak zawsze Prusacy[1]). Pan

ten miał ze sobą tom poezyj Zygmunta Krasińskiego, a że go nie mógł zostawić, więc na gwałt przepisywaliśmy, co się dało i nawet Mamcia pozwoliła mi do północy siedzieć, żeby ukończyć. Przepisałyśmy „Resurrecturis" i „Psalmy" — prześliczne, choć ja jeszcze nie wszystko tam rozumiem; (podoba mi się jednak więcej niż np. „Ojciec zadżumionych" Słowackiego).

Z. Krasiński nie wróci już do kraju, bo i on umarł zagranicą, właśnie w 10 lat po kochanym naszym Juljuszu Słowackim, a w 4 lata po Mickiewiczu (t. j. w 1859 r.), a żaden z nich nie był starym, tak, że straciliśmy wszystkich trzech wieszczów naszych. Pamiętam i rok ich urodzenia, bo mam wyborną papamięć do dat[2]) i wierszy.

Pan R. mówił nam także o Towiańskim, którego Mickiewicz tak kochał i uważał za proroka i prawie za świętego. I inni emigranci nasi czczą Towiańskiego, który nakłania wszystkich do życia pobożnego; przybył on z Litwy do Paryża i jest podobno nie bardzo uczony, ale pisze książeczki o miłości Boga, bliźniego i ojczyzny (np. „Biesiada"), a najuczeńsi ludzie go słuchają.

29 października 1860 r.

W tych dniach miała Mamcia list od p. Aleksandra Jabłonowskiego[3]), którego poznaliśmy na Ukrainie w Kozińcach (blisko Tulczyna) u Wujostwa Roszkowskich. Przyjeżdżał konno z młodymi Brzo-

[1]) vid. Przyp. lit. x.

[2]) Zachowała ją autorka Dz. do późnego wieku i jeszcze w 70 roku życia wykładając historję, literaturę i t. p. sypała datami, jak z rękawa, zestawiając wypadki i epoki.

[3]) vid. Przyp. lit. a.

zowskimi, których był nauczycielem: wszyscy ogromnego wzrostu, na takich pięknych koniach, wyglądali jak rycerze z giermkami. Ojciec tych młodzieńców, p. Zenon Brzozowski, odbywał podróż na Wschód razem ze Słowackim (może widział i Ojca zadżumionych? nie wiem). Matka zaś ich to p. Eliza z Zamoyskich, wielkiej zacności osoba (bywała często w Kozińcach u C. Antolci). Dawniej był u nich nauczycielem p. Szczęsny Feliński, syn tej p. Ewy Felińskiej, której Pamiętniki tak lubiłam, ale teraz wyjechał zagranicę i podobno księdzem został. Otóż p. Al. Jabłonowski, Ukrainiec prawdziwy, chociaż się urodził w Królestwie, jest ducha rycerskiego, a przytem bardzo uczony: szczególnie się interesuje historją i geografją Ziem Ruskich, a jest gorącym patrjotą polskim. Od niego to dowiedziałam się ciekawych szczegółów o naszym rodzie i nazywał mię żartem „malutką Bohowitynówną". Mieli oni rozległe dobra na Wołyniu (np. Szumbar blisko Krzemieńca, Szumsk i t. d.), ale najwięcej mię to ucieszyło, że jakaś moja pra-pra-prababka Zofja z Czartoryskich Bohowitynowa w 15-tym wieku jeszcze tłumaczyła Pismo święte; nie pamiętam tylko z jakiego języka (podobno z greckiego?). Może ja po niej dziedziczę to upodobanie do tłumaczenia?

W Kozińcach także bywał uczony geograf, narzeczony siostry mojej ciotecznej, Wandzi, prof. Aleksander Szumowski, od którego nauczyłam się tak lubić geografję. Kiedyś wykładał całemu naszemu domowemu towarzystwu bardzo zajmująco, a tak przystępnie, że ja, choć mała (10 lat), rozumiałam wszystko. Pewno Wandzia się cieszy, że ma tak mądrego męża. Przytem opowiada on takie zabawne anegdotki, a mnie kazał siebie nazywać po imieniu.

30 października 1860 r.

Cieszymy się, bo ma przyjechać Wuj Justynjan Ruciński, ale nie z Żytomierza, gdzie mieszka z żoną swoją, kochaną Ciocią Lucysią, pięknie grającą i kompozytorką (Mazur, Polonez i t. p.), ale prosto z Warszawy. Tam podobno ważne rzeczy się dzieją, o których w gazetach nie piszą. Dowiemy się.

Listopad 1860 r.

Był Wuj Justynjan — bawił tylko trzy dni, ale co wieczór u nas zbierali się panowie patrjoci, t. j. p. Beaupré, p. A. Roguski z Nowego Stawu i inni. Ja siedziałam cichutko na małej kanapce w naszym saloniku i przysłuchiwałam się, a nawet robiłam zapiski w notesiku moim, a teraz spróbuję to spisać, bo to jak gdyby historja, dla dzieci moich.

Ten car Aleksander II[1]) wydawał się dobrym z początku (tak, jak kiedyś Aleksander I), ale to tylko na popis, bo kiedy po swojej koronacji w Petersburgu przybył do Warszawy (1856 r.) niby „król polski", bo przecież taki tytuł nosi ten Moskal, — a przedstawiła mu się szlachta, chcąc podać adres (z prośbą o amnestję dla wygnańców, o poprawę szkół, o język polski w urzędach i t. p.) bardzo grzecznie ułożony (przez Aleksandra mgr. Wielopolskiego — doprawdy, o samych Aleksandrach piszę!...), to car nie przyjął wcale adresu, zaś przyjmując panów polskich w Belwederze i w pałacu Łazienkowskim[2]), mówił, że jest życzliwie dla kraju usposobiony, ale zatwierdza politykę swego ojca (niego-

[1]) vid. Przyp. lit. b: „Zabytki polskie".

[2]) Wspaniały w guście Odrodz. pałacyk zbudowany i ozdobiony przez Stan. Augusta, otoczony pięknym parkiem. Zrabowany przez Moskali w czasie wielkiej wojny (1914—18).

dziwego Mikołaja I) i „Point de rèveries!" to znaczy: precz z marzeniami! Zostawił także władzę namiestnicza w Królestwie wrogowi Polaków, Pawłowi Muchanowowi, który wprawdzie tego tytułu nie nosił, ale wyręczał starego gen. Gorczakowa. — Przedtem był namiestnikiem ks. Paskiewicz, okrutny zdobywca Warszawy (po r. 1831), ale umarł w mękach (widząc nad sobą ducha matki Zawiszy Artura, przeklinającej tyrana, który jej syna powiesił) na zamku 1856 r. w lutym.

Także ogłaszając amnestję, car napisał, że przebacza „chwilowe obłąkanie tym, co ojczyzny bronili, a słowa te tak ich oburzyły, że i wracać nie chcieli. Majątków skonfiskowanych nie oddano, a nawet nowe zabrano tym Polakom, którzy dopomogli powstańcom węgierskim przeciw Austrji (1848 r.). — Unitów na nowo zaczęto prześladować, że nie słuchają ukazu mikołajowskiego (z 1842 r.) i to tak okropnie, że w Dernowiczach (koło Witebska) i Porowcewie (w Grodzieńskiem) męczono kobiety i dzieci, a kilku chłopów skonało pod rózgami. — Nie mogłam słuchać tego opowiadania i głośno się rozpłakałam, aż Mamcia chciała, żebym wyszła z pokoju, ale Wuj Ruciński przyczynił się za mną. „Niech wie dziecko, co się w Ojczyźnie dzieje" — mówił — „a kiedy dorośnie, to innym dzieciom opowie, co słyszała i widziała, bo w szkołach ich tego nie nauczą z pewnością"... Więc zostałam i będę niby kronikarz, tylko że prawdziwy kronikarz nie mówi podobno, co sam o czemś myśli, a ja nie mogę wytrzymać, by nie wyrazić swego żalu albo radości.

Otóż car nie pozwolił mianować biskupa unickiego (w Chełmie), a naszym arcybiskupem w Warszawie został X. Fijałkowski, już 80-letni starzec; widziałam jego portret: siwy, jak gołąbek.

Tych obywateli, którzy chcieli włościan nauczać, albo ziemię im nadawać, rząd karze — wysyła w głąb Rosji, albo w więzieniu zamyka. Inni, nic mogąc nic robić dla kraju, próżnują, hulają; na Podolu i Ukrainie nazywają takich paniczów „bałagułami“ — mówi Wuj R. — Ale są i bardzo zacni ludzie[1]), np. w Królestwie p. Andrzej Zamoyski z Klemensowa, który powiada, że bluźni przeciw sprawiedliwości Bożej ten, kto sądzi, że żyje w czasach zbyt trudnych, zmuszających go do nieczynności. On też zakrzątnął się tak, że (za pomocą starego, nawpół ślepego, ale poczciwego widać, księcia Gorczakowa namiestnika, uzyskał carskie pozwolenie i założył w Królestwie polskie Towarzystwo rolnicze[2]) (1857 r.). Zjeżdżają się teraz do niego obywatele i nietylko radzą, jak najlepiej ziemię uprawiać, ale zakładają ochronki wiejskie dla dziatwy, szkoły rzemieślnicze i nawet pocichu elementarze drukować dają. A rząd właśnie wtedy zezwolił na wydanie dzieł Mickiewicza (1858 r.), które i ja od Mamy dostałam.

W Kijowie wypędzono niegodziwego jenerał-gubernatora Bibikowa, a zamiast niego jest jest ks. Wasylczykow, podobno lepszy dla Polaków. W Wilnie gubernatorem jest Nazimow, wielki hulaka: wydaje bale i zaprasza Polaków, zachęcając, żeby się

[1]) W Warszawie zgromadzają się patrjoci w salonach pp. Ilnickich (ona poetka) i Narc. Zmichowskiej, np. Józ. Kajetan Janowski, J. Majkowski, Toczyński, Zuliński i inni. „Sybiracy“ t. zw. skupiają się około Kaz. Ruprechta (co z J. I. Kraszewskim redag. „Gazetę Codzienną“) i Ag. Gillera, red. „Kmiotka“ i Czytelni Niedzielnej. Śród mieszczan rej wodzą: Dr Chałubiński, Kronenberg, Natanson, Szlenkier przemysłowiec, szewc Hiszpański i inni.

[2]) vid. Przyp. lit. c.

zjawiali w kontuszach z karabelą przy boku. Pełno też na Litwie urzędników Polaków i na Białorusi.

28 listopada 1860 r.

Przerwano mi pisanie, bo przyszedł dziad z lirą, a ja to tak lubię i wynoszę mu rozmaite przysmaczki z kuchni. Dziad ślepy siada na ziemi i przebierając palcami po strunach swojej liry, śpiewa rozmaite smutne pieśni po małorusku, czyli jak u nas się mówi „po chłopsku". Moja niania śpiewała i wesołe piosenki małoruskie, np. „Handzia ciacia — Handzia ptyczka — Handzia luba mołodyczka" i t. d., albo „U susida chatka biła"..., ale to podobno nasi Polacy ułożyli, a lud się od nich nauczył. — Nasz dziad z lirą pochodzi z Mińkowiec, a niedaleko ztamtąd jest wieś Cyranka — okropna wioska, bo tam fabryka kalek! Niegodziwi ludzie tamtejsi odrazu małe dzieci robią kalekami, łamiąc im rączki lub nóżki, oczy psując i t. p., żeby je potem wysyłać na żebraninę, co przynosi podobno duże zarobki. — Trudno wierzyć, żeby coś podobnego się działo na świecie. Ale nasz dziadek nie w taki sposób oczy stracił: oślepł po ospie, a teraz chodzi po kraju z lirą swoją, a wszyscy mu dają chętnie, co mogą. On mnie nazwał „pannuńcią Maryjką" i zaraz głos mój poznaje.

Ale ja miałam opowiadać o Litwie i to bardzo smutne rzeczy. Jest w Wilnie niegodziwy zdrajca (renegat), dawniej ksiądz unicki, Józef Siemaszko[1]),

[1]) Ks. Józef Siemaszko, renegat, prześladowca Unji, wysłał tajny memorjał 1855 r. do rządu o niebezpieczeństwie grożącem od Polaków, oskarżając Nazimowa, że się łączy ze stroną „bogatą i wpływową". Wskutek donosu tego nakazano urzędy dawać tylko Rosjanom, ale Nazimow potrafił temu przeszkodzić, zwłaszcza, że urzędnicy z Rosji nasłani, byli do niczego.

który przyjął prawosławie i teraz jeszcze podżega rząd przeciwko Polakom na Litwie, szpieguje ich i szkodzi, gdzie może. O mało nie wydalono przez niego wszystkich urzędników Polaków z Litwy, ale jakoś Nazimow temu przeszkodził, bo mówi, że Moskale, co przybywają, to sami złodzieje.

Tenże Nazimow dopomógł obywatelom polskim, kiedy zapragnęli uwłaszczyć chłopów, a na zgromadzeniu publicznem w Wilnie (1858 r.) powiedział: „Sława panowie wam, że wy, pierwsi w całem państwie rosyjskiem oświadczyliście szlachetną chęć polepszenia bytu waszych chrestjan“ (tak po rosyjsku nazywają chłopów).

Potem na Wołyniu, Podolu i Ukrainie także postanowiono zniesienie poddaństwa, czemu już rząd się nie sprzeciwiał, tylko ogłaszał wszędzie, że to „miłościwy car“ nakazał. Wuj Justynjan cieszy się tem, bo przecież on i jego koledzy tyle wycierpieli za swoje zajmowanie się ludem, a Konarski Szymon śmierć za to poniósł (w Wilnie). Ale do tej pory zmian tych nie zaprowadzono.

Staram się to wszystko spisywać, jak jaki kronikarz w spódniczce (a właśnie dostałam śliczną białą, całą zahaftowaną przez Mateczkę. Teraz taka moda, że Mucha, choć chłopczyk, dostał sukienkę szkocką, niby ze spódniczką kolorową w kraty, a na głowę toczek okrągły wywijany; ładnie w tem wygląda. Jużto on ładniejszy odemnie, chociaż oboje do Ojca podobni jesteśmy; nie mamy błękitnych oczu, jak Mamusia, ale ciemne oczy i włosy, cerę śniadawą, a Matka Tatusia była Włoszką (Giulia de Macchio), co nie przeszkadza, że my jesteśmy całem sercem i duszą Polacy.

Listopad 1860 r.

Jeszcze mam o Litwie coś ciekawego do napisania: ten car, mimo, że się wydaje łagodny i grzeczny, czasami to wcale nie jest poczciwym (ach! co ja tu piszę: gdyby się dzienniczek dostał w ręce Moskali, toby mię do więzienia wtrącili i pewno rózgami biliby okropnie). Kiedy mu na jakimś zjeździe (w Sztutgardzie 1857 r.) Napoleon III wspomniał o Polsce, oburzył się i powiedział, że nikt do tego mieszać się nie powinien; a kiedy mu w Mińsku szlachta białoruska podała adres z prośbą (185? r.) o język polski w szkołach i o kościoły katolickie, odmówił z gniewem i powiedział, że to karygodna i lekkomyślna dążność do utrzymania narodowości polskiej. Ale co smutniejsza, — mówi Wuj J. — to, że we dwa dni później witano go w Wilnie, jak zbawcę, łukami tryumfalnemi, illuminacją i to nawet tacy ludzie, jak przyjaciel Mickiewicza Odyniec, Winc. Korotyński, poeta Syrokomla i inni zacni mężowie. — Chyba nie wiedzieli, co ten car w Mińsku powiedział, a Wuj mówi, że im się chwilowo w głowie pomięszało. Ofiarowano carowi album przepyszne z wydrukowanym złotemi literami wierszem Odyńca: „Przyjdź królestwo Boże!".... i wezwaniem duchów Jagiellonów, żeby witali swego następcę. — Piękny mi następca! i boję się naprawdę, żeby pan Odyniec zupełnie nie zwarjował. — Myśleli pewno, że car odwdzięczy się za takie komplementa i coś dla kraju zrobi, a on tymczasem podziękował im za gościnność, obiecał polepszyć dolę chłopów i odjechał do swego Petersburga.

Wtedy oburzyli się Polacy i w całym kraju młodzież zaczęła tworzyć związki patrjotyczne. Nawet w Petersburgu rej wodzą Zygmunt Sierakowski i Ja-

rosław Dąbrowski[1]), w Kijowie sama prawie polska młodzież w uniwersytecie, a w Warszawie Edward Jurgens zbiera akademików, mieszczan i rzemieślników i podobno namawia do powstania. — Inni, np. pan Adrzej Zamoyski ze swymi „Klemensowczykami" chcą tylko spokojnie pracować dla kraju, a jeszcze inni, jak margrabia Wielopolski pragną robić wszystko z pomocą rządu moskiewskiego. Tych, co nie chcą powstania, nazywa młodzież zabawnie „Milenerami", że niby za tysiąc (mille) lat odbudują Polskę. — Ale w całej Polsce i na Kresach wre i kipi — mówi Wuj — daj Boże, żeby jakie nieszczęście nie spadło na naród nasz. W Paryżu jest Mierosławski[2]), który ze swoją partją „czerwonych" przygotowuje powstanie i pisze odezwy, ale takie jakieś dziwaczne. Z jednej, którą Wuj czytał, zanotowałam kilka wyrazów, np.: „Zamiast leżeć w gawronim zachwycie, dosiądźcie owdowiałego siodła!" albo: „Szukajcie po omacku szczęku odnalezionego Szczerbca o trójścian naszego grobowca"... To wygląda na żart, a jednak ja zanotowałam dokładnie. Dobrze, że się nauczyłam prędko i dość drobno pisać ołówkiem, inaczej nie nadążyłabym. Ale teraz, kiedy w dzienniczku zapisuję takie ważne rzeczy i nazwiska, muszę go dopiero chować. Dotąd nosiłam w torebce pod sukienką przywieszony, ale to nie dość bezpiecznie, więc wymyśliłam kryjówkę, o której nikt nie wie, tylko Mamusia. Muszka nawet nie wie, że ja

---

[1]) Poczęły się tworzyć związki, najpierw w Petersburgu pod przewodem nadzwyczaj uzdolnionego i wymownego Zygm. Sierakowskiego (powieszony później w r. 1864); Jarosł. Dąbrowskiego w Kijowie między młodzieżą w $^4/_5$ polską, wreszcie w Warszawie.

[2]) vid. Przyp. lit. d.

dziennik piszę; takie dziecko — mógłby wygadać niechcący.

2 grudnia 1860 r.

Mówił Wuj także o Garibaldim: jak mu się powodzi, jakie zwycięstwa odnosi. I Francuzi im pomagają: pod Magentą i Solferino pobili Austrjaków. Także powypędzano rozmaitych książąt, którzy lud uciskali, panując nad kawałkami ziemi włoskiej i teraz całe Włochy będą miały jednego króla z rodu Sabaudzkiego (pamiętam różne powiastki o „Petit Savoyard" i wyszukałam sobie Sabaudją na mapie we Włoszech Północnych, blisko Francji i Szwajcarji; podobno góry tam wspaniałe). — Dobrze że Austrjaków przepędzono, ale podobno i Ojcu Świętemu chcą odebrać jego państewko z Rzymem; nie wiem, czy to dobrze? Od nas tylko obcych wrogów trzebaby powypędzać, ale ich jest aż trzech takich potężnych, a nam nikt nie dopomaga, chyba czasem słowami. Więc młodzież polska burzy się i pragnęłaby urządzić powstanie, a tymczasem próbowała tylko odprawić nabożeństwo żałobne za naszych trzech wieszczów: Adama (zm. 1855), Juljusza (zm. 1849) i Zygmunta, w dniu 18 marca 1859; ale i na to władze moskiewskie w Warszawie nie pozwoliły; jednak tłumy ludu zebrały się w kościele Pijarskim, nie dając się rozpędzić policji. — Wtedy Muchanow zaczął śledzić, kto to urządza demonstracje, a kiedy się odkryło, że młodzież z Akademji Medycznej, zaczął ją prześladować, naprzód Jaśniewskiego i Kurzynę[1]), który umknął aż do Paryża, do Mierosławskiego, ale został jego kolega, a raczej towa-

[1]) Kurzyna został sekretarzem Mierosławskiego; w Warszawie śród akademików zastąpił go Karol Majewski.

rzysz, Narcyz Jankowski (niepodoba mi się to imię, choć nawet mój ojciec chrzestny je nosił; szczęście, że mnie „Narcyzą“ nie nazwali! a jednak poetka nasza Żmichowska jest także Narcyza); otóż ten Jankowski, to młody oficer rosyjski z Kijowa przybyły, żeby młodzież łączyć w związki patrjotyczne. Są i inni przybyli nibyto na nauki w Akademji Medycznej, a myślą o czem innem wcale, np. Majewski Karol, bracia Frankowscy, Nowakowski Karol ze szkoły Sztuk Pięknych, Adam Asnyk i inni dzielni młodzieńcy[1]). Wuj mówi, że napozór tego nie widać, ale wszystko wre, jak w wulkanie: ci marzą o powstaniu, inni znów naradzają się nad emancypacją żydów, nad uwłaszczeniem włościan. A tu car Aleksander, podmawiany podobno przez Prusaków, których ambasador w Petersburgu[2]) Bismark (brzydko się nazywa) nas nienawidzi; będąc w Kamieńcu Podolskim, sfukał szlachtę za to, że mu adres podać chciała i powiedział: „To nie prośby, ale knowania, to nielegalne. Pamiętajcie, że to kraj rosyjski, a nie polski i t. d.“ — Pięknie się znajduje po tych grzecznych obietnicach nasz „król polski“.

A tu w Warszawie urządzono wspaniały po-

[1]) Na schyłku 1859 r., kiedy rząd mógł przez koncesje ukoić umysły, nastąpiło większe jeszcze rozjątrzenie. Grono gorącej młodzieży w Warszawie (Majewski i Jankowski na czele) tworzy t. zw. „Kapitułę Warszawską“, organ narodowego stronnictwa ruchu, będący w styczności z Mierosławskim. Odtąd poszły manifestacje jedna za drugą: wielkie, porywające (jedna za drugą, według planu).

[2]) Prusacy zaczęli bacznie śledzić ruch w Królestwie a bojąc się ustępstw dla Polaków, żywiołu najniebezpieczniejszego dla Hohenzollernów, poczęli jątrzyć stosunki między Polską a Rosją i prowokować (naczelnik policji poznańskiej Bärensprung), co też zaraz skutek osiągnęło.

grzeb wdowie po generale Sowińskim, tym, co to poległ broniąc Warszawy w 1831 r. na szańcu, gdzie stał jeszcze trup jego wyprostowany na jednej nodze prawdziwej a drugiej drewnianej, bo ją stracił w wojnach napoleońskich bohaterski nasz generał. W czasie tej obrony Warszawy wysadził prochem w powietrze całą redutę swą Ordon, o którym Mickiewicz tak piękny wiersz napisał (jest u nas przepisany i umiem go na pamięć: „Nam strzelać nie kazano" i t. d.; tak mi się podoba ten wiersz: „Tam ci co bronili i ci, co się wdarli, Pierwszy raz pokój wieczny i trwały zawarli"). Otóż na pogrzeb pani Sowińskiej (11 czerwca 1860 r.) zebrały się tłumy ludzi z wieńcami i t. p., aż ich policja rozpędzić nie mogła. Potem znów wyprawiano awantury i nawet figle zabawne na zjazd trzech cesarzy w Warszawie. Gdy ich było dwóch dopiero, wywieszono afisz teatralny: „Robert i Bertram czyli dwaj Złodzieje", a policja zdzierać zaczęła to (czyż nie: Uderz w stół, a nożyce....).

Zapomniałam zapisać, że jest w Paryżu autor, wielki patrjota polski, choć żyd z pochodzenia, Juljusz Klaczko z Wilna, i pisze po francusku, ale o rzeczach polskich (o Zygm. Krasińskim pisał, itd.).

Opowiadał Wuj jeszcze wiele innych rzeczy, ale nie mogłam wszystkiego zanotować; i tak dosyć, czyż nie?

4 grudnia 1860 r.

Mój Boże! co za wieści... Dr Aleksander Werminski, kolega Tatuńcia, mieszkający zwykle w Beresteczku (tam, gdzie to niegdyś 1651 r. pobił Jan Kazimierz zbuntowanych Kozaków z Chmielnickim), jeździł do Warszawy i umyślnie do nas wstąpił, żeby opowiedzieć na co tam trafił. Wieczorem 29 listo-

pada, więc w trzydziestą rocznicę powstania (i napadu na Belweder), tłumy ludu zgromadziły się na Lesznie (na drodze do tej Woli, gdzie poległ Sowiński i inni w r. 1831) i przed statuą Matki Boskiej zaczęły śpiewać wspaniały hymn Alojzego Felińskiego (już go uczę się na pamięć): „Boże, coś Polskę przez tak długie wieki — Otaczał blaskiem potęgi i chwały" — i t. d. — na klęczkach; potem zerwali się i zagrzmiał marsz Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła"! Zdawało się, że całe powietrze śpiewa — mówi p. Wermiński — jedni śpiewali, inni łkali głośno i on sam, choć mężczyzna (także powstaniec z pod Boremla) zalał się łzami. Policji kręciło się mnóstwo, ale nie śmiała na razie tknąć tego rozśpiewanego, a jednak groźnego tłumu, który rozszedł się spokojnie do domów. Gorsi Moskale, jak Kotzebue i Paniutin (dawni przyjaciele Paskiewicza) domagali się najostrzejszych środków przeciw narodowi polskiemu, ale stary Gorczakow nie chciał tego i podobno donosi carowi, że w Królestwie spokojnie, że Polacy zadowoleni z rządu (nie wiem czemu on tak kłamie?). Co to będzie? Co to będzie?

30 grudnia 1860 r. w Nowym Stawie.

Jaka miła niespodzianka, że my świętujemy w tym kochanym Nowym Stawie. Nigdy tu w zimie jeszcze nie byłam, a tak cudownie wszystko pod śniegiem wygląda, jak jaki kraj zaczarowany. W samą wilją Wigilji przyszły po nas duże sanie półkryte, z taką wielką budą i cztery konie gniade, zaprzężone w lejc, tak jak ja najlepiej lubię; na koźle Paweł i Jan (co czasem lokajem, czasem kucharzem bywa i różne przysmaczki przyrządzać umie). Mróz był siarczysty i zakutali mię, jak nieboskie stworzenie, ale wychylałam się ciągle, żeby patrzeć wokoło

z ciekawości, a trochę i ze strachu, bo sanie szły „w zatoki“ na miejscach ślizkich i to tak, że aż Jan zeskakiwał z kozła, żeby je zatrzymywać i spychać na środek drogi. Odsuwałam kapturek i smutne tego skutki, bo sobie twarz odmroziłam trochę; natarli mi ją porządnie śniegiem, ale to nie dość pomogło, bo mię co wieczór piecze jak ogniem i robi się sinoczerwona, niby burak. To nie przeszkadza nam bawić się wybornie we czwórkę z Manią i Lolem, przyjacielem i rówieśnikiem Muszki, chociaż daleko od niego poważniejszy; mówi powolutku i wygląda, jakby udawał dorosłego; podobny do kochanego Dziadunia Wyżewskiego (tego dawnego profesora Liceum w Krzemieńcu), w którego pokoju zbieramy się co rana, a Dziadunio z nami gawędzi (choć jest głuchy mocno) i daje przysmaczki od swojej kawy. Jest tu właśnie w gościnie jego bratanek, doktor Teodor Wyżewski z siostrą swoją, najlepszą Ciocią Walentyną, opiekującą się małym Teodorkiem [1]), synkiem doktora, tłustym dzieciaczkiem, który ser ze śmietaną zajada codzień na śniadanie. Ci państwo są tu z pożegnaniem, bo wszyscy wyjeżdżają na mieszkanie do Paryża.

Wigilją mieliśmy wspaniałą: w sali jadalnej w rogu ustawiono piękny snop zboża, a stół ogromny usłany był sianem pod białym obrusem; na środku leżała olbrzymia czarnuszką posypana strucla (niby maleńki Jezusek na siauku w Betleem), a na półmiskach było mnóstwo zgrabniutkich pierożków pieczonych z powidłami lub kapustą i knyszyki okrągłe

[1]) Teodor, znany później autor po franc. jako Wyzewa, napisał między innemi książkę o tejże Ciotce Walentynie, obraz poświęcenia i cnoty niewieściej. Pisał wiele dzieł historycznych i t. p. w duchu chrześcijańskim.

albo składane w trójkąt ze smażoną cebulką (te najlepiej lubię, choć nie mam w sobie ani kropelki krwi żydowskiej). Stała też w dużej misie „kutja", niby kasza słodka z ziarn pszenicy z miodem (wstyd mi, że tej starosłowiańskiej potrawy nie lubię), a w drugiej łamańce czyli cienkie kruche placuszki z makiem; — to wszystko wigilijne przysmaki. Była i sałaterka ogromna suszeniny, a osobno w pięknych srebrnych koszach bakalje przeróżne (ja najlepiej lubię daktyle i rodzynki z migdałami — fig nie cierpię) i makagigi. Co najciekawsze, to że każdy talerz był przewrócony, a pod nim ukrywał się podarek wigilijny — kolenda — czasem tak duży, że aż serwetą z wierzchu ten pagórek przykryć trzeba było. W wielu domach ubierają choinkę na Boże Narodzenie i u nas była kiedyś za życia Tatuńcia, ale nie wszędzie ten zwyczaj zachowują. Jedna kuzynka nasza, co z Galicji przyjeżdżała (młodsza odemnie), opowiadała, że tam wszędzie ubierają Drzewko, a oprócz tego św. Mikołaj 6-go grudnia zjawia się (naturalnie przebrany) z zabawkami i rózgą albo djabełkiem dla dzieci. To ostatnie bardzo mi się niepodoba i gdzieżby święty z djabłami się przyjaźnił? to już pewno pomysł niemiecki, bo wiadomo, że Galicja pod Austrjakiem niejednego zwyczaju od Niemców nabrała, a nawet mówią trochę z niemiecka, np. Sydzia (ta kuzynka) powiedziała: „Wujek nie przyszedł, bo jest przeszkodzony, przyjdzie ale jutro do Państwa" i t. p., jakby z niemieckiego tłumaczyła.

Ale ja dopiero odskoczyłam od naszej Wigilji! W stylistyce mojej to się nazywa epizod, ale to tylko wolno w poezji a nie w dzienniczku (o czem zresztą stylistyka nie wspomina). Otóż zasiedliśmy, gdy pierwszą gwiazda na niebie się pokazała: na Wigilją

podano wyborny barszcz z uszkami (przedtem wyjęłam z pod talerza moją kolendę: piękną broszkę z orłem srebrnym na niebieskiej emalji, abonament całoroczny na „Tyg. illustr." i drugi na „Journal des demoiselles", czem się bardzo cieszę, prócz innych drobiazgów) i zupę migdałową z rodzynkami gorącą — co kto woli (ja wybrałam barszczyk, ale i zupę mi schowano na koniec obiadu). Potem były bliny (to moskiewska potrawa, ale wyborna, niestety) z kawiorem, jajami twardemi lub masłem z cebulką; dalej ryba smażona i kwaśna kapusta z grzybkami, potem szczupak faszerowany „po żydowsku" i karasie ze śmietaną i nie pamiętam już co. Ach prawda! był i karp w szarym sosie z rodzenkami i migdałami i t. d. W końcu galarety czerwone i żółte. Naturalnie było wino rozmaite (bo wody przy rybach pić nie pozwalają, nawet jest jakieś łacińskie o tem przysłowie: post i t. d.), którego i nam dzieciom sporo nalewano. Jasno było i wesoło; paliło się mnóstwo świec w srebrnych kandelabrach. Przy końcu uczty każdy wyciągał z pod obrusa źdźbło siana, żeby się dowiedzieć, czy będzie długo żył niby. Moje źdźbło było bardzo długie i kazano mi się cieszyć, ale ja nie wiem, czy to takie szczęście żyć bardzo długo? człowiek się robi stary, czasem niedołężny i chory (nie taki miły, jak nasz Dziadunio Wyżewski, który tylko ogłuchł, a tyle pamięta i opowiada i żartuje z nami; do Wigilji zasiadł, choć zwykle jada sam w swoim pokoju), widzi, jak umierają krewni i przyjaciele, zostaje sam i smutny na świecie. Jabym chciała żyć niebardzo długo, ale zrobić dużo dobrego na świecie i... chciałabym być trochę sławną, ale także chciałabym mieć wnuki. Znów odbiegłam od Wigilji! Więc po wieczerzy zaczęliśmy śpiewać kolendy wszyscy razem — starsi i dzieci i czeladka,

bo zapomniałam powiedzieć, że naprzód my łamaliśmy się opłatkiem, a potem pp. Roguscy z całą służbą i czeladką, a każdy z nich dostawał jakiś podarek. Po swojej wieczerzy oni znów przyszli (tylko już nie wszyscy) śpiewać kolendy; najładniej może śpiewała Mania Roguska, moja przyjaciółka (największa ze wszystkich, a mam jeszcze dwie inne); gdyby nie chrypka, która jej została po szkarlatynie, śpiewałaby pewno i najgłośniej, ale ucho to ma doskonałe i wszystko wyśpiewa nie ucząc się. Ona też przegrywała na fortepianie, a ja, że ładnie śpiewać nie umiem, podbekiwałam z cicha, a niektóre kolędy, jak: „W żłobie leży..." „Oj siano, siano, Siano, jak lilja..." grałam na skrzypeczce (pożyczonej z piekarni — tak u nas nazywają kuchnię, gdzie się gotuje dla „ludzi", także zabawne nazwanie czeladzi, nieprawdaż?). Śród tych śpiewów zaczęło się dobijanie do drzwi i przyszli chłopcy „z gwiazdą" ogromną, różnokolorową, którą obracali, wyśpiewując także kolendy z wielkim wrzaskiem. Potem wpadli chłopacy z „kozą" (to podobno chłopak przebrany, na czworakach skaczący), która tańczyła i rogami biła wkoło siebie; ale tej kozy nie lubię.

Na pasterkę nie mogliśmy pojechać, bo sprawnik, czy inny jaki Moskal, nie pozwolił jej odprawić w Szumbarze (tym, co to niegdyś do Bohowitynów należał).

Kwiecień 1861 r.

Co się dzieje, co się dzieje! Przyjechał prosto z Warszawy mój kuzyn Leonek Syroczyński (co niedawno jako celujący uczeń skończył gimnazjum w Kijowie) i opowiada, a ja to wszystko spisać muszę, bo to historja naszej ojczyzny ukochanej. — Otóż po manifestacjach listopadowych 1860 r. nastał

niby spokój, a poważniejsi ludzie starali się młodzież uspakajać. Tow. Rolnicze miało w lutym podać adres do cara. Tymczasem płatano figle, np. pojawiły się rozlepione afisze: „Od św. Jana zamek warszawski do wynajęcia“ i t. p. Gorczakow się złościł, a policja aresztowała, np. Majewskiego, N. Jankowskiego i innych. — Zjechało się Tow. Rolnicze, a Czerwoni przygotowali wielką manifestację, żeby się dopominać zupełnego uwłaszczenia chłopów; naznaczono dzień 25 lutego, jako rocznicę bitwy Grochowskiej (1831 r.). I zgromadziły się tłumy na Starem Mieście[1]), rozwinęli sztandar z Orłem i Pogonią, zabrzmiała pieśń „Boże coś Polskę“, — ale nagle wypadł policmajster Trepow z żandarmami, uderzyli na bezbronny lud, bijąc i kalecząc, tak, że wszystkich rozpędzili. Ale Władysław Gołemberski i wypuszczony z cytadeli Majewski postanowili manifestacją powtórzyć i 27 lutego zebrały się tysiące; wtedy ze wszystkich stron wystąpiło wojsko moskiewskie: generał Zabołockij kazał dać ognia i pięć ofiar trupem padło, a inni ranni we krwi się kąpali, — tłum się rozbiegł (Leonek był między nimi). Przestraszył się Gorczakow — myślał, że wybuchnie powstanie, a wojska miał niewiele. Więc wypędził Trepowa (Włoch, gen. Paulucci został naczelnikiem policji) i obiecał przyjąć adres i odesłać do cesarza.

Właśnie Tow. Rolnicze, które już uchwaliło (z hr. Tomaszem Potockim) projekt uwłaszczenia włościan, miało się tem zająć, ale tymczasem nadjechał z Chrobrza margrabia Wielopolski[2]), który miał

[1]) Czytać Bolesławity: „Dziecię Starego Miasta“.

[2]) Al. Wielopolski w sprawie adresu porozumiał się z Adamem Potockim, Jerzym Lubomirskim, Maur. Mannem (red. „Czasu“), z Luc. Siemieńskim i Szukiewiczem i uzy-

już gotowy projekt adresu mądrze ułożony, ale za mało żądający (jak mówi Leonek, który także jest mądry, choć taki młodziutki — ma lat 17; on należy do Czerwonych i do Chłopomanów podobno; ale cóż to szkodzi, kiedy tak ojczyznę kocha, — powiedziała Mamcia, — chociaż nieraz z nim się sprzecza, strofuje go). Margrabia w swoim adresie prosił tylko o Polskę niewielką, same Królestwo (czyli Kongresówkę, jak w 1815 r.), nie taką, jak była przed rozbiorami, z Litwą, Wołyniem, Podolem, Ukrainą, Poznaniem i Gdańskiem; ale on mówił, że car więcejby nie dał za nic, a niechby oswobodzono choć ten kawałek Polski, to się później rozwinie. — Jednak Wielopolskiemu nikt nie wierzył; nie lubiano go, gdyż był dumny, nieprzystępny i zarozumiały, mówiono, że sprzyja rządowi moskiewskiemu. — I wzięto inny adres[1]), niemądry podobno (napisany przez jakiegoś p. Edmunda Stawiskiego), a który deputacja z arcybiskupem Fijałkowskim i p. Andrzejem Zamoyskim na czele, wręczyła z tysiącami podpisów namiestnikowi; ten zaś obiecał zaraz odesłać (28 lutego) do Petersburga.

A tu właśnie przygotowywał się pogrzeb pięciu poległych, t. j.: Karczewski i Rutkowski, obywatele ziemscy, uczeń Arcichiewicz, robotnik Brendel i Adamkiewicz rzemieślnik. I odbył się 2 marca, jako olbrzymia manifestacja[2]) (tak teraz nazywają takie

---

skawszy przyrzeczenie, że adres popierać będą i do Warszawy zjadą, — sam wyruszył z Chrobrza 17 lutego na Walne Zgromadzenie Tow. Rolniczego, ale napróżno.

[1]) vid. Przyp. lit. e.

[2]) Wkrótce po pogrzebie 5-ciu poległych nastąpiło równouprawnienie żydów w Królestwie za ich objawy patrjotyzmu polskiego.

obchody). Obok arcybiskupa Fijałkowskiego szli: pastor Otto i nadrabin Meisels. Duchowieństwo wszystkich wyznań, prócz prawosławnego, brało udział w pogrzebie, a potem posypały się składki na pomnik i rodziny poległych (138.000 złp.), a nabożeństwa odbywały się po całym kraju. Wszędzie też zakładają szkoły, ochrony, resursy rzemieślnicze, otwierają czytelnie. — Społeczeństwo nasze jakby odrodzone: taka szlachetność budzi się w duszach. W Warszawie święta Wielkanocne dały powód do bratania się stanów: w pałacach arystokracji, bogaczy przemysłowców zastawiano podobno stoły ze Święconem dla uboższej ludności; ofiarność na biedę warszawską i prowincjonalną dochodzi do olbrzymich rozmiarów. Tak opowiadają ci, co na to patrzyli.

20 kwietnia 1861 r.

Już zdawało się, że będzie lepiej, aż tu przychodzi od cara do namiestnika list z gniewem za adres i za cały ruch narodowy. — Gorczakow zmięszany nie wie co robić, — proponuje, żeby Wielopolski został ministrem oświaty w Królestwie; margrabia żąda różnych swobód dla kraju naszego, — car dać tego nie chce. Wreszcie zabrano z Warszawy Muchanowa i innych niegodziwych urzędników, a Wielopolski został dyrektorem oświaty i pozwolono mu wnosić skargi i prośby do cara. Cóż z tego, kiedy w Warszawie i w całej Kongresówce nietylko Czerwoni, ale i Biali i młodzież cała znienawidzili margrabiego, mówiąc, że on sługa Rosji i t. d.

Mama powiedziała Leonkowi, że nieraz wygadywano niesprawiedliwie na znakomitych ludzi, że byli tacy, co napadali nawet na Kościuszkę i na Księcia Józefa. — Ale tu co innego, mówi Leon: mar-

grabia jeszcze nic dla ojczyzny nie zrobił; przeciwnie, namawiał do uległości względem Moskwy, syna swego Zygmunta oddał do wojska carskiego, procesował się i krzywdził ludzi, a teraz chce rządzić krajem, jak drugi car. — Słowem, niewiadomo co myśleć?

Są i między młodzieżą tacy, którzy twierdzą, że zamiast wzniecać powstanie, które się udać nie może, trzeba w cichości dla kraju pracować: po szkołach, po wsiach, w warsztatach uczyć, oświecać; to się nazywa praca organiczna. Takim jest młody nauczyciel Roman Żuliński[1]), który sam jest nadzwyczaj zacny, więc daje przykład: dopomagał on w wychowaniu młodszego rodzeństwa, kiedy matka ich, najzacniejsza pani Barbara Z.[2]) została wdową z ośmiorgiem dzieci, a teraz jest sam nauczycielem tych, co się kształcą na nauczycieli ludowych; także pisze książki matematyczne. Ale on nie tylko matematyki uczy, lecz miłości Ojczyzny. Otóż Roman Żuliński, Rafał Krajewski i inni namawiali, żeby pracować spokojnie nawet pod rządami Wielopolskiego i przygotowywać się na później. Tymczasem margrabia ostro przemówił do duchowieństwa naszego za to, że dopomagają do demonstracji,

[1]) Roman Żuliński ur. 1833 r., wychowany przez matkę wdowę, najzacniejszą dzielną patrjotkę Barbarę Z., zdolny matematyk, szlachetny, poetyczny, najlepszy wpływ wywierał na kolegów, potem na uczniów: patrjota, religijny, obowiązkowy. Zajmował się oświatą ludu, tworząc w Kongresówce 2 tysiące szkółek. Potem wraz z pięciu braćmi należał do ruchu narodowego; tamci walczyli w powstaniu; Roman wszedł do Rządu Narodowego, z nim R. Krajewski, Traugutt, Toczyski, Jeziorański. Wszyscy powieszeni na stokach cytadeli warszawskiej 5 sierpnia 1864 r. (vid. Przyp. lit. w).

[2]) vid. Przyp. lit. w.

zamiast cicho siedzieć; a co gorzej, rozwiązał Tow. Rolnicze (6 kwietnia 1861 r.), jak mówią, z niechęci do p. Andrzeja Zamoyskiego. To oburzyło naród cały i zaraz 7-go kwietnia zrobiono wspaniałą demonstrację na cześć Tow. Rolniczego, a nazajutrz mieli Czerwoni urządzić uroczyste bratanie się z żydami na cmentarzu (za to pewnie, że ci brali udział w pogrzebie pięciu poległych). A tu policja, której już od kilku tygodni nie wolno było się pokazywać (żeby nie drażnić Polaków) zaczęła się uwijać między ludem w przebraniu za żebraków i t. p. i podmawiać, żeby wszyscy szli pod zamek, gdzie mają coś rozdawać. Więc 8-go kwietnia od rana zaczęły się gromadzić tłumy na ulicy Krakowskie Przedmieście. Kiedy już pełno było, jak okiem zajrzeć, wypuszczono żandarmów konnych i ci tratowali tłum, rozpędzając niby, a kiedy to nie pomogło, generał Chrulew kazał dać ognia do bezbronnego ludu i padło 484 strzałów w zbitą masę: 108 osób zginęło odrazu, rannych mnóstwo tarzało się we krwi, jęki okropne, płacz kobiet rozdzierały powietrze, ale ponad wszystko wznosił się i płynął ku niebu śpiew błagalny: „Święty Boże, Święty mocny, Święty nieśmiertelny"...[1]) Żołnierze i oficerowie moskiewscy pijani pastwili się nad bezbronnymi, rąbiąc i kalecząc nawet rannych. Strzały ustały, ale na odgłos trąb i bębnów rzuciły się w ulice zastępy jazdy, kozaków z nahajkami, bijąc i rąbiąc w około, tratując

---

[1]) Zaintonował ks. Wacław Nowakowski, kapucyn, który został wysłany później na Sybir, a powróciwszy, długo przebywał w Krakowie, gdzie był kochanym przez wszystkich i napisał kilka monografji o obrazach świętych i t. d. O nim mówiono, że wiedział, gdzie ukryto koronę polską i inne insygnja.

lud i trupy leżące we krwi na bruku — słowem rzeź[1]). Po bokach ustawiła się piechota i armaty, stanęli artylerzyści z zapalonymi lontami. A lud nasz nie miał broni, tylko Boga wzywał na pomoc. Przecież Pan Bóg ulituje się nad nami; nie może być, żeby Moskalom pozwolił na takie okrucieństwa nad narodem, za to tylko, że on ojczyznę swoją kocha. — Ale mnie zdjął taki żal, takie oburzenie, że aż się spowiadałam z tego, Ksiądz Dziekan mi powiedział, że dużo zawiniliśmy przez wiele lat, więc musimy za to odcierpieć karę, że i niewinni giną teraz za grzechy innych, ale że Bóg sprawiedliwy wszystkie te ofiary policzy i kiedyś, kiedyś, może bardzo nieprędko, ojczyzna nasza wolną będzie, a wrogowie ukarani. — Mój Boże! czy ja to zobaczę? mój drogi Boże? [2])

Mówią, że to Moskale umyślnie wywołali to ogromne zbiegowisko, żeby lud wymordować, ale w Warszawie znienawidzono jeszcze bardziej margrabiego, jemu przypisując winę za to wszystko. — Kiedyś pewno mądry historyk wyjaśni to, ale teraz każdy co innego myśli i spierają się, bo nawet Mamcia z Leonem nie zgadzają się, gdy zaczną o tych wielkich sprawach rozmawiać, a pan Beaupré znów co innego mówi. Ja nie mogę przecież odzywać się, alespisywać będę wszystko, co posłyszę ważnego, już nie powtarzając co od kogo. Porzucę te powiastki, co pozaczynałam i te rozmaite wierszyki;

---

[1]) Grottgera prześliczne rysunki z owych czasów, np. **Wojna, Lituanja, Polonja, Varsovia.**

[2]) Autorka dzienniczka po wielu klęskach i bolesnych przejściach doczekała (będąc już blisko 70-go r. życia) wskrzeszenia Ojczyzny w 1918 r.; a córka jej jedyna, także gorąca patrjotka i literatka, pracowała przy plebiscycie na Mazurach i t. p.

tak mi się to wszystko teraz głupie wydaje i nic nie warte. Wolę, żeby w mojem sercu, jak w małem lusterku, odbiło się to, co się w ojczyźnie dzieje i żeby na wieki tam zostało, nie zatarło się; żeby moje dzieci to odczytywały kiedyś: może, gdy ojczyzna wolną będzie?...

Lipiec 1861 r.

Po rzezi 8-go kwietnia zrobiło się cicho niby i nawet Wielopolski wygłosił mowę, że porządek zapanował w Warszawie, ale na to posypał się taki grad listów obelżywych na margrabiego, że aż Moskale pocztę miejską zamknęli, kiedy taka niegrzeczna była dla ich ulubieńca. (Może to źle, że ja go tak nazwałam?). Cały kraj pokrył się żałobą, wszędzie odprawiają nabożeństwa za poległych. I u nas w Krzemieńcu ksiądz Dziekan odprawił, a panie przyszły w czarnych sukniach i mnie Mamusia zrobiła czarny płaszczyk (z tego, co zostało po żałobie za Tatuńcia). I śpiewaliśmy: „Boże, coś Polskę".... tak, jak w Warszawie, a wszędzie są fotografje (już daleko lepsze niż te dagerotypy, o których mówiłam) pięciu poległych, to jest ich trupów: jeden z raną dużą taką w piersi (Arcichowicz uczeń). I pełno pojawiło się broszek z pięciu palmami, albo pięciu gwiazdami, z orzełkiem polskim pośrodku; albo szpilki z cierniową koroną lub z orzełkiem; są i pierścionki srebrne czarne z białym napisem. Są też krzyże duże i małe z napisami, z palmą i koroną cierniową; Zygmuś i ja mamy orzełki, a krzyż wisi nad mojem łóżeczkiem na krwawo-czerwonym kawałku sukna; tak sobie zrobiłam.

W Warszawie Gorczakow tak się zgryzł tem, co się działo, że się rozchorował i umarł (27 maja), dręczony wyrzutami sumienia za rzeź niewinnych,

do której dopuścił. Po nim przyszedł Suchozanet, niby z pochodzenia Polak, ale niegodziwy, zaczął aresztować, wysyłać w głąb Rosji i dokuczać Wielopolskiemu, który się temu sprzeciwiał. A właśnie margrabia urządzał pięknie szkoły nasze (pomagał mu Józef Korzeniowski, autor) i zaprowadzał Radę Stanu z najznakomitszych obywateli kraju. Obrażony przez Suchozaneta, zażądał dymisji Wielopolski, ale rząd tego nie przyjął i naznaczył innego namiestnika, Lamberta[1]), a gubernatorem Gerstenzweiga.

Tymczasem przyszła wiadomość o śmierci znakomitego naszego historyka i wielkiego patrjoty Joachima Lelewela[2]) 29-go maja 1861 r. w Brukseli, gdzie żył w biedzie, jako emigrant i ciągle pisał (o nim Mickiewicz taki piękny wiersz napisał). Odprawiono za niego w Warszawie nabożeństwo żałobne ze śpiewami patrjotycznemi i żydzi także w synagogach modły odprawiali. — W kilka tygodni później (15-go lipca) umarł w Paryżu książę Adam Czartoryski[3]) (syn generała ziem Podolskich). Miały być

---

[1]) Hr. Lambert, Francuz z pochodzenia, katolik, grzeczny, uprzejmy i łagodny, różnił się od swych poprzedników i mógłby zdziałać wiele, gdyby nie dodany mu mentor, Gerstenzweig (podobno z polskiej rodziny Jęczmieniowskich); matką jego była córka gen. Madalińskiego, ale mimo to nowy gubernator warszawski nienawidził Polaków i był złym duchem Lamberta, jak Kotzebue i t. d. przy Gorczakowie.

[2]) Słynny historyk, pomimo błędów politycznych, był wzorem patrjotyzmu i poświęcenia; budził podziw stałością zasad swoich, żelazną pracą i życiem spartańskiem.

[3]) Ks. Wład. Czartoryski, obejmując w spuściźnie po ojcu w Paryżu kierunek spraw politycznych, oświadczył, że uważa za obowiązek, nie mieszając się do spraw wewn. kraju, bronić praw narodowych zagranicą i zawiązywać z obcemi państwa-

demonstracje, ale Wielopolski zarządził nabożeństwo żałobne. Kiedy arcybiskup Fijałkowski powracał z kościoła, odprawiwszy je, młodzież wyprzęgła konie i sama się zaprzęgła, a cały lud wołał: „Niech żyje nasz arcypasterz".

1 sierpnia 1861.

Mamcia zajrzało do mego dzienniczka i powiedziała, że piszę teraz jak prawdziwy kronikarz. A tu właśnie muszę opowiedzieć, co się u nas dzieje. Nietylko w naszym Krzemieńcu, ale w różnych miastach i miasteczkach na Kresach naszych zbierają się na nabożeństwa żałobne i śpiewają po kościołach „Boże, coś Polskę" i „Z dymem pożarów", tak jak w Warszawie, i żałobę wszyscy noszą i orzełki polskie. A tu policja nie pozwala! Kiedyś przychodzimy na nabożeństwo, a tu kościół zamknięty i stoją policjanci z „kwartalnym", żeby nie dopuścić ludu. Więc wszyscy klękają na dworze, modlą się z płaczem i zaczynają śpiewać. Policja nie wie co robić, rozpędza, ale jakoś wtedy nikogo nie aresztowano[1]). Dopiero w niedzielę, kiedy wchodziliśmy do kościoła oboje z Mamcią, przystąpił kwartalny i zaaresztował nas za żałobę i stroje narodowe; daremnie mu Mamcia tłumaczyła, że to wcale nie „kantusz", jak on mówił, ale zwykły żakiecik z czerwoną jedwabną podszewką ja mam na sobie, a Zygmuś węgierkę z szamerowaniem; nie chciał słuchać, ale nas wszystko troje poprowadził do sprawnika (w „Panu Ta-

---

mi stosunki, które Polsce dopomódz mogą do jej wydobycia się z niewoli i niepodległego w przyszłości działania.

[1]) W Płocku podobno bito rózgami panie i panny, aresztowane za śpiewanie w czasie nabożeństwa „Boże coś Polskę"... Młodzież ze wszystkich szkół rozpędzono; naturalnie nie taką, jak u nas popowicze w dawnem Liceum.

deuszu" to dwa psy gończe nazwano: Sprawnik i Strapczyna!) przez kilka ulic, a żydzi znajomi wybiegali przerażeni patrzeć, co z nami zrobią; myśleli może, że nas powieszą ci Moskale. Tymczasem sprawnik nibyto się złościł i odgrażał, ale przypomniał sobie, że mu kiedyś Tatuńcio żonę wyleczył z niebezpiecznej choroby i kazał nas puścić do domu, napominając tylko, żeby „Boże sochrani", „trauri" (żałoby) nie nosić i nie „piać" tak się to u nich nazywa!) w kościele.

Nie wszystkim tak się udało, bo właśnie sąsiadkę naszą p. Scholińską z córkami (tę, co to ma pensyjkę) i kilka innych osób powieziono do Dubna, gdzie sądzą ich, trzymają w więzieniu brudnem okropnie i każą płacić dużo pieniędzy za karę, że „piały" i to w żałobie[1]). — Teraz już panie naszywają umyślnie kolorowe pasy na czarnych sukniach (żeby znać było, że to z przymusu), ale znów zrzuciły wszelkie kapelusze i tylko noszą chusteczki na głowie — czarne z kolorowym pasem, wiązane pod brodą. To jakby maskarada na przekór Moskalom, bo nie mogą przecież i tego zabronić. A pieniądze za „sztraf", zabrane, to podobno toną w kieszeniach panów urzędników, zamiast iść na inwalidów.

Odbierają także orzełki, broszki i t. p., a robią rewizje po domach, szukając fotografji pięciu poległych i pism rozmaitych. A tam w Warszawie, na Powązkach, grób tych pięciu męczenników naszych Moskale zadeptali, żeby śladu nie było, a jednak co

[1]) A w Warszawie to chłopaki nasze tak pilnują żeby się nie bawiono, że okna wybijają tam, gdzie słychać muzykę balową, a kiedyś wnieśli trumnę do salonu śród tańców. A panie, co się pokażą w strojnych kolorowych sukniach, oblewają czernidłem lub smołą.

noc znajdowały się tam świeże kwiaty i wieńce. Więc teraz stoi straż i pilnuje w nocy i w dzień nawet, a Warszawiacy się śmieją i mówią, że nawet Moskal straż honorową trzyma na grobie polskiego bojownika (bezbronnego). Warszawiak to ze wszystkiego zażartować potrafi, a podobno najdowcipniejsze to te andrusy warszawskie, chłopaki z ulicy, co wiecznie policji figle płatają. Ten gwizdnie, ten jakieś brzydkie słowo na Moskali wrzaśnie, a gdy się policjant odwróci, już go niema i z przeciwnej strony wygwizduje.

Kiedyś zebrało się sporo ludzi na placu Zielonym, a że zbiegowiska na ulicy zabronione, policja zaczęła rozpędzać. Pokazało się, że leży pies nieżywy, a ludzie gapią się nań. „Państwo, rozejdźcie się" — krzyknął andrus jakiś — „tylko najbliższa rodzina zostanie przy nieboszczyku"... I w mgnieniu oka tłum się rozbiegł, a zostali policjanci sami nad zwłokami zdechłego psa.

Październik 1861 r.

W Warszawie i w całym kraju[1]) odbywają się ciągle manifestacje. 12-go sierpnia były obchody uroczyste na pamiątkę Unji lubelskiej wszędzie, a najwspanialej na moście na Niemnie, gdzie się połączyła procesja litewska z polską, a wojska nie mogły temu przeszkodzić. Tak to naród nasz domaga się połączenia wszystkich ziem Rzeczypospolitej, a rząd mo-

[1]) W katedrze Wileńskiej 8 maja 1861 r. rozległo się „Boże coś Polskę"... z inicjatywy studentów uniwersyteckich na ferje przybyłych: Józef i Bolesław Limanowscy (ten ostatni patrjarcha socjalizmu później) na czele. Za Wilnem poszło Kowno: na czele Tadeusz Korson (historyk późniejszy) i Dr Konrad Chmielewski. Potem w Białymstoku 19 lipca aż wojsko sprowadzono.

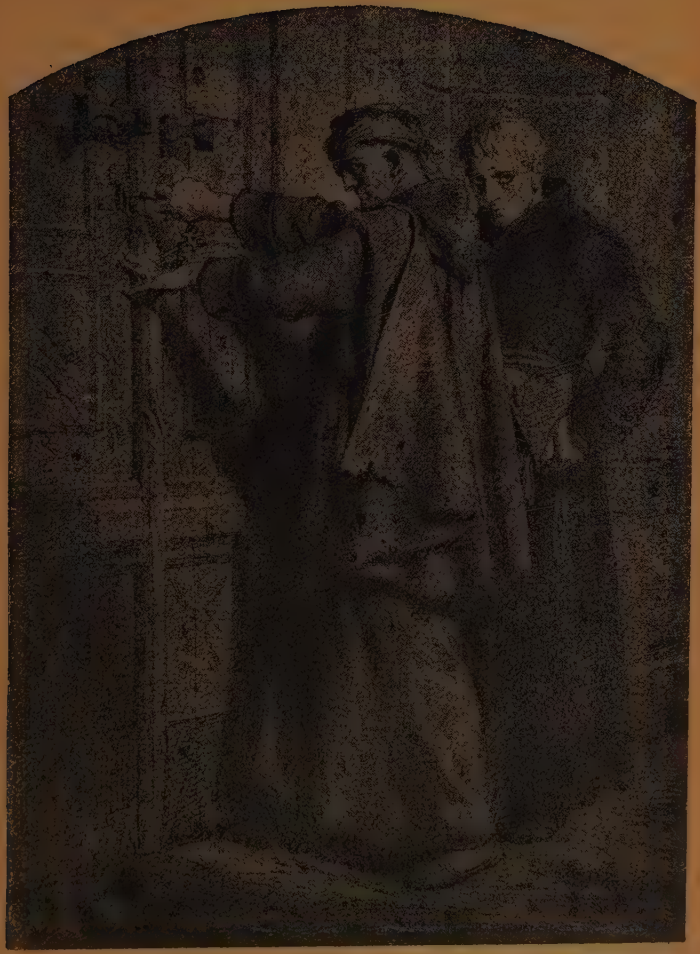

ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁÓW W WARSZAWIE.

skiewski tylko w Kongresówce daje trochę swobód Polakom i to niechętnie. Co z tego będzie?...

Wczoraj wieczorem przyjechał do nas kochany p. Antoni Roguski prosto z Horodła[1]), gdzie się zgromadzono z całego Wołynia i dalszych kresów na pamiątkę unji z Litwą (w 1413 r. za Jagiełły jeszcze). Miasteczko to na granicy samej Wołynia nad Bugiem, więc z Litwy przybyło dużo: ustawiono ołtarz w polu złocistem jesiennem (bo to przecież październik) i odprawiono nabożeństwo, a potem tysiące ludu zabrzmiało pieśniami narodowemi. Wokoło stało wojsko Chruszczewa z dobytą bronią i krew mogła się znów polać, jak w Warszawie; ale generał widać się zawstydził i nie kazał strzelać tym razem do bezbronnych a modlących się tłumów.

Był pan Antoni i na olbrzymim pogrzebie arcybiskupa Fijałkowskiego (zm. 5 października) w Warszawie, gdzie szli i żydzi i protestanci — tłumy ogromne rozmodlone, rozśpiewane — jak okiem zajrzeć. Więc namiestnik ogłosił stan wojenny w Królestwie tak, jak przedtem już Nazimow na Litwie: co chwila rewizje, aresztowania. A jednak 15-go października, w rocznicę śmierci Kościuszki odbyło się nabożeństwo we wszystkich kościołach warszawskich i wszędzie śpiewano pieśni patrjotyczne. Wojsko obstąpiło kościoły, a gdy lud bezbronny wycho-

---

[1]) W kraju odbywały się manifestacje ciągle: 12 sierpnia obchody uroczyste na pamiątkę Unji Lubelskiej; jednym z najwspanialszych było połączenie procesji litewskiej z polską na moście na Niemnie, dokonane mimo oporu wojska. — W październiku ukończyły się uroczystości nabożeństwem w polu pod Horodłem. Naród polski domagał się połączenia wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej.

[1]) vid. Przyp. lit. t.

dzić nie chciał i pozostał dzień cały i noc nawet (dzieci płakały, a wszyscy cierpieli z głodu i pragnienia, ale trwali), — żołnierze wtargnęli już późną nocą do wnętrza kościołów klnąc, bijąc kolbami, kalecząc i uprowadzili do cytadeli 1684 osób. Jednocześnie Kozacy konno upędzali się po ulicach, bijąc nahajkami przechodniów — dzieci, kobiety aż na bruk jak martwe padały — słowem, piekło.

A duchowieństwo z rozkazu biskupa administratora Białobrzeskiego zamknęło wszystkie kościoły, znieważone przez wroga. Umilkły dzwony, ustały wszelkie nabożeństwa, a lud z płaczem, klęcząc modlił się przed opieczętowanemi drzwiami świątyń Pańskich. Lambert kazał wtedy wypuścić uwięzionych; gubernator Gerstenzweig sprzeciwia się temu, słowem dygnitarze pobili się z sobą i wkońcu gubernator się zastrzelił, a namiestnik rozgoryczony wyjechał i wkrótce umarł (na wyspie Maderze).

Wielopolski znów chciał się podać do dymisji, ale tymczasem udało mu się otworzyć dnia 28-go października 1861 r. pierwszy kurs **Szkoły Głównej**[1]), t. j. Uniwersytetu, który miał szerzyć oświatę narodową w języku polskim, bo na to wreszcie zgodził się rząd carski. W tydzień po otwarciu Szkoły wyjechał margrabia do Petersburga.

---

[1]) Z trudem zdobył rząd siły naukowe: Kaz. Kaszewski: psych. i log., Plebański: hist., Szmurło, kierownik ogól. (A. Małecki odmówił) więc liter. pol., młody Edw. Siwiński i t. d. Jednak w czasie krótkiego (7 lat) istnienia swego Szkoła Główna wydała szereg ludzi wybitnych i dobrych obywateli kraju, np. Bron. Chlebowski, A. Dygasiński, Dziewulski, Rzązewski, L. Malinowski i t. d. Kolegą ich był Tytus Świderski, zmarły w Krakowie 1880 r., prof. gimn.

Grudzień 1861 r.

Zagranicą tymczasem wielkie rzeczy się dzieją: po śmierci ojca, książę Władysław Czartoryski zajmuje się sprawami polskiemi, a znów Mierosławski, mianowany przez Garibaldiego we Włoszech naczelnikiem legjonu polskiego (1860 r.) założył w Cuneo szkołę podchorążych polskich. Cóż, kiedy zaczął się rządzić i rozkazywać wszystkim, tak, że nawet młodzież wypowiedziała mu posłuszeństwo i zaprosiła Wysockiego na kierownika szkoły w Cuneo; on zaś w wielkim gniewie powrócił do Paryża, gdzie znów prowadzi swoją partję Czerwonych.

I w Warszawie jest tajny „Komitet miejski", czerwony (Ignacy Chmieleński na czele), który przeszkadza wszędzie stronnictwu umiarkowanemu „białych". — Tymczasem przybył nowy namiestnik, Lüders, generał rosyjski, którego za okradanie rządu wypędzono. Ten zaczął w Warszawie dokazywać, aresztować wszystkich, a księdza Białobrzeskiego skazał na śmierć, tylko car temu przeszkodził.

Wielopolski w Petersburgu znalazł sobie przyjaciół i wyrobił różne dla kraju ważne ustępstwa. I tak: wybrano na arcybiskupa warszawskiego ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego (syna pani Ewy), o którym już dawniej pisałam; przez ten czas był on w powstaniu wielkopolskiem (tj. w Poznańskiem), a później został księdzem (w Łucku) i profesorem Akademji duchownej w Petersburgu. Tu go poznał margrabia i postarał się o to, by został arcybiskupem. W kraju nie wierzono, aby Wielopolski cośkolwiek dobrego uczynił, więc obawiano się i księdza Felińskiego, ale okazało się, że on prawdziwie kocha ojczyznę i kazał się szanować nawet Moskalom, — tylko Czerwoni ciągle coś wymyślają na nowego Arcybiskupa. Kościoły poświęcono na nowo po mo-

skiewskiej profanacji i otwarto, ale arcyb. Feliński stara się, żeby już w miejscach świętych demonstracji nie urządzać i nowych gwałtów nie ściągać.

Wielopolski powrócił z Petersburga, uzyskawszy od cara dużo ustępstw: już teraz można zakładać szkoły zupełnie polskie, nawet mundurki narodowe będą nosili uczniowie, będą polskie sądy i komitety, a na czele rządu w Kongresówce Polak, tenże sam margrabia. Źle tylko, że chłopom nie dał zupełnej swobody i ziemi na własność[1]).

Namiestnikiem, ale już tylko nad wojskiem, został brat carski Konstanty[2]), który nibyto jest życzliwy dla nas: ma małego synka, Wacława, którego karmi mamka Mazurka, a kiedy się malec rozbeczy, grozi mu podobno: „Cichaj, bo cię Moskalom wyzucę!"

Takto niby jest dobrze, ale w Warszawie pełno tajnych stowarzyszeń, a najwięcej się uwija między młodzieżą Jarosław Dąbrowski[3]), młody oficer wojska rosyjskiego, który tu ze swoim sztabem przyjechał. Jest i Komitet narodowy[4]), a Czerwoni chcą

---

[1]) Reformy wywalczone przez Wielopolskiego miały wielkie dla kraju znaczenie, a rozwinięte należycie, mogły prowadzić jeśli nie wprost do niepodległości, to w każdym razie do bytu mniej lub więcej samoistnego.

[2]) vid. Przyp. Konst. lit. f.

[3]) Młody (25 lat), rzutki, zdolny, dla drobnej postaci Łokietkiem zwany, umiał wmówić w młodzież konieczność powstania. (Narzeczony Pelagji Zgliszczyńskiej, wielkiej patrjotki). Przechodził później awanturnicze koleje, uchodził z więzienia rosyjskiego, wreszcie w r. 1870 stał na czele Komuny w Paryżu i tamże zginął młody zapaleniec. Zostawił żonę i 3 synków.

[4]) Komitetu centr. narodowego (VI 1862 r.) członkami pierwszymi byli: Jar. Dąbrowski, Witold Marczewski, Agaton

koniecznie zrobić powstanie. Jarosław Dąbrowski twierdzi, że i w wojsku rosyjskiem istnieje spisek przeciw caratowi, że nam dopomogą, tak, że już w lipcu (1862) można rozpocząć powstanie. A znów Biali odpowiadają, że i oni pragną wskrzesić Ojczyznę w dawnych granicach, ale że teraz to niepodobieństwo; lepiej korzystać z reform zdobytych przez Wielopolskiego (p. Wermiński mówi, że samo to nazwisko, wymówione działa tak na Czerwieńców naszych, jak machnięcie czerwonem suknem przed bykiem na arenie w Hiszpanji, gdzie torreador umyślnie go drażni), uczyć się w Szkole Głównej, gdzie są mądrzy profesorowie, budować fabryki i warsztaty, oświecać lud na kresach i t. d., a gdy będziemy mądrzejsi, bogatsi i silniejsi, wystąpić do walki. Ale zapaleńcy Białych nawet słuchać nie chcą i nazywają ich zdrajcami, co jest przecież nieprawdą.

Lipiec 1862 r.

Przyjechał właśnie jeden kupiec z Warszawy, który o mało co nie został aresztowany na ulicy, kiedy ścigano sztabskapitana Potebnię, Moskala. Rzecz tak się miała: Chrulew (ten, co to kazał strzelać do ludu w Warszawie) połapał odezwy do żołnierzy, podburzające ich przeciwko rządowi, namawiające do usamowolnienia chłopów i t. p., a ponieważ się okazało, że to sami oficerowie rozrzucają i rozdają żołnierzom (więc Jar. Dąbrowski miał trochę słuszności!), uwięziono wielu, a kilku skazano na śmierć (z tych jeden Polak Rostkowski) i roz-

Giller, Wład. Koskowski i Wład. Daniłowski. — Dąbrowski nadzieje pokładał w propagandzie rewolucyjnej między żołnierzami rosyjskimi, powoływał się na „Kołokoł" Hercena (wydaw. w Londynie) i t. p.

strzelano w Modlinie (Nowo-Georgjewsk, jak nazywają Moskale). Mszcząc się za to właśnie ów Moskal, Andrej Potebnia, w ogrodzie Saskim strzelił do namiestnika Lüdersa z pistoletu i zranił go ciężko[1]). W tej chwili kupiec nasz przechodził przez plac Saski i żandarmi chwycili go równie, jak i innych niewinnych przechodniów, a winowajca umknął; ale i ich szczęściem wypuszczono.

Sierpień 1862 r.

Mama mówiła, że ja teraz piszę jak kronikarz; ale kronikarze bywają nudni bardzo, więc może i mój dzienniczek nudny? ale prawdziwy; niech go moje dzieci czytają: zawsze się czegoś dowiedzą o swej ojczyźnie.

Dodam tu jeszcze, że od maja (1862 r.) ustały śpiewy po kościołach na prośby arcyb. Felińskiego, a u nas z powodu awantur, jakie wyrabia policja. Żałobę zdzierają paniom na ulicy policjanci. Po drogach walą krzyże i statuy, mówiąc, że to polski Bóg, więc niewolno mu w „ruskiej ziemi" mieszkać. — A u nas na Wołyniu pełno po wsiach i drogach krzyżów i kapliczek ze św. Janem Chrzcicielem (na pagórkach nad wodą), np. w Nowym Stawie tuż przy grobli, a krzyż obsadzony pięknemi topolami na wzgórzu, gdzie się zwraca do bramy dworu. W całym krzemienieckim powiecie zostawili ledwie kilka krzyżów, na których nogi Pana Jezusa przybite dwo-

[1]) Partja rewolucyjna (mianowicie Ign. Chmieleński rozdrażniony swem usunięciem z Komitetu Centralnego) urządziła szereg zamachów: Jaroszyński strzelił do W. Ks. wychodzącego z teatru; do Wielopolskiego L. Ryll, potem w Alejach Ujazdowskich Rzońca. Zamachy te wywołały oburzenie w społeczeństwie.

ma gwoździami, każda z osobna, bo mówią, że taki Chrystus jest prawosławny. Ale co najboleśniejsze, to to, że zwalono nasz ukochany posąg Matki Boskiej na górze Czerczy, zkąd jakby błogosławił miasteczko. Długo nikt, nawet z Moskali, nie chciał tego zrobić, dopiero jakiś dziesiętnik (policjant), podobno przechrzta, za wiadro wódki obiecał to zrobić: upił się pod wieczór, poszedł, zarzucił gruby postronek na szyję posągu, szarpnął kilka razy, aż statua runęła na ziemię i odbiła się głowa Matki Boskiej. Dziesiętnik powrócił do domu, gdzie go własna żona przeklinała, upił się jeszcze i legł na posłanie; ale w nocy schwyciły go straszne kurcze, wymioty i do rana w okropnych bolach z cholery wyzionął brzydkiego ducha. Ogromne to zrobiło wrażenie w miasteczku i okolicy: nawet Moskale i żydzi powtarzali, że to kara Boża. Ale na Czerczy tak smutno teraz, kiedy się przyjdzie: pusto i tylko rosną białe, pachnące gwoździki, niewiadomo dla kogo...

Niedaleko Krzemieńca, ku granicy galicyjskiej, jest Matka Boska cudowna, jak mówią; w Poczajowie, w monastyrze prawosławnym, który był dawniej unickim, a dziś pełno tam brodatych popów z długiemi włosami, plecionemi na codzień w warkoczyki, i monachów w wysokich kołpakach. Urządzają oni różne nabożeństwa, ale lud tutejszy niechętnie tam chodzi np. niania Zygmusia, prawosławna, poszła do Poczajowa z pielgrzymką i za powrotem przyniosła nam w gościńcu „proskurki“ czyli małe, bardzo białe bułeczki z jakiemiś wyciśniętemi literami, które im dają (za pieniądze) przy komunji prawosławnej; ale mówiła, że ta „Matier-Boża Poczajowska“ nieprawdziwa jakaś, „nie taka święta, jak ta, co u Wielmożnej Pani nad łóżkiem“ (to jest Ostrobramska nasza, z tą śliczną, słodką twarzą). —

Może to źle, że ja tak lubię nawiasy ciągle dawać, ale mnie się wydaje, że tak trzeba, jak gdyby się ciszej mówiło rzeczy mniej ważne.

Sierpień 1862 r.

Niedaleko Krzemieńca mamy Wiśniowiec, dawną siedzibę książąt, gdzie to pojawił się Dymitr Samozwaniec i krewniaczkę ich, Marynę Mniszchównę, poślubił (w poł. 17-go wieku — znów nawias!), ale książąt Wiśniowieckich już dawno niema i zamek z rąk do rąk przechodzi, a są tam piękne zbiory i obrazy; należał do Platerów, do Abomeluków, książąt z Krymu czy z Kaukazu. Ach ten Kaukaz! taki piękny, a taki nieszczęśliwy, bo go także Moskale podbili niedawno; bronili się tam górale jak lwy, ale nic nie pomogło. Pamiętam, jak się modliłam za ich wodza, Szamila, żeby pobił Moskali.

W okolicy naszej jest także Podzamcze, siedziba Tarnowskich; starego pułkownika hr. Marcina odwiedzał mój ojciec i leczył czasami. — Zahajce z pałacem i pięknym ogrodem, z którego pyszne winogrona miewamy i figi (których niecierpię), — własność Bobrów, co to panią Joannę Bobrową uwielbiał Krasiński i Słowacki także; takie piękne wiersze do niej pisali, a mój p. Müller uczył muzyki jej córki: Zosię (później hr. Dzieduszycką) i drugą (hr. Maurycową Potocką; staram się, jak kronikarz, zapisywać te różne genealogje, tylko bez bajek, jakie dawni kronikarze lubili dodawać, np. myszy Popielowe i t. p.). — Jest Horynka hr. Ożarowskich, a sama staruszka hrabina Ożarowska mieszka w Krzemieńcu z córką swoją p. Celiną, już niemłodą. Rodzice często tam bywali i mnie z sobą zabierali; a lubiłam te wizyty, bo śliczne kwiaty rosły w oranżeryjce i w salonie pełno ich było, a pani hrabina prze-

dła na małym politurowanym kołowrotku i nawet portrecik jej był tak zrobiony. Uśmiechała się tak łagodnie i dobroć patrzała z jej siwych oczu, ale smutna była, bo też nieszczęśliwy ten ród Ożarowskich: wszyscy wymierają młodo, albo dostają jakicheś okropnych chorób; i teraz żyje jeden cały pokręcony, z kołtunem i nawpół sparaliżowany. Ma na nich ciążyć przekleństwo, o czem tak opowiadają: jeszcze za panowania Stanisława Augusta, kiedyto lud warszawski wzburzył się i wieszał panów, zdrajców ojczyzny, — prowadzono na szubienicę (pewno na latarnię, bo tak zwykle na ulicy zdrajców wieszano, jak w Paryżu, gdzie wołali: „à la lauterne!") także hr. Ożarowskiego, a syn jego spotkawszy pochód ten, plunął; wtedy ojciec miał się odwrócić ku niemu i zawołać: „Bogdajbyś się wściekł"! To byłoby okropne — może zmyślone; ale dość, że wkrótce pies wściekły ukąsił młodego hrabiego, którego musiano zastrzelić ,a przekleństwo ciąży na dzieciach i wnukach z rodu tego. — Straszna historja, jak z baśni.

Wieś **Białokrynica** hr. Czosnowskich bliziutko miasta, tak, że tam zwykle „do Dębinki" (albo po drodze do „Podlisiec") na spacer jeździliśmy, dopóki były konie. Tam jest pałac nowy, ale bardzo nieładny: ma cztery wieżyczki szpiczaste, jak głowy cukru, blachą kryte. Dużo tam synów, a jedna tylko córka Anielka, ładna i miła.

Ciekawego też mieliśmy sąsiada w domu (Verdoyana) naprzeciwko, gdzie taakże pp. Müllerowie mieszkają. — Był to stary, siwy zupełnie, nizkiego wzrostu, generał Sarabia, Hiszpan, ale służył w wojsku moskiewskiem i nosił różne ordery, któremi obwieszony przychodził do nas dość często, mówiąc, że tak przyjemnie z Mamcią o wszystkiem rozma-

wiać może (naturalnie po francusku, bo po hiszpańsku, ani po moskiewsku nikt u nas nie umiał). Lubiłabym była gen. Sarabię, bo wogóle lubię i szanuję starych ludzi, ale o nim mówiono, że był przy wyrznięciu Oszmiany na Żmudzi przez Moskali i przypominały mi się te okropności, gdy na niego patrzyłam. Generał miał bibljotekę, z której nam pożyczał książki; mnie w szczególności dzieła (romanse historyczne) Walter-Scott'a w wybornem tłumaczeniu francuskiem (Defauconpret). Muszę się po angielsku nauczyć koniecznie, bo tam jest mnóstwo powieści dla młodego wieku i innych bardzo zajmujących. A może kiedyś i ja...[1]) ale nie chcę być zarozumiałą. — Czytałam prócz tego historyczne powieści Kaczkowskiego (np. A n u n c j a t ę), Czajkowskiego z Ukrainy (W e r n y h o r a i inne), Rzewuskiego (L i s t o p a d, mówią że to nudne, ale nieprawda!).

Sierpień 1862 r.

Ale co najciekawsze, nadzwyczajne! nie pojmuję, jak się stało, że do tej pory nie napisałam, to „Dziady" Mickiewicza i to te części zakazane, z Paryża, nie wiem, jakim sposobem, do nas w sekrecie przesłane. — Jak się czyta (wieczorem, przy zasłoniętych oknach, żeby nikt nie dopatrzył i nikt nie przeszkadzał), to, jakby krwawemi głoskami malował nasz poeta to, co się działo w Wilnie ukochanem, kiedy młodzież naszą, dzieci prawie, katowano i na Sybir pędzono, za to, że ojczyznę kochają. — A zaczęło się tak, że uczeń piątej klasy w gimna-

[1]) Oprócz „Opowieści historycznych" pisała autorka „Dziennika" powieści: **Garbusek, Dorcia** i dla małych dzieci powiastki oraz gawędki z nauk przyrodniczych i t. p. „Listy do młodej przyjaciółki" i t. d.

zjum wileńskiem, Michał Plater, napisał kredą na tablicy: „Niech żyje Konstytucja 3-go Maja“ i za to wraz z trzema kolegami poszedł na całe życie w sołdaty. — W szkole w Poniewieżu także rozrzucono kartki o Konstytucji 3-go Maja, — niewiadomo kto? więc Moskale pochwytali różnych chłopców, np. małych Więckowiczów, z których najstarszy miał jednaście lat, — bili ich, męczyli, aż jeden, któremu obiecano, że żadnej kary nie będzie miał, jeśli powie, że to on napisał, a uratuje innych, — wziął „winę“ na siebie; ale jego właśnie, małego Więckowicza, zakuto w kajdany i na Sybir powleczono. O nim pisze Mickiewicz: „Najmłodszy, dziesięć lat nieboże, Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może, I pokazywał nogę skrwawioną“... — W Krożach znów wykryto, że uczeń Janczewski założył między kolegami towarzystwo „Braci Czarnych“ (podobne do Filaretów); pochwycono jego i pięciu innych, trzymano długo w okropnem więzieniu w Bobrujsku a potem ledwie żywych popędzono w sołdaty. — W „Dziadach“ mówi Mickiewicz: „Wywiedli Janczewskiego — poznałem: oszpetniał, Zczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał. Ten, przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały, Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały ów cesarz! okiem dumnem, suchem i pogodnem...“ Działo się to w roku 1822, kiedy młody Mickiewicz pierwsze swoje wiersze wydał, a z Warszawy sprowadzono niegodziwego senatora Nowosilcowa (zamiast księcia Adama Czartoryskiego, który był przedtem kuratorem szkół i niby ulubieńcem cara Aleksandra I). Miano śledzić i karać związki młodzieży uczącej się w Wilnie i innych szkołach na Litwie. — A straszne to były związki: np. Filomaci i Filareci (t. j. „Przyjaciele cnoty“), na czele których stał Tomasz Zan,

zwany przez kolegów „Promienistym", taka dobroć i rozum promieniały od niego; a których zadaniem było, kochając Ojczyznę, służyć jej swą nauką i cnotą przez całe życie. Do nich należał Mickiewicz i jego to wiersz (w 1817 — rok śmierci Kościuszki):

„Pochlebstwo, chytrość i zbytek,
Niech każdy przed progiem miota;
Bo tu wieczny ma przybytek,
Ojczyzna, nauka i cnota".

Młodzież ta akademicka starała się być coraz lepszą, szlachetniejszą; dla niej to napisał Mickiewicz „Odę do młodości", a także: „Hej, użyjmy żywota", bo oni przytem byli weseli, urządzali majówki i wycieczki w śliczne okolice Wilna (Zakret, Werki, Kalwarja, Wilejka i t. d.), pijali tylko wodę źródlaną i mleko, w karty nie grali. — Mały związek Filomatów, tajny, bo Moskale na żadne związki nie pozwalali, — założył inny, liczniejszy, Filaretów, także w celu pomagania sobie nawzajem i służenia ojczyźnie, ale nie przez powstanie, tylko pracą poczciwą. — I takieto związki szlachetnej polskiej młodzieży uważali Moskale za zbrodnię: dawne klasztory zamieniono na więzienia, które zapełniano młodzieżą wileńską i zwożoną z całej Litwy, żeby wyłowić wszystkich, co dla Ojczyzny żyć pragnęli. W „Dziadach" (III cześć) opisane więzienie u Bazyljanów, gdzie za pomocą strażnika, kaprala, Polaka, co niegdyś pod Napoleonem służył, schodzą się więźniowie nocą w celi Konrada, gwarzą i śpiewają. Niektórzy wymienieni po nazwisku, a Konrad to niby sam Mickiewicz, ale przemieniony z dawnego Gustawa, co tylko myślał o swoich własnych uczuciach i zgryzotach, a teraz (jako Konrad) żyje już tylko dla Ojczyzny. Ale trudno mi to tak dobrze wytłumaczyć, bo nawet Mamcia mówi, że ja jeszcze

wszystkiego w „Dziadach“ zrozumieć nie mogę, chociaż czuję, że od kiedy ten dzienniczek piszę, już znacznie więcej pojmuję i odgaduję. Opisany tam także niegodziwy Senator (Nowosilców), Pelikan zły bardzo, a rektor uniwersytetu Wileńskiego, niestety; Doktór jeszcze niegodziwszy, którego piorun zabija i to wszystko prawda! (podobno to ojczym Słowackiego, mąż zacnej pani Bécu; wierzyć trudno). Są w „Dziadach“ takie ustępy, których poprostu czytać nie można, taki żal okropny i groza przejmuje, nawet, choć to grzech — taka nienawiść do Moskala podłego i okrutnego.

W „Dziadach“ niema tego wszystkiego, co ja napisałam o Filaretach i o tych małych uczniach. To wiem od mego ukochanego brata ciotecznego, Stasia Roszkowskiego[1]), tego, co się na Sybirze urodził, a niedawno, przejeżdżając do Warszawy, zdaje mi się, bawił u nas w sekrecie dwa dni. On taki młody, ma lat siedemnaście dopiero, a jest już w uniwersytecie, w Kijowie na medycynie, skończywszy gimnazjum ze złotym medalem. Syn i wnuk powstańców, chciałby także dla ojczyzny żyć, ale mówi, że powstania teraz nie trzeba robić, bo się nie uda, a kraj Moskale przez zemstę zrujnują. Więc on nie jest Czerwonym, jak Leonek S., ale także chciałby chłopów oświecać i doskonale mówi po ukraińsku, a nosi czapkę barankową i burkę, tak, że wygląda, jak prawdziwy Ukrainiec z nad Dniepru; tylko oczy ma niebieskie, takie smutne i rozumne, nie ukraińskie — kochany Staś nasz.

Wrzesień 1862 r.

Kiedy umarł nasz sąsiad, generał Sarabia, widziałam poraz pierwszy zbliska pogrzeb prawosła-

wny — bardzo dziwny. Najprzód leżał na katafalku w swoim salonie, w mundurze, z mnóstwem orderów, a koło niego stała misa z jakąś kutją czy ryżem. Każdy, co wchodził, musiał nieboszczyka w twarz pocałować i zjeść łyżkę tej kaszy (coś niby, jak na stypie pogańskiej). I my odwiedziliśmy zwłoki, ale nie całowaliśmy, naturalnie, i nie jedliśmy. Potem był pogrzeb i niesiono generała w otwartej trumnie, a za nim na poduszce aksamitnej wszystkie ordery. Kiedyś i Tatuńcio dostał order, jakiś miedziany czy bronzowy — „za wojnę Krymską", chociaż wcale na niej nie był i nawet z pewnością Moskalom nie życzył zwycięstwa nad Francją i Anglją. Podobno dużo ludzi zginęło pod Sewastopolem; więc i Polacy, którzy musieli służyć w wojsku moskiewskiem. Ci, co wrócili z wojny, opowiadali, że Krym jest bardzo piękny: ogromne góry i fantastyczne skały wznoszą się nad morzem, które czasem szafirowe i śnieżno białą pianą bryzgające na brzeg, czasem znów staje się naprawdę Czarnem morzem i z hukiem straszliwym rozbija się o skały, a ludzie, co wtedy przybywają do portu, wychodzą nawpół żywi ze statku, bladzi, chwieją się na nogach. Co najzabawniej, to, że Rosjanie takie miotanie statkiem na morzu nazywają „kaczka". (Za to prawdziwa kaczka u nich nazywa się **utka,** a śmietanka to **śliwki;** a podobno **krawat** znaczy łóżko; **kawior** zaś to dywan. Trudno wierzyć, a jednak to prawda).

Bałabym się tej morskiej choroby, po której ludzie wyglądają jak trupy, ale nad morzem to bardzobym chciała być kiedy i płynąć statkiem ogromnym w pogodę. Wogóle chciałabym podróżować, różne kraje zwiedzać, różne piękne rzeczy widzieć, ale przedtem muszę się jeszcze dużo nauczyć.

Ale zapominam powiedzieć, że widziałam także pogrzeb żydowski, co nie jest łatwem, bo żydzi starają się tak chować swego umarłego, żeby ich nikt nie widział, a niosą go także odkrytego, wyciągniętego na długiej desce, w białych pończochach. Cmentarz ich nazywa się **kirkut** i pełno tam białych kamiennych słupków nizkich z napisem; widziałam zdaleka. My mamy dwa cmentarze: jeden „na Tunikach", gdzie leży rodzina Słowackiego i matka jego, pani Bécu; drugi „Bazyljański", gdzie już i prawosławnych teraz chowają, wysoko na górze. Tam jest grób Tatuńcia. Piękny był jego pogrzeb; szło mnóstwo ludzi i ubodzy z płaczem i żydzi nawet, niosąc jakąś księgę (Torę ,podobno, — nie wiem, czy tak się pisze?), grała smutno muzyka, sprowadzona przez starego hr. Leona Krasickiego, który był przyjacielem i pacjentem Tatuńcia. Żydzi Krzemienieccy zawsze pamiętają mego Ojca: i oni zjawili się u Mamy, zapytując, czy nie mogą w czem jej dopomódz, przysłużyć się „żonie i dzieciom Pana Doktora, co nigdy biednego od drzwi nie odprawił i w nocy nawet wstawał do chorego". Dodam tu jeszcze, że żydzi u nas mają zwyczaj w czasie Świąt swoich, jak Pascha, Kuczki (Święto Namiotów) i inne, przynosić do domów znajomych Państwa rozmaite swoje przysmaki, np. macę, makagigi wyborne i „Hamanowe ucha" rozmaitego kształtu i koloru, lukrowane i pachnące; te ostatnie na pamiątkę ukarania owego Hamana, co chciał żydów wygubić, ale Estera wyprosiła ich u króla Ahaswerusa. Przecież Racine o tem piękną tragedję napisał (umiałam z niej dużo wierszy na pamięć).

Oto dopiero zajechałam! od Sarabiego do Krymu, do żydów i Ahaswerusa. Podobno i kronikarze

tak robią, a u mnie nawet nie baśnie, tylko czysta prawda.

Wrzesień 1862 r.

Wczoraj przyszła do nas jedna pani, a zastawszy mię nad książkami, pytała Mamci, czy się nie boi, że z jej córki będzie „bas bleu"? (zabawnie — że Francuzi uczoną kobietę nazywają „niebieską pończochą" — to nieładnie). Mamcia odpowiedziała, że córeczce do uczoności jeszcze bardzo daleko, a każda dobra Polka powinna, oprócz innych nauk, znać doskonale przeszłość narodu swego, swoich poetów i t. d. Zresztą, mówiła Mamcia, ślęczenie nad książkami wcale nie odbiera zdrowia ani żywości córeczce, która ugania się z pieskami, łazi po drzewach w najlepsze, i czasami po dachach, niestety! (O tem świadczą moje sukienki, które Mamcia każe mi naprawiać, co wcale łatwem nie jest, a kto to potrafi, powinienby raczej być nazwany „niebieską pończochą", czyż nie tak?).

Myślałam sobie, dlaczego my się uczymy długo i dokładnie gramatyki francuskiej, a polskiej prawie nic; wstyd mi także, że literatury francuskiej umiem dużo, a polskiej nie, to jest **Historji Literatury** (bo czytam przecież dużo w prozie i poezji), ale trudno dostać książek takich[1]). Dopiero szwagier mój, Al. Szumowski, który, chociaż geograf, interesuje się wszystkiem, przysłał mi, ale zeszyt przez siebie ułożony (bo on zdaje się tajemnie uczy polskich rzeczy uczniów swoich w gimnazjum) i ja to przepisuję

[1]) Wydano w owym czasie w Warszawie „Historję literatury polskiej" Juljana Bartoszewicza, poświęconą uczenicom jego, Marji, Zofji i Emilji Bohowityn-Kozieradzkim — jedynym, choć jej osobiście nieznanym krewniakom „12-letniej Krzemieńczanki".

staraniu. Przywiózł to z Kijowa jeden pan Świderski (nie lubię[1]) tego nazwiska, nie wiem czemu, tak jak nie lubię niektórych imion, np. Tytus; to ostatnie może dlatego, że czytałam kiedyś powiastkę o niedobrym chłopcu Tytusie; zresztą przypomina chorobę niemiłą. — Nasi znajomi, panowie i panie, noszą nieraz dziwaczne imiona, np. Artaxerxes (naprawdę!); wprawdzie to przypomina historją i mitologją, ale w życiu zwykłem zabawnie wygląda. Znam też panie: Kornelją, Hersylją, Olimpją (trzy siostry), Eufrozynę, Hilarynę, Kleopatrę, Glicerją i t. d.). Nie powinnabym pisać takich błahostek, nawet w nawiasie, wracam więc do poważniejszych rzeczy.

Dowiedziałem się, że nasz wielki poeta, Zygmunt Krasiński, pisał takie piękne rzeczy w Paryżu, nie podpisując swego nazwiska i długi czas nie wiedziano, kto jest ich autorem, tak, że Juljusz Klaczko (ów znakomity pisarz żydowskiego pochodzenia) wydał, także w Paryżu, studjum o Krasińskim, pod tytułem: „Le poète anonyme de la Pologne". — A ojciec Zygmunta, generał Wincenty Krasiński, nie był podobno dobrym Polakiem. Ciekawam, jakie będą dzieci poety? a zostało ich dwoje, zdaje mi się: Władysław i Marynia; nazywają się więc tak samo, jak starsze dzieci Mickiewicza, tylko tam jest jeszcze Helenka i Józio. Jakżebym chciała[2]) poznać dzieci ukochanych poetów naszych!

---

[1]) Los zażartował z Krzemieńczanki, później bowiem poznała i poślubiła zacnego prof. Świderskiego, Tytusa w dodatku, a że nie lubiła liczby 13, więc zarówno mąż jej, jak i jedyna córka urodzili się 13-go dnia miesiąca.

[2]) Synowa poety, hr. Marja 2-o voto Raczyńska, była matką zacnego Adama ordynata Krasińskiego (od jego imie-

Był przejazdem w Krzemieńcu jeszcze jeden Sybirak, p. Eugenjusz Żmijewski (któremu się w Warszawie urodziła mała córeczka, także Genia[1]); opowiadał, że w Rosji ciągle spiskują przeciw caratowi (ale jakoś niewielki z tego pożytek!), że wydają tajne czasopisma: „Wielikorus" i „Ziemla i Wola", a w Londynie Hercen wydaje „Kałokoł" (to znaczy: „Dzwon").

Październik 1862 r.

Ważne rzeczy dzieją się w Warszawie. To, co pisać będę, biorę nietylko z opowiadań młodych ludzi, przyjeżdżających z Warszawy i Kijowa, ale i z tego, co mówi p. Beaupré i inni poważni ludzie, a wielcy patrjoci.

Otóż we cztery dni po zamachu na Lüdersa, wjechał do naszej stolicy W. Książę Konstanty Mikołajewicz (tak samo brat carski, jak ów niegodziwy Konstanty Pawłowicz, brat Mikołaja i Aleksandra I, a którego wypędzili powstańcy, Belwederczycy, z 1830 r.) wjechał w ułańskim mundurze. Młody, wysoko wykształcony i ambitny, marzy o tem, by zostać królem polskim, a jego żona (Niemka, księżniczka Altenburska) chciałaby być naszą królową (nieraz już Niemki, nawet za Jagiellonów, zasiadały na tronie polskim). A tymczasem W. Książę

---

nia: „Adasiówka" w Zakopanem), który zmarł młodo, oraz dwóch córek: Zofji i Elżbiety, zwanej Bisią, hr. Tyszkiewiczowej, także młodo zmarłych z suchot. — Znała je autorka „Dzienniczka" później; ale lepiej znacznie znała Marję z Mickiewiczów Górecką i zacnego p. Władysława Mickiewicza, którzy lat podeszłych doczekali. Helena Hryniewiecka zmarła wcześnie we Francji; także najmłodszy Józef.

[1]) Eugenja Żmijewska, później tak znana literatka i publicystka; autorka lubianych ogólnie powieści.

uczy się po polsku od ministra Krzywickiego Kazimierza (to dobry znajomy Mamci), każe odnawiać wspaniałe Zamek królewski i park Belwederski.

(Śliczny to jest park z pałacem cudnym w **Łazienkach,** zbudowanym przez Stanisława Augusta: sadzawki z łabędziami, most z posągiem Sobieskiego, teatr na wodzie, drzewa ogromne, kwiaty i trawniki, pomarańcze, cytryny, wynoszone na lato z cieplarni i t. d. i t. d., a obok znów piękny Ogród Botaniczny; wszystko przy Alejach Ujazdowskich. Musiałam to zamknąć w nawias, już 4-ty na tej stronicy, niby do osobnego pokoiku, żeby nie przerywać opowiadania).

Z powodu tak dobrego usposobienia W. Księcia, możnaby zapewne dużo zmian korzystnych dla kraju naszego uzyskać stopniowo; cóż, kiedy Czerwieńcy ani chcą słyszeć o żadnych układach. Margrabia namawiał Majewskiego, żeby wydał całą organizację Czerwoną w ręce rządu moskiewskiego, a on się postara, żeby ich chwilowo tylko ukarać, aby powstrzymać wybuch powstania, które największe klęski sprowadziłoby na kraj nasz; ale Majewski wahał się, a tymczasem zamknięto go do cytadeli. — Zapaleńcy postanowili przeszkodzić wszelkiemu zbliżeniu z rządem, z Ks. Konstantym i z Margrabią, bo nie wierzyli nikomu z nich, szczególnie Jarosław Dąbrowski i Chmieleński Ignacy. Ten ostatni na własną rękę, bez wiedzy Komitetu centralnego polskiego (więc nieuczciwie) urządził szereg zamachów: do W. Księcia w teatrze strzelił Jaroszyński, do Wielopolskiego Ryll, a potem Rzońca. Zamachy się nie udały, ale wznieciły oburzenie, — nietylko rządu, lecz i naszych stronnictw umiarkowanych (lud wiejski, szlachta, część duchowieństwa i bogatsze mieszczaństwo przeciwne jest powsta-

niu), twierdzących, że młodzież gubi kraj. — Wtedy p. Ludwik Górski starał się połączyć ich wszystkich, żeby razem działali dla dobra kraju, cóż, kiedy na przeszkodzie stoi niechęć wzajemna margrabiego i p. Andrzeja Zamoyskiego. Tymczasem stracono na szubienicy sprawców zamachów, a nazajutrz potem (dnia 27 sierpnia 1862 r.) W. Ks. Konstanty wydał odezwę, w której mówi: „Polacy! połóżcie we mnie zaufanie równe temu, jakie ja w was położyłem: połączcie się ze mną w jednem uczuciu; pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski, prosząc Boga, aby usiłowaniom naszym błogosławił, a nowa epoka dobrego bytu i szczęścia otworzy się dla tej ojczyzny, którą tak miłujecie".

Wielu ludziom wydała się szczerą ta odezwa i postanowili uśmierzać ruch rewolucyjny, a natomiast podać adres do cara, żądając konstytucji z r. 1815 i przyłączenia kresowych prowincji do Kongresówki. Deputacja Białych udała się z tym projektem do Wielopolskiego, ale margrabia przyjął ich bardzo niegrzecznie: „Nie potrzebuję niczyjego poparcia: można coś dobrego zrobić dla Polaków, ale nigdy z Polakami"... Może tak powiedział przez nienawiść ku Zamoyskiemu ale to bardzo niepoczciwie i teraz się nie dziwię, że go w kraju nie cierpią.

Podobno na dworze W. Księcia zaczęli knuć spisek przeciw Wielopolskiemu Polacy (gen. Chreptowicz, hr. Przeździecki, Węgleński Franc. i inni), chcąc kogo innego postawić na czele. W. Książę wzywał p. Zamoyskiego, który znów podobno nie bardzo grzecznie się odezwał do Konstantego i zraził go. Potem szlachta złożyła adres na ręce Zamoyskiego, nibyto w sekrecie, ale rząd się dowiedział i pana Andrzeja wywieziono z Warszawy i wygnano zagranicę.

Grudzień 1862 r.

Są teraz w kraju trzy stronnictwa: jedno (nieliczne) przy Wielopolskim, dba o samą tylko Kongresówkę, czyli Królestwo; drugie, które prowadził p. Zamoyski, pragnie połączyć wszystkie ziemie polskie przez Moskali zagarnięte (więc Litwę, Wołyń, Podole, Ukrainę) z Kongresówką. Trzecie stronnictwo, t. j. Czerwieńcy, nie chcą żadnych układów z Moskwą i pragną bronią wywalczyć całą Polskę niepodległą, jaka była przed rozbiorami.

Poważni, chociaż bardzo Ojczyznę kochający, ludzie mówią, że teraz powstanie udać się nie może. Ja nie śmiem nic mówić, bo cóż ja jestem? mała dziewczynka, która jednak bardzo kocha Polskę naszą, — ale, jak pomyślę, że nasza młodzież rzuci się na Moskala, niosąc sztandary z Orłem Białym i śpiewając: „Jeszcze Polska nie zginęła“..... to mi się serce tłucze w piersi i myślę: a nuż Bóg da?...

Mądrzy ludzie mówią, że Polska słaba, nawet broni niema, ani takiego wojska, jakie posiadała w 1830 r.; że nikt nam nie dopomoże, choć niby to wspominano o nas w parlamencie angielskim i w senacie francuskim (w marcu 1862 r.), że Prusak podły połączy się zaraz z Rosją przeciw nam, że nawet Włosi, co o własną wolność walczyli, ani myślą nam dopomódz (Mazzini oświadczył, że rewolucjoniści włoscy nie chcą powstania w Polsce. Jacyż oni samolubi!). Tak mówią mądrzy ludzie u nas, ale przecież dzieją się cuda czasami! — I tak może niejeden Polak myśli, bo naprzykład p. Agaton Giller, który odradzał powstanie, teraz organizuje Rząd Narodowy, naturalnie tajny, w Warszawie (1 września 1862 r.), a wszyscy w kraju słuchają tego rządu: jedni z przekonania, drudzy ze strachu, płacą

podatek narodowy, przygotowują rozmaite rzeczy: a ten Rząd nasz ma swoich wiernych urzędników, pocztę, gazety swoje, drukarnie tajne. Nawet duchowieństwo nasze (na zjazdach w Kłoczewie i Świętomarzu) ogłosiło, że się poddaje Rządowi Narodowemu, a Wielopolskiego i jego ministrów nikt nie ma ochoty słuchać, chociaż oni właśnie uroczyście otworzyli Szkołę Główną Warszawską, 25-go listopada (rektor Józ. Mianowski mądry i zacny) i Instytut inżynierski w Puławach (które Moskale każą nazywać Nową Aleksandrją) i inne dobre urządzenia zaprowadzili. Ale to nie pomogło i coraz bardziej nienawidzą margrabiego.

15 grudnia 1862 r.

Straszna wiadomość: Wielopolski, podobno za namową syna swego Zygmunta, każe brać rekrutów z ziem polskich, naturalnie do wojska moskiewskiego. Ogłoszono w „Dzienniku Powszechnym" (6-go listopada), że do wojska pójdą tylko drobni właściciele, dzierżawcy, oficjaliści i młodzież z miast (więc szlachta zamożniejsza i chłopi nie pójdą). A jednocześnie rozesłał margrabia tajny cyrkularz do władz, żeby starały się wyłapać i do wojska oddać tych ludzi, którzy burzą porządek w kraju (to znaczy Czerwieńców i innych zwolenników powstania). — Ktoś z urzędników Wielopolskiego wykradł to brzydkie rozporządzenie i przesłał do Krakowa. Gdy je wydrukowano w „Czasie", oburzyli się wszyscy, nawet najbardziej Biali i umiarkowani, nawet przyjaciele margrabiego; ale kiedy mu chcieli perswadować, odpowiedział niegodziwie (żaden Moskal gorzejby się nie odezwał): „Wrzód wezbrał, trzeba go rozciąć". Dodał potem: „Jak się wszystko uspokoi, zobaczą co ja potrafię zrobić dla kraju".

Myślę, że tego nikt nie zobaczy, nawet ci cylindrowi panowie, co na wzór margrabiego noszą na głowie ogromne, do kominów podobne kapelusze (cylindry).

5 stycznia 1863 r.

Długo nie pisałam, bo ciężkie mam w domu zmartwienie. Mateczka bardzo zachorowała i była trwoga o jej życie. Leczą: p. Beaupré, p. Niemeksza[1]) i p. Wermiński kochany ciągle przyjeżdża z Beresteczka. Ja dzień i noc byłam przy Mamie, a kiedy mi raz znajome nasze panie kazały koniecznie się położyć, bo z nóg się waliłam, — zasnęłam. Wtem budzi mnie jakiś szmer, światło błyska w oczy — i cóż widzę? Ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem idzie do Mateczki. Myślałam, że oszaleję z rozpaczy — padam na kolana przy łóżku Mamy, która mię nawet nie widzi, dopiero usłyszawszy, jak się zanoszę od płaczu, położyła mi swoją kochaną rączkę na głowie. Ale Bóg się ulitował i nie zostawił nas zupełnemi sierotami i od tej nocy zaczęło się polepszać Mateczce. To róża straszna przechodziła po kilkakroć przez całe ciało, a kiedy wysypywała się na głowie, było najgorzej. — (Dwie nasze sąsiadki — ciotka i siostrzenica — właśnie pomarły z takiej okropnej róży; jednej podobno oczy wypłynęły).

Teraz już znacznie lepiej Mamci, ale jeszcze długo w łóżku leżeć będzie musiała: nogi ma spuchnięte i wszystkie włosy, takie długie i gęste, wypadły jej zupełnie. Dziś powiedziała mi, żebym ko-

---

[1]) Lekarz Niemeksza był bratem niegodziwego księdza Niemekszy w Wilnie, renegata, jak Siemaszko. Zato wnukiem doktora Niemekszy jest znakomity prawnik, profesor i autor, Antoni Peretjatkowicz.

niecznie zabrała się do dzienniczka, który tak dawno spoczywa, a w kraju wielkie rzeczy się dzieją. Zaczynam od listopada, kiedy raz ostatni pisałam.

10 stycznia 1863 r.

Rząd narodowy był przeciwny powstaniu; ostrzegał ks. Władysław Czartoryski z Paryża przed „walką bez nadziei i chwały" (dlaczego bez chwały?); radzili czekać nawet dowódcy przyszłego powstania (Zyg. Miłkowski, Zyg. Sierakowski, Edm. Różycki i Tomasz Winnicki), zebrani w Warszawie, ale młodzi rwali się do czynu. Tymczasem rząd odkrył tajną polską drukarnię (gdzie wydawano „Ruch"), gdzie aresztowano Szwarcego. Józ. Ign. Kraszewskiego, wielkiego powieściopisarza naszego, który wydawał „Gazetę Polską" wygnano z Warszawy i postanowiono brankę rekrutów urządzić w styczniu (1863 r.). Wtenczas nasz tajny Komitet Centralny zaczął młodzież rozsyłać z Warszawy, żeby ich nie znaleziono przy brance, ale chłopcy rwali się do powstania, a podżegał ich Mierosławski ze swoim Komitetem, który nie chciał słuchać Rządu Narodowego. Co to będzie?

30 stycznia 1863 r.

Nie wiem sama, jak to pisać!... Jestem przerażona, zrozpaczona, a zarazem ucieszona, bo nasze powstanie wybuchło już — w nocy **z 22—23 stycznia.** Tydzień przedtem, także w nocy (16 stycznia) było ogromnie burzliwe posiedzenie Komitetu: większość domagała się natychmiastowego powstania, tak, że umiarkowani nic już zrobić nie mogli: Giller i Marczewski wystąpili z Komitetu, a zwycięzcy powołali Mierosławskiego na dyktatora, a tu wszystkiego brak: ani broni, ani odzieży, ani wodzów. Mło-

DOWÓDCY POWSTANIA 63-go ROKU.

dzież wyszła w lasy **Zegrzyńskie** i do puszczy **Kampinowskiej** niedaleko Warszawy. Źle uzbrojeni, głodni, — zdawało się, że ich wyłapią Moskale, których wojska puściły się w pogoń. Ale podobno generał Ramsay[1]) kazał umyślnie wypuścić otoczonych zewsząd powstańców, na złość margrabiemu i W. Księciu, żeby wojna, jak pożar ogarnęła cały kraj. I tak: Zyg. Padlewski z oddziałem swym przeprawił się przez Wisłę, inne oddziały przez Narew i... biją się.

W marcu 1863 r.

Cóż się teraz u nas dzieje, mój Boże! Niedawno, wieczorem, byliśmy już w łóżkach (bo teraz, kiedy Mamcia taka słaba, kładziemy się wcześnie), gdy dał się słyszeć szmer jakiś, pukanie i jakby otwieranie bramy. Pobiegłam do okna, wyjrzałam, a tu ciemno i chmurno, wiatr świszcze i deszczyk ze śniegiem popaduje; ale naprawdę ktoś zajechał na dziedziniec (dom nasz jest piętrowy od dziedzińca, a parterowy od ogrodu) i cicho rozmawia z Nastką, kucharką naszą, a słychać też głos Izabelki, pokojówki, która zbiegła z góry. Czy mi się zdaje? czy to naprawdę rozmawia Staś R.? ale i ktoś jeszcze się odzywa. Wózek zawraca, wyjeżdża za bramę; zamykają, zasuwają rygle i znów nic nie widać; ale na schodach szmer, ktoś drzwi uchyla: „Pannuńciu, panno Maryjko", mówi cicho Izabelka (to także imię osobliwe), „proszę-no wyjść do garderoby, bo panicze przyjechali"...

---

[1]) Pułkownicy Bremsen i Riedenheim, z licznemi i dobrze uzbrojonemi wojskami, przepuścili oddziały nasze za rozkazem swoich dowódzców, którzy chcą wojny, żeby się wzbogacić łupami, a kraj Polski zniszczyć.

Jacy panicze? myślę zdumiona, — narzucam prędko ciepły szlafroczek i wybiegam, — a tu stoi w burce[1]) Staś nasz kochany i uśmiecha się, ale smutno, jak on zawsze, a ja rzucam się mu na szyję naturalnie (choć on zwykle nie bardzo lubi takie demonstracje). — „Mój kolega, Kazio N. Jak się ma Ciocia?“ — „Jeszcze bardzo osłabiona Mateczka i z łóżka nie wstaje, a Mucha śpi, jak zabity“. — „No, to ty, gosposiu, daj nam gorącej herbaty i każ przygotować posłanie“.

Przez czas choroby Mamci tak się wprawiłam do gospodarstwa, że mię służące nasze szanowały, jak prawdziwą panią; więc rozporządziłam, jak należy: Nastka w kuchni nastawiała samowar, a Izabelka krzątała się około posłania dla gości. Staraliśmy się nie budzić Mamci, która w swem wielkiem osłabieniu zasypiała czasem jak kamień i miała chwilowo, po tej okropnej róży, słuch przytępiony.

„Czy możemy zająć pokoik na górze“? zapytał Staś.

„Nie, bo tam zakwaterowano oficera nam za karę i dla bezpieczeństwa od „miatieżników“ (buntowników), jak mówi kwartalny. Dobrze jeszcze, że nie w saloniku, jak gdzieindziej zrobili! ale kwartalny pamięta zasługi Ojca dla miasteczka naszego (a jednak przecież także dawny „miatieżnik“ z Tatuńcia, jak tylu w naszej rodzinie) i okazuje pewne względy. Zresztą, to oficer Polak, nazywa się Suchodolski; wiem, bo zapisywałam go do księgi lokatorskiej“.

„Był u Was“?

„Wiesz przecie, że w żadnym polskim domu oficerów z wojska moskiewskiego nie przyjmują“.

---

[1]) vid. Przyp. lit. h.

„Na teraz to szkoda, bo możnaby z nich co zrobić. — Pójdziemy zaraz jutro do pana oficera z wizytą, prawda Kazik"?

„Ale Wy sami trochę wyglądacie na „miatieżników": ty, Stachu, w tej burce, a obaj w baranich czapkach, zamiast cylindrów Wielopolskiego".

„To też, proszę Cię Marylko, ukryj gdzie dobrze moją strzelbę, bo lada chwila może spaść na Was rewizja, skoro zwąchają, że się młodzieńcy zjawili. Nawet lepiej, Kaziu, żeby o tobie wcale nie wiedziano, bo ja i tak wyjadę zaraz jutro lub pojutrze".

„Wyjedziesz Stachu? a mówiłeś, że się powstanie udać nie może".

„Tak, ale już się stało: biją się, krew się leje, więc nie wolno żadnemu z nas młodych się usuwać. Zresztą, dla mnie nie nowina; jeśli mię złapią i łagodnie osądziwszy zaślą „na miejsce urodzenia", oprę się w Irkucku"!...

„Tak, może uwzględnią że Sybirak i jedynak" — mówi Kazio — „nas ośmiu mają Rodzice, to nie sztuka, że paru odstąpili Ojczyźnie; ale jego, jak błogosławiła Matka na wyjazd i ukląkł przed nią, to mi się jakoś głupio zrobiło na sercu... Ale panna Marylka czy Maryjka, kiedy jest, jak widzę, głową domu (chwilowo, chwilowo), niech obmyśli kryjówkę na ważne papiery, które mamy ze sobą, a za żadną cenę ich wypuścić z rąk nie możemy".

„Dobrze, wszystko się zrobi (powiedziałam z dumą cokolwiek), a tymczasem pijcie herbatę gorąca, a jest i szynka i te wyborne obwarzaneczki, które Staś lubi i masło świeże do chleba. A może śmietanki? choć prażona, z kożuszkiem".

„Tylko służącym zapowiedzieć trzeba, żeby ani słówkiem nie pisnęły przed nikim, kto, skąd przyje-

chał. O Kaziu nie wspominać, jakby go nie było. A możeby go ubrać w spódniczkę i przyprawić warkocz? Maryjka pewnie jeden ze swoich ogromnych poświęci na ofiarę dla Ojczyzny, co"?

„Pewno że dałabym i obydwa, ale nie dla pana Kazimierza, który ma takie wąsy pod nosem, że ani spódniczka, ani cudzy warkocz nie pomoże".

Nazajutrz poczciwa Nastka raniutko już zamiotła na dziedzińcu i przed bramą, żeby nie było widać śladów kół na błotnistym śniegu, który wczoraj spadł z tej zamieci marcowej. Ona, choć prawosławna i wdowa po moskiewskim „sołdacie", dużo rzeczy rozumie i nie zdradzi nas z pewnością.

18 marca 1863 r.

Staś wrócił zadowolony z gawędki z oficerem i zaraz mię prosił, czybym mu nie pożyczyła tego tomu Mickiewicza z Wallenrodem, bo obiecał go przynieść oficerkowi. — Ja musiałem zawlec z trudem strzelbę Stasiową na strych (i to z łomotem popod drzwi oficera — bo udźwignąć jej nie mogłam) i ukryć doskonale pod staremi rupieciami i pakami, które przesuwałam z trudem i hałasem. Kiedy coś się zwaliło z brzękiem i stukiem, wypadł nagle wojak z gołą szablą (pewno myślał, że „miatieżniki!), ale ujrzawszy przed sobą zakurzoną i także wystraszoną dziewczynkę, co mu do pasa ledwie sięgała (nie wiem kiedy ja wreszcie urosnę? mam trzynasty rok, a wyglądam chyba na dziesięć), zawstydził się i, powiedziawszy „prastitie"! (przepraszam) — po polsku im nie wolno nawet tego powiedzieć — skrył się do swego pokoju. — Papiery pod wieczór zakopaliśmy w skrzynce blaszanej w ogrodzie, tak, jak Mamcia poradziła. — Tak się ucieszyła zobaczywszy swego ukochanego siostrzeńca, ale i zasmu-

ciła, choć wie, że tak być musi. Staś wyjeżdża zaraz jutro, ale nie do partji, tylko w jakiejś ważnej misji (nie wolno powiedzieć nawet nam, poco?). Dużo z nami rozmawiał on, zwykle milczący, a mnie taki piękny wiersz, swój własny, wpisał do mego albumika: „Pielęgnuj Marylko kochana, Iskierkę uczuć rodzinnych — Niech ta iskierka od Boga Ci dana — Gdy wyjdziesz z lat Twych dziecinnych — W ogień miłości się wznieci". — A dalej mówi: Gdy kiedyś staniesz nad kolebką syna, z radością rzekniesz: Jam Matka! — Ale gdy trzeba będzie iść na obronę Ojczyzny, pobłogosławisz syna na bój ten i z dumą powiesz: Jam Polka!...

Czy też będzie naprawdę tak, jak Staś w wierszyku napisał?...

27 marca 1863 r.

Coś złego nam grozi. Już tydzień, jak Staś wyjechał i żadnej o nim wiadomości. Tymczasem wczoraj wieczór zjawił się kwartalny i rozpytywał Mateczkę, gdzie się podział jej „plemiennik", który podobno tu przyjeżdżał...

„Nic nie wiem", odrzekła, „jestem ciężko chora i do niczego się nie mięszam".

„A docz Wasza? ona umna (rozumna), to wsio znaje" (= wszystko wie. Tłumaczę, bo myślę, że moje dzieci nie będą już wcale rozumiały po moskiewsku).

„Córka małoletnia: uczy się i mnie pielęgnuje".

Kazał zawołać służące obie i rozpytywał długo, kiedy przyjeżdżał panicz? skąd? a głównie: czyjemi końmi? Kto z nim był? — Poczciwe służące doskonale się wykręcały i wszystko mówiły, co potrzeba: ciemno było, więc nie widziały koni — pewno bryka żydowska — siedział ktoś drugi — na-

wet nie wiedzą czy mężczyzna, czy kobieta i odjechał zaraż z końmi.

„A jakże panicz odjeżdżał"?

„Wyszedł z domu pieszo i już nie wrócił".

„Ale pewno kogoś przysłał, co"?

„Ja nikogo nie widziała, a do Pani też nikogo nie puszczamy".

Słowem kwartalny nic się nie dowiedział, ale odchodząc powiedział Mamie:

„No, barynia, pamiętajcie, że ja tu jeszcze wrócę jutro".

To znaczy, mówi Mateczka, że będzie rewizja: trzeba jeszcze raz wszystko przejrzeć i pana Kazimierza gdzieś ukryć zawczasu. Pewnie przyjdą, jak zwykle robią, około południa. — Poczciwy kwartalny, widocznie chce nas ostrzedz.

Ale nazajutrz, jeszcześmy spali w najlepsze, — ja tylko swoim zwyczajem kręciłam się po pokoju, — gdy wpadła Izabelka zmięszana z wiadomością, że żołnierze dom nasz obstępują, a tu już słychać, jak kwartalny krzyczy głośno (może umyślnie) na swoich policjantów. Co tu robić? Pan Kazimierz jeszcze w łóżku! Więc coprędzej narzuca palto — i wyskakuje oknem do ogrodu, a my pakujemy Muchę do jego łóżka, którego zasłać nie było już czasu. Ja coprędzej zbieram papierosy porozrzucane (bo ten zacny młodzieniec zapowietrzał nam mieszkanie swojemi papierosiskami; szczęście, że nie cygarem, bo to jeszcze okropniejsze); ściągamy posłanie Muszki z kanapy w jadalnym pokoju, ustawiamy porządnie krzesła. A tu już drzwi się otwierają i wkracza kwartalny ze srogą miną, za nim dwaj żandarmi w szafirowych mundurach i żądają widzieć „chaziajkę" (gospodynię); maszerują też wprost do pokoju sypialnego i stają przed łóżkiem Mateczki,

zapytując, gdzie „komnata", w której mieszkał plemiennik, bo tam tylko będą robić rewizją?

„Pokaż, Maryjko", mówi Mama, ale tam jeszcze leży mój synek".

„Niczewo", odpowiada kwartalny, „nie zrobimy mu krzywdy, choć to także mały miatieżnik". — (I pewno, bo był jeszcze maleńki, za życia Ojca, gdy zjawił się u nas na Nowy Rok z powinszowaniem policmajster Saranda, podobno poczciwy człowiek (a nazwisko nie moskiewskie jakieś), w mundurze, z szablą dzwoniącą po piętach i w jakimś hełmie szpiczastym. Tatuńcio wprowadził go do swoich pokoi, gdzie niebawem wpadł Zygmuś na kiju, jak na koniu. Stanął zarumieniony na środku, a policmajster wyciągnął ręce do ślicznego chłopczyny o ciemnych kędziorach i żywych czarnych oczkach.

„No daj rękę, kawalerze".

Cofa się powoli Muszka, coraz bardziej czerwony: „Przepraszam, nie mogę, bo... bo... Pan Moskal!" i wylatuje z pokoju. — Nikt nic nie powiedział, bo co tu było tłumaczyć, a Muszka pobiegł do Mamy pytać, czy mu teraz głowę utną). — Otóż dopiero nawias palnęłam.

Tym razem mały miatieżnik zakrył się z głową, zobaczywszy wkraczającą siłę zbrojną, a zabawnie wyglądała, skulona w dużem łóżku ta mała, czupurna figurka.

Nie wiem czemu, kazali panowie Moskale przyjść obu naszym służącym, żeby, oprócz mnie, asystowały przy rewizji, i przetrząsali sumiennie tłomoczek pana Kazimierza, jako własność Stasia, zaglądali do szuflady i t. p., a tylko się dziwię, że ich nie zaintrygowały resztki świeżego papierosa i popiół w popielniczce, której nie zauważyłam przy łóżku, sprzątając tamże. Może myśleli, że „mały

miatieżnik" już pali? Naturalnie, nic nie znaleźli, prócz kilku papierów z zadaniami arytmetycznemi, bo właśnie p. Kazimierz, mając wolny czas, zaczął był mi tłumaczyć algebrę. Zabrali te papiery, sądząc zapewne, że to jakieś cyfrowane tajemnice. W naszych pokojach nic nie szukali i wogóle byli bardzo względni, pewnie dzięki kwartalnemu, bo gdzieindziej tak nie było: zabierali często różne rzeczy „do przejrzenia" i te już nie wracały do właściciela.

Daremnie jednak Mateczka pytała (po polsku, bo oni wszyscy rozumieją, jak chcą), dlaczego Stasia szukają? Czy wiedzą co o nim? Nie chcieli nic powiedzieć, ale Mama była ogromnie niespokojna. Oni za to nie dowiedzieli się wcale, że „plemiennik" nasz przyjechał końmi p. Antoniego Roguskiego z Nowego Stawu, a o to im właśnie szło. Jakoś pan Antoni umie się im doskonale wymykać: naprzykład wcale nie doszli, że był pod Horodłem, na tym wspaniełym obchodzie litewsko-polskim.

29 marca 1863 r.

W sam dzień rewizji, późnym wieczorem, nadjechał z Beresteczka Dr Wermiński, odprawiwszy konie gdzieś w mieście, żeby ślad zatracić, — i od niego o wszystkiem się dowiedzieliśmy. Straszne rzeczy! Staś, choć taki młody, wyprawiony był przez Rząd Narodowy zagranicę do Austrji (t. j. właściwie do Galicji wschodniej), żeby przewieźć transport broni dla powstańców. Przeprawił się szczęśliwie w tamtę stronę, a potem udało mu się przewieźć broń, dzięki ciemnej nocy z wichrem i zadymką. Dopomagał i doktór W. Broń zakopano w lesie, a Staś na resztę nocy ukrył się w chacie poczciwego leśniczego, który należał do sprawy. Zaledwie jednak, śmiertelnie znużony, usnął, gdy zaczął go

budzić gwałtownie leśniczy, bo „objeszczycy“ (straż graniczna) obstępują sadybę. Widocznie ktoś zdradził; pewnie żydy-szpiegi, których mnóstwo się kręci na granicy i przemycają towary dla siebie, a zarazem służą rządowi moskiewskiemu. Zaledwie był czas wyskoczyć przez boczne okienko i ukryć Stacha w kopicy siana za leśniczówką. Żołnierze tymczasem dobijali się gwałtownie do drzwi chaty i tłukli w szyby w oknach, klnąc i wrzeszcząc po swojemu. Leśniczy, — wróciwszy coprędzej, — udawał zaspanego, a kiedy go zaczęli szarpać i szturkać, żeby wskazał, gdzie tu miatieżniki „rużje“ (broń) ukryli, odpowiedział, że nic nie wie, nie widział ani broni, ani buntowszczyków. Wywlekli go i kazali iść z sobą, a niebawem, przyświecając sobie smolnem łuczywem, choć już świtało, natrafili na wzruszoną (choć ubitą) ziemię i, naturalnie, broń znaleźli. Nie koniec na tem: zaczęli szukać „miatieżnika“, bijąc i dręcząc leśniczego, aż padł skrwawiony i ledwie żywy na ziemię, nie pisnąwszy słowa, — poczciwy! I już mieli odejść, podpalając chatę, kiedy któryś, sprytniejszy, zaczął „sztykiem“ (ostrzem bagnetu) kłuć kopicę siana raz i drugi i... uderzył w coś twardego. —Boże mój, Boże wielki! jak pomyślę, że mógł tak samo trafić w oko lub głowę naszego Stacha... a on trafił w gruby but jego. Rozrzucili w jednej chwili stóg siana i zobaczyli kogoś, co zerwał się na nogi i stanął przed nimi wysoki, dumny, ale młodziutki, dziecko prawie. Nie wiem, co się stało, że go nie bili, nie zranili, ale obstąpili i powiedli do Beresteczka, skąd, tegoż dnia, skutego w kajdany, powieźli do Kijowa, gdzie ma być r o z s t r z e l a n y, nasz ukochany Stach.

Wszystko to opowiadała doktorowi córka leśniczka, która się ukryła była na drzewie i ztamtąd

widziała, co dokazywali, a potem dopiero mogła przybiedz do miasteczka o ratunek dla ojca nawpół martwego. — Dr Wermiński wystosował list do Jenerał-gubernatora kijowskiego, że to on przemycał broń palną, a Roszkowski nie wiedział nawet, co jest w pakach. Sądzi, że to choć w części uratuje Stacha, a sam natychmiast uchodzi zagranicę (zapewne do Serbji), gdzie go już nie dosięgną Moskale.

Można sobie wyobrazić, co się działo z Mateczką, z nami wszystkimi, słuchając tego opowiadania. Dr W. uspokaja, mówiąc, że małoletniego (Stasiek ma dopiero siedemnaście lat) nie rozstrzelają, ale czy można w to ufać? Moskale nad dziećmi się pastwią przecież. — Ale podobno przyszedł donos, że ważny emisarjusz wyjechał z Kijowa zagranicę, przez Krzemieniec, i dlatego tak u nas szukali papierów i rozpytywali z kim przyjechał.

Co teraz będzie? nie wiem. Mateczka chce natychmiast jechać do Kijowa, choć ledwie z łóżka podnieść się może. Dr W. chciałby ją powstrzymać, ale sam widzi, że tu trzeba działać na gwałt, ratować więźnia naszego, papiery oddać gdzie należy i p. Kazimierza wywieźć niepostrzeżenie.

31 marca 1863 r.

Jesteśmy na wyjezdnem: pójdzie nasz poczciwy stary kocz-kareta po Babuni mojej, co jeszcze Rodziców do ślubu woził, a przed paru laty nas na Ukrainę; wygodny, pakowny, ciemno-zielonem suknem wybity, cały zakryty, tylko zamiast szklanych drzwiczek po bokach, zamyka się grubemi skórzanemi firankami; pod głównem siedzeniem jest spora skrzynka, a druga takaż pod kozłem, trzecia wsuwa się pod przednie siedzenie, nad którem w górze sporc okno przegradza nas od kozła, ale widać tamtędy

staugreta czy „jemszczika", jak tu nazywają pocztyljona powożącego. Z tyłu za pudłem karety na platformie przyśrubowana ogromna waliza, nad którą zwykle zawiesza się inną, długą, na suknie zwaną, nie wiem czemu w a s z ą (może dlatego, że kryta skórą krowią, ale i inne tak samo). U nas, zamiast tej wiszącej, przytwierdza się ogromny skórzany tłumok z pościelą, przywiązany sznurami i przypasany łańcuchem, zamkniętym na kłódkę (i dobrze się stało, bo kiedyś w nocy złodzieje na trakcie przecięli sznury i tylko na łańcuchu trzymał się drogocenny tłumok, jak się zrana okazało). W skrzynkach wewnętrznych jest mnóstwo prowizji i wiktuałów, które służą do przekąski w powozie, albo na popasach, gdzie z nich się przyrządza gorące a smakowite potrawy. Podróż trwa po dwa, trzy i więcej dni, bo u nas ani myślą robić kolei żelaznej. A teraz do Kijowa Mateczka chce jechać dzień i noc bez przerwy, żeby prędzej stanąć; tylko trudności są wielkie z wyrobieniem „podorożnej", t. j. świadectwa, na które obowiązani są dawać konie pocztowe według liczby osób wymienionych. — Nie chciano wypuszczać Mateczki, podejrzanej o wspólnictwo z miatieżnikiem, dopóki trzech obywateli nie poręczy za nią; musiała więc, biedna, obandażowawszy popuchnięte nogi, ubrać się i jechać do sprawnika, gdzie podpisał poręczenie p. Antoni Roguski (wierzą jemu ci Moskale, a raczej udają że wierzą, otrzymując rozmaite podarki ze wsi, śniadańka i inne grzeczności) i dwóch innych panów, ziemian. Napisano więc podorożną dla „urodzonej" Julji i t. d. wdowy po „sowietnika" (znaczy: radca; w Rosji prawie każdy musi być radcą, zwłaszcza szlachcic („dworjanin"); ale tego radcostwa jest 14 stopni podobno, aż do „tajnego, aktualnego itd. sowietnika"), jadącej w in-

teresach familijnych (pewno że familijne, ale jakie?) do Kijowa, z córką „Marją Aleksandrowną" (nazywam się tak, jak carowa) i synem Sigismundem Aleksandrowiczem, oraz służanką, Jesafełą Pawłówną (biedna Izabelka!) i „buduszczim" (lokajem) Kazimirem Pietrowiczem (naprawdę jest on synem Hermogenesa). W ten sposób przemycamy p. Kazia do Żytomierza, gdzie ma się stawić przed Rządem Narod. z raportem o naszym Stachu kochanym. — Pojedziemy czterma końmi pocztowemi, z początku traktem zwykłym, szerokim, potem drogą bitą, czyli szosą (wtedy może trzy konie wystarczą), dzień i noc. Tak się boję o Mateczkę, która na nogach utrzymać się nei może; taka blada i szczupłutka. Dziś rano braliśmy błogosławieństwo na podróż w kościele; Mamcia nie mogła klęczeć, więc jej ksiądz Dziekan kazał przynieść fotelik; p. Kazia nie można było wziąć, bo wcale na lokaja nie wygląda, chociaż sobie wąsy zgolił; zresztą Izabelka dusi się od śmiechu, ile razy spojrzy na swego kolegę. Jutro mamy wyjechać rano. Wielki jeszcze był kłopot z odkopaniem i ukryciem w powozie papierów, które mamy odwieźć; a i mój kochany dzienniczek pojedzie, nie powiem gdzie i wierszyk ręką Stacha napisany, zaszyty w moim kaftaniczku.

2 kwietnia 1863 r.

Musieliśmy się zatrzymać na całą dobę w Żytomierzu. Szkoda, że taki brzydki czas, bo miasto tak pięknie położone nad Tetersowem; pełno ogrodów zielonych i kwitnących w lecie, wzgórków malowniczych, skał nadbrzeżnych. Ale teraz tylko mgła, deszczyk drobny i błoto szkaradne na uliczkach. — W drodze, a jechaliśmy bez przerwy przeszło dobę, nie mieliśmy żadnych przygód (niestety!

niema co opisywać); zatrzymywaliśmy się parę razy, nie wysiadając, dla smarowania powozu i wtedy nasz „lokaj" przynosił gorącą herbatę (czaj) ze stacji pocztowej; dla mnie nawet „śliwki" (t. j. śmietankę), bo nie lubię czystej herbaty i zajadaliśmy przytem domowe zapasy, przez Nastkę przyrządzone (ona została, by domu pilnować i „dobytku" naszego). — Zabawne jest to „smarowanie" powozu: przynoszą taką dźwignię drewnianą, osadzoną na kozłach, podważają ekwipaż, zdejmują koło, odkręciwszy mutrę (i łonek, taki niby kołek, pionowo założony) i oś ostudziwszy (bo się ogromnie rozgrzewa, czasami nawet zapała), smarują obficie tłuszczem (którego całą puszkę wieziemy z sobą). Potem zakręca się wszystko napowrót i tak z każdem kołem po kolei. — Wieczorem zapalono grube świece stearynowe w latarniach po obu stronach kozła. — Nasz „lokaj" schował się także do powozu, bo mu było zimno (piękny wojak!) i siedział obok Izabelki na przodzie. — Na trakcie dużo było błota, ale kiedy wjechaliśmy na szosę (zapomniałam na której stacji), zaraz inaczej: jechało się prędko, a stacje murowane, duże, wyglądały jak porządne domy; można tam nocować wygodnie na sprężynowych kanapach i nastawiają ogromne błyszczące samowary dla podróżnych, ale Mateczce tak trudno wysiadać, żeśmy jej przynosili do powozu, co się dało. — Raz dostaliśmy do wiezienia „sztafetę", czyli rządową depeszę, wyręczając posłańca umyślnego; założył ją sobie za czapkę nasz „jemszczyk", żeby była widoczna i wtedy coprędzej wyprowadzano nawpół już zaprzężone konie ze stacji następnej i pędziliśmy dalej bez zatrzymania. Podobała mi się taka jazda, a przed wieczorem wpadliśmy do Żytomierza, gdzie już straszne były dziury, wyboje i błocko chlapiące

na ulicach. Biedny nasz kocz wyglądał jak... „nieboskie stworzenie", chciałam powiedzieć, — dość że okropnie.

Wujostwo Rucińscy kochani przyjęli nas nadzwyczaj serdecznie, a Mamcię, to prawie wynieśli z powozu.

„Czemu nie pomagasz, niezdaro!" — zawołał żartobliwy, jak zwykle, Wuj na lokaja, którego Mateczka spiesznie przedstawiła; a Ciocia Lucysia poleciła Wiszniesi poczciwej (stara ochmistrzyni), która wyszła na nasze spotkanie w białym wygarnirowanym czepeczku, wiązanym pod brodą (i różne starsze panie noszą takie same białe i czarne czepeczki na siwych, gładko przyczesanych włosach), żeby zaraz usłała wygodne łóżko dla Mateczki. — P. Kazio mimo spóźnionej pory wybrał się na miasto, chociaż Wuj go ostrzegał, że bez latarki nie wolno teraz nikomu o zmierzchu pokazać się na ulicy.

„A czy z latarką nie aresztują"?

„I owszem, jeśli się nie pokaże porządnej legitymacji".

„A właśnie dlatego wolę nie oświetlać swojej figury. Trafię gdzie trzeba, a proszę na mnie nie czekać, bo może na noc nie wrócę".

I ruszył, prosząc tylko, o zachowanie papierów, po które później on, lub kto inny uprawniony się zgłosi. — Nazajutrz raniutko zjawił się p. Kazio z innym młodzieńcem, oświadczył, że musi zostać w Żytomierzu, umówił się wraz z towarzyszem o ukrycie papierów i pożegnawszy się serdecznie z Mateczką i z nami, zniknął. — I my wyruszamy, ale dopiero jutro rano, bo trzeba jakąś naprawkę zrobić w koczu nadwerężonym pospieszną w tak sędziwym jego wieku podróżą. I Mateczce przyda się wypoczynek,

WIDOK KIJOWA — ŁAWRA.

chociaż słyszeć o tem nie chciała, spiesząc do Cioci i mając część papierów do przewiezienia.

7 kwietnia 1863 r. w Kijowie.

Mój Boże! czy ja się spodziewałam, że tu, w tym starym Kijowie, siedząc przy biórku, pisać będę; gdy głowę podniosę, widzę przez okno Złotą Bramę, w którą to „Szczerbcem" uderzył nasz Chrobry Bolesław (w XI wieku). Tylko, że ona teraz nie jest ani Złotą, ani nawet bramą! To ruiny murów, ściągnięte u góry ogromną żelazną klamrą i poprzykrywane szkaradnie daszkami z zielonej blachy, według moskiewskiego smaku; wszystko na zielonym wzgórku, resztce dawnych okopów. Tuż niedaleko jest sławny monaster **Sofijski,** ogromnym opasany murem, skąd się odzywają co chwila gwałtownie dzwony: „bum-ba-łum, bum-ba-łum" i t. d., a zdala błyszczą złociste kopuły. Ale to przynajmniej wspaniale wygląda i znać, że świątynia stara nieskradziona od nas i nie przybrana temi krągłemi cebulami.

Dalej, na tej samej, W. Władimirskiej, ulicy jest znów monastyr **Michajłowski,** dalej cerkiew **Andrejewska** i wiele, wiele innych, o czem później chyba opowiem, bo teraz muszę opisać nasze przybycie i wjazd, naprawdę z przygodami.

Otóż, wyjechawszy wczesnym rankiem z Żytomierza, mieliśmy nadzieję przed nocą przybyć do Kijowa, zwłaszcza że się trochę wypogodziło było. Raz tylko zatrzymaliśmy się trochę dłużej na stacji (Korystyszów?) dla nasmarowania powozu i zjedzenia objadu (z kurcząt, dostarczonych przez Ciocię Lucysię i t. p.). Mówili ludzie, że oś się paliła i że trzeba było ją suto nasmarować. No, i wyruszyliśmy, a tu znów deszczyk mżyć zaczyna. Mijamy

jedną i drugą stację i wreszcie: ostatni „progon" do Kijowa, może jakie 20 werst, ale już się zupełnie ściemniło. Nagle — trraf! łup! kocz przechyla się okropnie na moję stronę, aż ze wstrząśnienia uderzyłam mocno czołem o głowę siedzącej naprzeciw i drzemiącej, zdaje się, Izabelki. — Stajemy... co się stało? Kocz, jakby wrył się w ziemię, na lewym boku przechylony. Jemszczyk wyjął latarnię z powozu, ogląda — okazuje się, że: „Trastia jeho matieri", — jak to oni klną (choć niewiadomo, co to ma być „macierz" kocza?), przednie koło strzaskane zupełnie o kamień na szosie, na który w pędzie wjechaliśmy! — Niema rady; ani kroku powóz nie ruszy, a tu noc, zimno, ciemno, choć oko wykol i leje. Zdaleka widać światełka z sadyby (5—6 werst do Kijowa) „Bez-grust" (Sans-Souci znaczy), ale ani sposób się dostać do tego miejsca Bez-troski. — Rada w radę: Mateczka decyduje, żeby pocztyljon wyprzągł jednego konia i oklep ruszył do Kijowa po pomoc. Przy świetle latarni powozowej napisała Mamcia kartkę do Aleksandra Szumowskiego, prosząc, by coprędzej przysłał jakiego pewnego człowieka do pilnowania powozu i rzeczy, a po nas jaki wehikuł, gdziebyśmy się we czworo zabrać mogli. Tymczasem okazało się, że nieopodal od szosy jest karczemka, gdzie przy sobocie zebrało się sporo chłopów i zabawiają się po swojemu. W powozie zostać nie można, bo zimno i deszcz zacieka, więc tylko Izabelka dzielna, otuliwszy się płaszczami i kocami, zostaje do pilnowania i rycerski Mucha z nią: dla obrony, jak mówi, bo zabrał ze sobą szabelkę, którą ma gdzieś wetkniętą w przedniem siedzeniu. Mateczkę i mnie z trudem przez błoto lepkie i głębokie przeprowadza, a raczej przenosi jemszczyk poczciwy do tej karczemki, ale cóż za okropna „go-

spoda"! Izba ciasna i niska, pełna dymu z machorki i bakunu (tytoń obrzydliwy, który palą w fajkach chłopi tamtejsi), a na ławach siedzą przy wielkich stołach chłopi w czapicach baranich i ciemnych siermięgach, przepasanych czerwoną krajką, i piją cuchnącą straszliwie wódkę, „horyłkę" (po naszemu okowitę). A muszą już być porządnie pijani, bo kiedy jemszczyk zaczął do nich przemowę, zalecając, żeby się zaopiekowali słabą panią z „rebionkami" (dziećmi), to jeden ze starszych jak wstał, zataczał się na nogach i potroszę bełkotał; jednak zachęcał, żeby się „barynia" nie bała, bo on „starszyna" we wsi, to już nie da krzywdy zrobić „bolnej" (chorej) żenszczynie, ani „detynie" (to niby mnie). Ostatecznie zostałyśmy w tej jaskini, ale nie można było wytrzymać: dym wygryzający oczy i płuca, tak, że zanosiłyśmy się od kaszlu i łzy lałyśmy bez płaczu; a w dodatku ochrypłe śpiewy tych pijanych ludzi, czkawka, grube słowa i coś o „proklatych miatieżnikach".

Wreszcie Mateczka, która doskonale mówi po małorusku czyli ukraińsku (i ja też niezgorzej), zwróciła się (kaszląc i krztusząc się, coprawda) do starszyny i przemówiła do niego, pięknie prosząc, by nas obie zaprowadził do powozu, gdzie jeszcze jedna detyna, malczyk, został i Mamie „skuczno" (tęskno) za nim. Perswadował zrazu i namawiał, żebyśmy skosztowały „horyłki", to nam zdrowiej będzie; wreszcie dał się przekonać i wziąwszy Mateczkę na ręce, jak małą detynę, wyruszył przodem po tem straszliwem błocku; mnie zaś oddał swemu „onuku" wysokiemu, wódką i machorką cuchnącemu chłopu, który także w ramiona mię porwawszy, kroczył, chlupiąc w ciemności przez kałużę przydrożną. Ja tymczasem mocno w obu rękach dzierżyłam worek

skórzany z pieniądzmi i t. d., powierzony mi przez Mateczkę, a swoją haftowaną torebkę z różnemi ulubionemi przedmiotami, pamiątkami i przyborami do podróży zawiesiłam na lewej ręce. Dobrnęliśmy do powozu, który się wydawał rajem po tej karczemce; Mateczka obdarzyła naszych opiekunów groszem, wydobytem ostrożnie, żeby ich uwagi nie zwrócić i odeszli, zostawiając nas w ciemności. — Wtedy dopiero spostrzegłam (nie mogę powiedzieć: zobaczyłam) o rozpaczy! że znikła moja ukochana, misternie urządzona i wypełniona torebka, z książeczką do nabożeństwa, srebrnym ołówkiem od Stacha i mnóstwem ulubionych a pożytecznych drobiazgów, które się dostały zapewne do „onuka“ i nawet nie będzie wiedział, co z niemi zrobić; a myślał pewno, że pieniądze znajdzie w torebce. Wstyd mi się przyznać, ale zapłakałam gorzko nad tą stratą; a były i wiersze różne, drobniutko przepisane, i fotografja pięciu poległych i szpilka ze srebrnym orzełkiem, wpięta kunsztownie w podszewce... No, trudno. — Mamcia mówiła, że dobrze, iż nas zupełnie nie obrabowali, a mogli przecież to zrobić.

Ciężko było czekać te kilka godzin, ale wreszcie, wreszcie tętent, turkot i — późną już nocą — nadjeżdża pomoc. Oprócz pocztyljona są dwie dorożki, tak zwane, jak się później dowiedziałam, „pietuchy“ (koguty) malutkie, płytkie jak talerzyk wózki jednokonne, na których ledwie się utrzymać można, żeby nie spaść, a dwie osoby na jednym obejmują się wpół i w dodatku trzymają się (jak my np.) za pas „kuczera“, który w grubym tułubie wywatowanym i lakierowanym, dziwacznym kapeluszu na głowie, wygląda jak lalka wypchnana, z brodą i grubemi wąsami; (mieliśmy kiedyś taką zabawkę, ale z saneczkami, kupioną w Krzemieńcu u „markietanów“;

to był taki sklep moskiewski, gdzie i czaj czyli herbatę dobrą kupowano i „konfiekty Bałabuchy“ i nawet halwę turecką).

Jako opiekun przyjechał młody, bardzo poczciwy, jak się okazało, lokaj Tomasz, który zostać miał przy powozie i dostawić go później do Kijowa; my zaś zabraliśmy się z odrobiną rzeczy na te dwa koguciki („pietuszki“) jednokonne: na jednym ulokowali się Izabelka i Mucha, trzymając się mocno wpół, żeby nie spaść; na drugim ja z Mateczką, o którą się okropnie bałam. Szczęściem deszcz ustał cokolwiek i nawet księżyc przedzierał się przez chmury. Jechaliśmy stroskani przez uśpione Sans-Souci, potem przez przedmieścia Kijowa opodal Korpusu Kadeckiego i tak jakoś około godziny 4-tej nad ranem zatrzymaliśmy się przed domem, gdzie nas czekano.

8 kwietnia 1863 r.

Od Tomasza już wiedzieliśmy, że Ciocia Roszkowska jest mocno chora i leży w łóżku w gorączce, więc trzeba było przed nią ukrywać uwięzienie Stasia. A jakże wobec tego wytłumaczyć nagły, szalony prawie przyjazd Mamy, o której wiedziano, że przed tygodniem jeszcze z łóżka nie wstawała? To też plątała się nieraz Mateczka nasza, nie przyzwyczajona do zmyślania, ale Ciocia brała to za osłabienie pamięcie po róży w głowic. — Na razie witali nas serdecznie Szumowscy oboje i Julcia Roszkowska, ukochana moja siostra cioteczna, a rodzona Stacha, także „Sybiraczka“ (starsza o lat trzy odemnie), taka piękna i wysoka, że ja przy niej jak Liliput wyglądałam. Mieszkanie było duże i piękne, bo Szumowski ma pensjonat chłopców obywatelskich z Ukrainy i Podola, a mieszka też z nimi Matka jego

staruszka zacna i pobożna bardzo, która mię sobie upodobała i wierzyć nie chciała zrazu, że ta drobna istota pisywała właśnie takie listy w czasie choroby Matki i domem zarządzała, załatwiając różne interesa.

„Myślałam, że to dorosła panna" — mówiła babcia Szumowska — „a to taka okruszyna".

Okazało się, że Szumowscy przez tajną jakąś pocztę narodową byli już powiadomieni o przywiezieniu naszego więźnia w kajdanach i że miał być sądem polowym skazany na rozstrzelanie, jako niebezpieczny emisarjusz, ale małoletniość na przeszkodzie stanęła. Obecnie siedzi nawet nie w podziemiach (kazamatach), ale w takim pawilonie, co się nazywa **14 numer.**

Zaraz nazajutrz po przyjeździe, mimo osłabienia i nóg spuchniętych, Mateczka chciała jechać do fortecy (Cioci powiedziano, że jedzie do doktora, uparłszy się, by go do domu nie sprowadzać: „Także dziwactwo" — mówiła rozżalona C. Antolcia), a ja ubłagałam, żeby i mnie zabrano. — Towarzyszyła Wandzia Szumowska, bo Aleksander nie mógł się tam pokazywać; i tak już był źle widziany przez Moskali.

Forteca kijowska stoi na Peczersku, t. j. na górze, gdzie się także znajduje Ławra Peczerska, sławna cerkiew o kopułach złocistych, pełna bogatych ołtarzy i popów brodatych o długich do ramion włosach i kołpakach wysokich, rozszerzonych ku górze. Mnóstwo „monachów" (mnichów) mieści się w murach klasztornych, z pod których głębokie, ogromne podziemia ciągną się aż do Dniepru podobno. Można ze wzgórza też zejść po schodach, których jest 234, nad rzekę, a wtedy po lewej stronie widzimy rozciągający się **Padół,** całe mia-

sto portowe i handlowe nad Dnieprem. O wszystkiem tem później się dowiedziałam. — Teraz wjeżdżaliśmy z hukiem ponurym w sklepione bramy fortecy, a było ich trzy, daleko jedna od drugiej, śród grubych murów, między któremi wznoszą się rozmaite budynki: na lewo Ławra ogromna, tam znów Arsenał, otoczony piramidami, usypanemi z olbrzymich kul działowych i armatami. Baszty okrągłe: Północna, Prozorowska i t. d.; pod niemi więzienia podziemne, a wokoło wszędzie wały z ziemi usypane (które potem zazieleniły się całe). Były różne budynki, magazyny i składy, dom plackomendanta (Musnickij się nazywa), strażnice, kordegardy, a wśród tego wszystkiego na placyku niewielki żółty pawilon, właśnie ów Czternasty Nr. Nie pozwalano nikomu widzieć się z więźniem, więc tylko można było przejechać się zdala, naprzeciw zakratowanych okien więzienia, przez które wyglądali właśnie, zwabieni turkotem i krzykiem straży (karauł), która odpędzała dorożkarza nahajkami, bo to byli Kozacy i nie pozwalała przejeżdżać blisko okien. Był to jednak jakiś poczciwy (znajomy Szumowskim) „kuczer" i wywijał się tak, że mu się udało parę razy przejechać i wrócić, a w jednem z okien, za gęstą kratą ukazał się nasz Staś ukochany, machając ostrożnie ręką, bo widocznie nas poznał. Chciała Mama chusteczką dać mu znak, ale taki piekielny hałas wznieciли Kozacy, bijąc konie nasze, że galopem trzeba było odjechać. — Tak mi się radośnie i smutno zarazem zrobiło, bo nasz Stach żyje przynajmniej, choć za tą straszną kratą. A on, zobaczywszy Mateczkę, domyśla się, że papiery i wszystko w porządku.

W sąsiedniem oknie był ów Dr Trachtenberg Adolf, zacny człowiek i patrjota (choć z żydów)

z Żytomierza. Żona jego, młoda i miła pani Emilja T., pięknie śpiewająca, mieszka tu blisko nas z malutkim synkiem Bogusiem. Jej znowu sąsiadką jest p. Pietkiewiczowa, której mąż, Adam Pług, ten znany autor powieści rozmaitych (Oficjaliści, Boża czeladka i t. p.), jest także aresztowany, chwilowo, jak mówią. — Ja się cieszę małym Bogusiem, który u nas często przebywa, bo Mama jego cierpiąca, albo zajęta sprawami więziennemi męża swego. — Są tu rozmaite domy polskie, z któremi Szumowscy żyją w przyjaźni, a wszyscy się spotykają co święta w kaplicy uniwersyteckiej (na Bulwarnej ulicy). Jest i duży kościół katolicki na wzgórzu, ale tam ciasno i zimno, jak teraz. — Jużto cały Kijów jest zbudowany na wzgórzach wysokich, a ulice niektóre są tak strome, że podobno w zimie stają się ślizgawką, nietylko dla ludzi, ale i dla koni. — Miasto z powodu wielu cerkwi wydaje się rosyjskiem i ciągle słychać dzwony hałaśliwe po monasterach, ale też co chwila mowę polską słyszy się na ulicach i po sklepach.

12 kwietnia 1863 r.

Tam się biją garstki młodzieży naszej po lasach i borach, — głodni, źle odziani, walczą po bohatersku z wrogiem tak licznym, potężnym, że po dziesięciu, dwudziestu i więcej przypada na jednego z naszych, a jednak nigdzie się nie poddają, nie tracą odwagi, oni, prawie dzieci nieraz. Czasem przekradną się do jakiego dworu[1]), gdzie ich ogrzeją i na-

[1]) Czytać: Bolesławity: Czarna perełka, Czerwona para i t. d.; Zmogas (Rodz.) Pożary i zgliszcza. Walewskiej (Jéhanna) Kryjaki. Andrz. Struga: Nasi Ojcowie i t. d.

Czytać: „Wierną rzekę" Żeromskiego i t. d.; ale tam źle, nie wiernie przedstawieni powstańcy, a zwłaszcza dzie-

karmią, ale niech się tylko Moskale dowiedzą (a szpiegów kręci się niemało), choć już powstańców dawno niema, — wpadają, rabują, mordują, palą dwór cały. Tylu krewnych i przyjaciół naszych tak ginie lub w nędzę wpada, a my tu siedzimy cicho niby, ale wszystko wre i kipi w tych, tak zwanych Ziemiach Ruskich.

Mieszka w Kijowie ów kochany p. Gasper Maszkowski (co to pod szubienicą stał i 200 rubli połknął) ze swoim starym sługą i dawnym towarzyszem, którego Powstańskim nazwał (to chłop z jego, skonfiskowanej przez Moskali wsi na Wołyniu: dziw, że go ci za samo nazwisko teraz nie wieszają); często do nas przychodzi, do swej dawnej koleżanki z Sybiru C. Antonilli Roszkowskiej i jej rodziny; opowiada nam mnóstwo ciekawych rzeczy i wiadomości z kraju i zagranicy, a że jakoś bardzo na mnie łaskaw (jak przedtem już p. A. Beaupré), więc wolno mi tego wszystkiego słuchać. — Otóż p. Gasper, Aleksander Szumowski i inni poważni ludzie a wielcy patrjoci, starają się młodzież powstrzymywać od powstania teraz (jak w Warszawie najzacniejszy młody Roman Żuliński, Ruprecht i Jurgens i t. d.), kiedy wyginąć muszą bez broni i pomocy. Ale młodzież słuchać nie chce, oburza się i niedawno temu zacnemu Sybirakowi, p. Maszkowskiemu, przysłano stryczek z tajnego Rządu Narodowego, niby jako zdrajcy Ojczyzny! To samo obiecano Szumowskiemu, który ze zgryzoty się rozchorował (przez kilka dni ciągle żółć wyrzucał), ale nie ustąpił. — Leonek Syroczyński[1]), który podobno jest

---

wczyna, panienka polska z owych czasów; księżna zaś wprost nikczemnie. Pełno nieprawdopodobieństw.

[1]) L. Syroczyński zagrożony mocno w więzieniu śledczem, gdzie go trzymano, umknął zapomocą przyjaciół i udał

naczelnikiem miasta (18-letni!), wyjechał do Warszawy i mówią, że go do cytadeli pochwycono (a tu jest jego kuzynka i narzeczona Leonja Janakowska, siostra powstańca Antoniego J.[1]). — Pełno młodzieży kręci się około Szumowskich, gdzie jest kilku młodych korepetytorów, a jeden już nawet Muchę uczy.

Ciągle myślę, czy jabym już teraz nie mogła na co przydać się Ojczyźnie, kiedy chłopcy nie wiele odemnie starsi idą w szeregi powstańcze (np. czwartoklasista z Lublina Stef. Brykczyński). Są przecież kobiety-kurjerki, które wożą pocztę, żywność, broń (Izabela Bieczyńska w Lubelskiem[2]) i t. d.); na to bym się nie przydała, bo jestem rozpaczliwie mała, ale może dlatego znów łatwobym się prześliznąć

---

się zagranicę, gdzie w Liège ukończył inżynierję górniczą, walcząc z niedostatkiem (bo majątek na Podolu rząd zasekwestrował). Potem wraz z żoną, która dzieliła jego losy, zamieszkał w Galicji, a wkrótce został profesorem Politechniki lwowskiej. Pisał fachowe rozprawy i dużo zdziałał dla górnictwa w kraju. — Wydał w 50-tą rocznicę W s p o m n i e n i a z 1863 r o k u i u p r z e d.

[1]) A. Janakowski utracił dwa palce w powstaniu, mimo tego grał pięknie, a skończywszy inżynierję, oddawał się jednak pracy pedagogicznej.

[2]) W Lubelskiem zasłynęła Zofja z Koźmianów Przewłocka (2-o voto Goniewska), której syn walczył w powstaniu, ona zaś miała szpital dla powstańców, a we wsi swej trzy pokolenia chłopców wyuczyła czytać i pisać. Została też uwięziona i wywieziona w głąb Rosji (1864 r. wraz z szesnastoletnią córką Zofją, dzielną pomocnicą w pracy patrjotycznej, a która na wygnaniu poznała i poślubiła Stefana Kowerskiego, wygnańca z Litwy. Osiedlili się później w Lubelskiem, wychowali liczną rodzinę, a p. Zofja Kowerska została znaną autorką. („O wychowaniu macierzyńskiem“ (nagrodz.) i liczne powieści i nowele).

mogła? Starsi mówią, żeby się uczyć, hartować na przyszłość, a tymczasem szarpie skubać...

Był w Kijowie p. Aleksander Jabłonowski, ale teraz podobno aż w Turcji się znalazł, gdzie on i p. August Kwaśniecki i inni akademicy, którzy stąd uchodzić musieli (bo ich policja tropiła), próbują podobno znaleźć pomoc dla nas. Dziwne to, ale teraz, tak jak już przedtem (gdy był tam Mickiewicz 1855 r., Zamoyski Władysław i inni) Turcy, których nasza Polska tak biła dawniej, okazują nam więcej życzliwości, niż narody chrześcijańskie (nie mówię już o tej podłej Austrji, co się tak odpłaciła za Sobieskiego i t. d.). Jest tam u nich i Jeż (Miłkowski) i Czajkowski (Sadyk pasza), co to i biją się świetnie i powieści piszą.

15 kwietnia 1863 r.

Mój Boże! coś się u nas przygotowuje i trudno tego nie widzieć — narady, szepty; wieczorem do późnej nocy rozmawiają zamknięci w gabinecie Aleksandra, albo on wychodzi i nie wraca aż chyba nad ranem, a tu krążą patrole konne po mieście. Mówią tu, że na Wielkanoc popi po monastyrach noże święcić będą i rozdawać chłopom i miejskim kacapom, żeby wyrzynali panów i ludność polską. Czyż nie lepiej w powstaniu ginąć, niż być zarżniętym, jak kura w domu? Coby dziwnego w tem było ze strony Moskali? — alboż to Austrja w 46-tym roku nie pchnęła chłopów do rzezi, gdzie to hersztem był Szela (jak niegdyś hajdamacy Gonta i Żeleźniak w Humańszczyźnie 1768 r.), a urzędnicy i starostowie (przeważnie Czesi zniemczeni) płacili nagrody za każdą głowę zamordowanego szlachcica (zaczęło się w Sanockiem, gdzie samych Boguszów czternastu wymordowano).

Ci popi tutejsi, zwłaszcza monachy, okropnie wyglądają, jak zbóje: brody gęste, „wzrok dziki, suknia plugawa"... tylko jeszcze w ręku nie dzierżą „ogromnej buławy".

2 maja 1863 r.

Długo nie pisałem, ale co się przez ten czas przeżyło! Mnie się zdaje, żem już stara: dziwię się, że mi włos nie posiwiał, a pisać to jużbym chciała chyba krwią z serdecznego palca utoczoną. Chyba ja już nigdy się nie zaśmieję, nigdy się bawić nie potrafię po tem, co słyszałam i widziałam na własne oczy.

Już od kilku dni widać było niezwykły ruch między młodzieżą: wszyscy strzygli włosy króciutko przy samej głowie, wpadali i wybiegali równie szybko, rzuciwszy kilka słów po cichu komuś ze starszych, a p. B. Krypski powiedział, żeby dla Muszki wziąć zamiast niego innego, starszego nauczyciela. — Kiedy przyszliśmy do p. Antoniowej Krzyżanowskiej (miłej bardzo i wykształconej żony doktora, mającej malusieńką córeczkę Jadzię), miała czerwone oczy i szyła jakąś ceratową torbę dla brata swego Kasperka, także Krzyżanowskiego, na podróż, jak mówiła (domyśliłam się, co to za podróż). C. Roszkowska już była zdrowsza znacznie i wiedziała o uwięzieniu syna, ale nie mogła otrzymać pozwolenia na widzenie się z nim. Wychodzi jednak częściej niż Mateczka, która dotąd sił odzyskać nie może. Jednego dnia poszliśmy do kościoła i do kaplicy uniwersyteckiej, gdzie dużo młodzieży przystępowało do Komunji świętej, a matki ich modliły się ze łzami.

Kiedy wróciliśmy do domu, zbliżyłam się do Cioci R., uklękłam przy niej i powiedziałam: „Cio-

teczko, ja widzę, że coś bardzo ważnego przygotowuje się u nas i modliłam się bardzo serdecznie. Prawda, że i u nas będzie powstanie"?

„Tak, z Kijowa wyruszą powstańcy nasi kochani; ale nie trzeba o tem mówić nikomu, żeby się policja nie dowiedziała".

„Ciotuniu, a czemuż oni tak widocznie się przygotowują? Strzygą włosy, chodzą poubierani inaczej, niż zwykle. Przecież nawet moją uwagę to zwróciło, a cóż dopiero policji"?

Tegoż samego wieczora, 26-go kwietnia, Mateczka położyła się z powodu silnego bolu głowy, ale Ciocia R. widocznie gdzieś się wybierała, gdy się już ściemniło. Zbliżyłam się nieśmiało i cichutko prosić zaczęłam, by mię wzięła z sobą, gdyż się domyślam o co tu idzie, a nikomu słówka nie pisnę. Wyszłyśmy: deszczyk mżył znowu i mgła wisiała nad miastem, a księżyca zupełnie widać nie było. Szłyśmy wolniutko W. Włodzimierską, potem Bulwarną, a tu co chwila zza węgła wysuwała się grupa po trzech lub czterech chłopaków, każdy z laską, z tornistrem na plecach i znikali w ciemności, a Ciotka R. za każdą taką gromadką krzyż w powietrzu kreśliła. Na ulicach nie widać było ruchu żadnego, tylko nagle rozległ się tętent i przeleciał koło nas konny patrol, nie zatrzymując się. A tu z końca W. Włodzimierskiej wyjechał jakiś mały oddziałek konny i zwolna ku rogatkom pokłusował.

„Olszański" — szepnęła Ciocia.

Czy oni naprawdę nie dostrzegli tych grupek, ani tego oddziałku naszego, które my, mimo ciemności, rozpoznawałyśmy? czy udawali tylko?...

Wróciłyśmy do domu i Ciocia, uklęknąwszy przed obrazem M. B. Ostrobramskiej w pokoju Szumowskich odmawiała: „Przed oczy Twoje Panie",

„Święty Boże"... i t. d., a wszyscy, co mogli, klęcząc powtarzali. (Zapomniałam powiedzieć, że znów chorowały obie moje kuzynki: Julcia i W. Szumowska i to na taką dziecinną chorobę, jak kur czyli odra — dziwno, że my z Muchą tego nie dostaliśmy).

I zdaje się, że nikt tej nocy nie spał, nawet uczniowie z pensjonatu niepokoili się jakoś, że ledwie ich mógł utrzymać Francuz poczciwy p. Janin. Ale nic nadzwyczajnego słychać nie było, tylko przelatywały od czasu do czasu patrole; ale nad ranem wydawało się, że zdaleka dochodzi jakby odgłos strzałów i... znowu nic. Chłopcy musieli iść do szkoły i Aleksander także, choć był blady i zmieniony, jakby po chorobie. Dzień cały przeszedł w wielkim niepokoju: kilka razy zjawiał się ktoś u nas, a na chwilę wpadł p. Gasper. Nic napewno nie wiedziano, ale przynosili pogłoski: podobno powstańcy nasi, zgromadziwszy się w poblizkim lesie, gdzie miała być ukryta broń, przemycana oddawna, — znaleźli zaledwie trochę zardzewiałych pałaszów, pistoletów i strzelb, tak, że nie wystarczało dla wszystkich; ruszyli jednak dalej, nie ścigani przez nikogo. A jednak słychać było jakieś strzały; co to znaczy?

4 maja 1863 r.

Na trzeci dzień dopiero od rana jakiś gwar niezwykły w mieście — zbiegowiska po ulicach. — Ciotka, Mama i ja z niemi naturalnie, wyszłyśmy na ulicę, gdzie już tłum kacapów i bab tłoczył się, klnąc i odgrażając na „miatieżników", których miano prowadzić do sądu (Prisudstwienne miesta). I my w tę stronę podążyłyśmy: tam już żandarmi, straż konna tworzyły jak gdyby kordon, żeby tłumu nie dopuszczać. Jednak Ciocia próbowała się przecisnąć, tak, żeby módz widzieć naszych biedaków i odezwać się

do nich, gdy nadejdą, żeby wiedzieli, że nie sam wrogi tłum ich otacza. Tymczasem jakiś żandarm ogromnym koniem swym cofając umyślnie w tył, omało że nas nie rozgniótł, ale jakiś poczciwy pan w cylindrze rzucił się i laską uderzył konia, „rugając" (łając) przytem po moskiewsku żandarma, a gdy mu Ciotka dziękowała, uchylił kapelusza, przedstawiając się: „Trubeckoj". — A tu właśnie słychać coraz głośniejsze krzyki, tłum ciśnie się, kotłuje poprostu: widać oddział żołnierzy pieszych, a za nimi... Boże, mój Boże — gromadka naszych chłopców kochanych — ale jakże wyglądają? poznać ich nie można: niektórzy na nogach się ledwie trzymają — pokrwawieni, twarze blade, sine, obrzękłe — temu ręka wisi, jak bezwładna, ten kuleje i wspiera się na towarzyszu z obwiązaną głową. — A za nimi tłum chłopów zajadłych, pijanych chyba, z kijami, z cepami i popychają tych naszych nieszczęśliwych i chełpią się, pokazując zakrwawione kije: „To ja ciuju pałkoju rozbyw jemu hołowu"...

Coś mię zdławiło w gardle, aż myślałam, że upadnę, ale Mama, Ciocia i inne panie nasze przecisnęły się aż ku męczennikom naszym i wyciągając ręce, wołały: „Niech Was Bóg błogosławi" i łzami się zalewały, a oni to posłyszeli mimo wrzasków tłumu i pozdrawiali głową, ręką, jak kto mógł; ale żołnierze uderzyli w bęben i wpędzali ich, jak gdyby trzodę, w bramę gmachu sądowego. Niektórzy nasi potykali się i padali, inni pokładli się już w sieni, nie mogąc iść dalej i wrota zamknięto i już ich nie widzieliśmy, bo wszystkich rozpędzano. Chcieliśmy doczekać, aż ich będą wypędzać czy wywozić do fortecy, ale już nie było sposobu; i nasz niespodziany opiekun nic poradzić nie mógł; tylko nas ku domowi odprowadził.

Okazuje się, że kiedy owej nocy (27 kwietnia) oddziałki połączyły się za miastem i uzbroiły się jako tako w wydobytą z ziemi lichą broń (nibyto przygotowaną przez Mierosławskiego), nadjechał oddziałek konny z dwudziestu kilku chłopaków, pod wodzą Romualda Olszańskiego, nauczyciela konnej jazdy: był to starszy już człowiek z rodziną, dawny oficer i perswadował, jak mógł, uczniom swoim, żeby się nie puszczali na ruchawkę w tak fatalnych warunkach, ale kiedy go słuchać nie chcieli i mówili, że lepiej wyginąć wszystkim, aniżeli pozwolić na to, by Moskale myśleli, że ten „kraj zabrany", jak nazywają Wołyń, Podole, Ukrainę (te kresy naszej Rzeczpospolitej dawnej), nie łączy się już z resztą Polski, z tymi powstańcami, co tam w Królestwie, na Litwie krew przelewają, — gdy mu to wszystko tłumaczyć zaczęli, — więc i on, Olszański przezacny, choć miał matkę staruszkę i ojca ślepego i żonę i dzieci sześcioro, — porzucił wszystko i wyruszył z nimi: „Nie puszczę Was samych, dzieci moje"... To ich oddziałek przekłusował koło nas przez ulicę owego wieczora. — I oni strzelali do Moskali z lasu, a ci myśleli, że to jakiś duży oddział.

5 maja 1863 r.

Powoli dowiedzieliśmy się, jak i co się działo z naszymi powstańcami. Mieli oni ze sobą „Złotą hramotę" (Złote pismo), t. j. pismo do ludu, gdzie Polska obiecywała wolność i ziemię tym, co pójdą bronić kraju i pomogą odzyskać niepodległość od Moskwy. Od dawna już tajni emisarjusze nasi szli między lud, starając się go przygotować, uświadomić: wierzyli weń, chcieli tworzyć jakieś polsko-ukraińskie, połączone z nami, jak dawniej Litwa, państwo. Młodzież nasza, akademicy kijowscy i inni

bratali się z tym ludem; i byli tacy, co się nazwali Ukraińcami, np. Tadeusz Rylski, pan licznych włości, który usunął się nawet od towarzystwa polskiego i oburzał się, gdy mu to za złe poczytywano; ale on wierzył, że chłop ukraiński za Polską pójdzie (jak niegdyś Litwa i Ruś Czerwona). Co to dziwnego? My wszyscy rośliśmy w miłości dla ludu, wierzyliśmy, że byle go oświecić, on pozna, gdzie ma szukać opieki i dobra dla siebie. — Zapomniało się o buntach Kozackich, o rzezi humańskiej; lubiło się język tego ludu (małoruski[1]), pieśni jego, strój, chaty słomą kryte, obsadzone malwą[2]) i słonecznikami. Pamiętam, z jaką rozkoszą przed paru laty mieszkałam z Mateczką i Zygmusiem przez kilka tygodni w chacie chłopskiej, w Kozińcach (blisko Tulczyna) w czasie wesela Wandzi Roszkowskiej, kiedy dla licznych gości ze wszystkich stron kraju miejsca we dworze zabrakło. U gosposi naszej byliśmy na chrzcinach, a córeczkę jej na moją cześć Maryjką nazwano. A teraz — teraz — mój Boże...

Powstańcy więc nasi rankiem wyruszyli do wsi okolicznych, żeby ludowi odczytywać „Złotą Hramotę"[3]). Wielu z nich było znanych im, bo albo z obywatelstwa okolicznego pochodzili, albo z Kijowa się nieraz przemykali na gawędki i „rozhowory" z gospodarzami; a tamci słuchali, przytakiwali chłopskim zwyczajem i zdawało się, że wszystko dobrze: tyl-

---

[1]) Język ten, skażony później moskiewszczyzną, wyrodził się zupełnie i zatarł w pamięci. Nad podniesieniem go pracowali Polacy w Kijowie i t. d. wydając pisma i broszury rusińskie. Z czasem wytworzyło się trzy różne narzecza (niby „ukraińskie") i 3 alfabety.

[2]) Krajobrazy Stanisławskiego.

[3]) vid. Przyp. lit. k.

ko okazji czekać. — Ale byli inni emisarjusze o wiele zręczniejsi i chytrzejsi, przez rząd wysyłani na przeszpiegi i agitacją. Ci, przy wódce lub kartach umieli ludzi tumanić, budzić drzemiącą a wrodzoną nieufność do panów, nienawiść do Lachów, o których im niestworzone rzeczy opowiadano: ot i teraz naprzykład „śpiewają modląc się o „pańszczyznę (Ojczyznę, wolność racz nam i t. d.), a chcą chłopa oszukać, obiecując złote góry"... Panom wierzyć nie trzeba, tylko „carowi Białemu": ten da ziemię i pieniądze i pańskie sadyby chłopom odda... Więc gdy we wsi Sołowjówce[1]) znalazł się oddział powstańczy z Jurjewiczem Ant. na czele i wódz wezwał starszynę (niby wójta) miejscowego, żeby ludzi zebrał, ci zgromadzili się na placu przed karczmą i zaczęli słuchać odczytywania Złotej Hramoty. Jurjewicz, otoczony swoim oddziałkiem, stał na wozie, niby na mownicy i odczytywał piękne słowa odezwy w czystym ukraińskim[2]) języku, a chłopi przysuwali się, coraz ciaśniejszem kołem otaczając powstańczy oddziałek, i inni jacyś ludzie kręcili się między chłopstwem. Czytanie się skończyło i nagle huknęło: „Bery miatieżnikow"! i rzuciło się chłopstwo z cepami, z kijami na oddziałek uszykowany ze sztandarem polskim wokoło wozu. Ten i ów porwał za broń, ale wódz krzyknął: „Nie wolno do ludu strzelać!" i chciał mówić, chciał powstrzymywać. Nie było sposobu: chłopstwo rozjuszone, pijane (bo

[1]) vid. Przyp. lit. L.

[2]) W czasie wielkiej wojny 1914 r. i agitacji antypolskiej między Rusinami nazwano Ukrainą to, co nią nigdy nie było; więc Galicję wschodnią, Podole, Wołyń, Chełmszczyznę i t. d. Także dawny język małoruski znieprawiony teraz obcemi naleciałościami, nazwano ukraińskim, a wielu Rusinów wcale nim mówić nie umiało.

podobno całą noc po karczmach lała się wódka i zapowiadano, że przyjdą miatieżniki, co chcą cara zabić), tłoczyło się ku wozowi. Padł Jurjewicz i wielu innych (Bol. Krypski, Dorożyński Józef, Izbicki, Szaramowicz, Strzelczenko itd.), a tych co na ziemi leżeli, deptało chłopstwo, biło cepami i pałkami. Niektórzy z naszych bronili się pięścią gołą jak lwy, a tymczasem nadciągały moskiewskie oddziały, kazały rannych i trupy ładować na wozy i wieźć do urzędu. Sami już nie potrzebowali strzelać, bo chłopstwo, jak psy ze sfory, wypuścili na powstańców. Dlatego to w Kijowie policja udawała, że nie widzi naszych przygotowań, wypuszczała oddziałki powstańcze za miasto, żeby je tam dać wymordować przez chłopstwo. I nietylko powstańców, ale rzucono się na obywatelstwo polskie po wsiach (tak jak przed 17 laty w Galicji 1846 r.), mordowano i rabowano, a poranionych na wozach niesiono do Kijowa (np. p. Piotrowskiego, p. Knothego[1]) i wielu innych), nibyto za bunt i podburzanie ludu przeciw carowi. — Okropnie pisać o tem wszystkiem, ale okropniej patrzeć i słuchać coraz to nowych i smutniejszych wieści, bo powstanie szerzy się na Podolu i Wołyniu, a wszędzie zdrada czyha na nich i wszędzie lud idzie za rządem.

10 maja 1863 r.

Co my dziś widzieliśmy! tego nigdy nie zapomnę. Wiadomo było, że Olszański, który z od-

---

[1]) Ferdynand Knothe, po długiem więzieniu, dłuższe lata spędził wraz z rodziną na wygnaniu w Rosji. Tam przyszedł na świat młodszy syn, Bohdan, znany później jako zacny lekarz i patrjota w Kijowie, gdzie (w czasie wielkiej wojny) leczył troskliwie siwowłosą już wówczas autorkę „dzienniczka", zestarzały zabytek z 1863 roku.

działkiem swoim (24 ludzi) konnym cudów dokazywał, został wreszcie pojmany i ma być dziś prowadzony do fortecy, gdzie go rozstrzelają odrazu, jako byłego oficera armji rosyjskiej. Znowu tłumy czekały na ulicach, a co jest nas tu Polaków, wszystko się wysypało mimo gróźb i klątw kacapstwa, podburzanego i tu przez popów i czynowników. Czekała matka staruszka Romualda Olszańskiego[1]) i ślepy ojciec, siostra, żona w żałobie (bo to był jakby pogrzebowy pochód) i dzieci sześcioro. Długo staliśmy tak na ulicy, popychani i szturchani, zwłaszcza przez baby kacapskie, które „Lachiw" przeklinały, aż się ukazał oddział żołnierzy pod bronią, a w pośrodku Olszański w kajdanach. Szli prędko, ale gdy z boku wyprowadzono ślepego starca, matkę i całą rodzinę więźnia, — tłum jakby oniemiał i sołdaci się zatrzymali, a więzień, brzęcząc kajdanami, z trudem ukląkł przed Rodzicami i ci go błogosławili — na śmierć — poważnie, uroczyście. Poklękały dzieci — jedno takie maleńkie! — żona, siostra i te znów błogosławił więzień na życie dla Ojczyzny. W tłumie zapłakano głośno, bo nawet ci kacapi coś czują, ale żołnierze krzyknęli: „W pierod"! i pognali więźnia na Peczersk do fortecy, gdzie się za nim ciężkie bramy zamknęły. W nocy zawieziono tam księdza, a o świcie rozstrzelano bohatera i pogrzebano ciało tak, żeby nikt nie wiedział, gdzie spoczywa. Ale dusza trafi pewnie tam wysoko, gdzie może lepszą dolę dla Ojczyzny wyprosi.

25 maja 1863 r.

Jak my tu żyjemy teraz! Wszystko się skupia około fortecy, która coraz nowymi więźniami się za-

[1]) Jeden z synów Olszańskiego zasłynął później jako... śpiewak operowy.

pełnia i zwożą ze wsi obywateli, a ich rodziny przybywają do Kijowa, żeby czuwać ile się da nad więźniami, wyłapują młodzież, że to niby idą do powstania, a chłopi w tem dopomagają i niejednego pokaleczą lub zatłuką w drodze. Tylu znajomych naszych zginęło, z tych, co tak wesoło uwijali się przed wyjściem „w lasy". — Dobrze, że Staś nasz już w więzieniu, choć niewiadomo, jak go sądzić będą. — Tymczasem Ciocia R. wyrobiła wreszcie pozwolenie na widzenie się z nim od gen. gubernatora Anenkowa: puszczają dwie osoby naraz, ale tylko najbliższych krewnych, tak, że Mateczka z największą trudnością dostać się tam mogła; ale mnie się udało, bo Julcia jeszcze chora po tej swojej odrze, więc mnie, jako siostrę więźnia, wzięła Ciocia z sobą. — Przykre niezmiernie jest takie widzenie się: gdy się przyjedzie do fortecy, najprzód każą czekać u komendanta, który przegląda świadectwo, przypatruje się twarzom gości i wreszcie każe strażnikowi „karaul" prowadzić do jakiejś brudnej izby wielkiej, przegrodzonej drewnianą ścianą z oknem zakratowanem; za tą ścianą jest druga i okno także zakratowane, a między dwiema stoi żołnierz z karabinem; w izbie zaś, tu gdzie gość, siedzi lub przechadza się oficer, żeby czuwać, czy czegoś nie powiedzą lub nie podadzą więźniowi pomimo krat i ścian podwójnych. — Czekamy stojąc przy okienku, aż tu słychać kroki i w ciemnym kącie za drugą ścianą ktoś się ukazuje, a za nim znów żołnierz z karabinem: to Stasiek nasz, ale jakiś wyższy się wydaje i bledszy, bo zmizerniał znacznie przez te kilka tygodni. Pokazują go nam, jak zwierza w klatce i czuję, jak mi łzy do oczu napływają; Ciocia także przez łzy patrzy, ale wesoło się odzywa do swego jedynaka i on miną nadrabia, mówi, że mu nieźle w więzieniu

i tak jakoś zręcznie daje do zrozumienia, że się widuje z kolegami niewoli, ale ostrożnie, bo oficer się przysłuchuje i zagląda co chwila. Zresztą spieszyć się trzeba, bo ledwie kwadrans trwać ma wizyta, a najdłużej pół godziny. Tyle osób stara się o te wizyty u więźniów: żony, matki, siostry, narzeczone, córki więźniów, a Kijów stał się jak gdyby polskiem miastem, tak się ciągle słyszy naszą mowę, tyle się spotyka znajomych i krewnych. Panie wszystkie prawie w żałobie i policja nie może za to prześladować, bo się tłumaczą rodzinną żałobą, a nim przedstawią świadectwa, to tak zostaje. Niektóre ponaszywały pąsowe pasy na czarnem, ale to także zdzierają policjanci (bo ma to krew wyobrażać). — Często wpadają na rewizję do mieszkań i wszystko przewracają, zabierają książki i papiery, których potem nie można się doczekać z powrotem, ani doprosić; — u jednych znajomych zabrali broszkę złotą z dwoma gołąbkami, twierdząc, że to orły białe.

Czerwiec 1863 r.

Ciągle jesteśmy w ruchu: powstanie szerzy się w „zabranym kraju" i nasi biją się dzielnie z pomocą oddziałów, przekradających się z Galicji[1]), bo rząd austrjacki sprzyja Moskalom, ale urzędników: komisarzy, starostów, poczmistrzów i t. d. jest dużo Polaków, którzy w sekrecie dopomagają młodzieży tamtejszej do przekradania się przez granicę, a czasem przepuszczają na swoją stronę oddziałki powstańcze, zanadto przyciśnione przez Moskali, których jest ogromna przewaga. To też nieraz otoczą ze wszystkich stron i biorą go w niewolę, a potem pędzą do Żytomierza, skąd partjami prowadzą do

[1]) vid. Przyp. lit. u.

Kijowa, żeby tam sądzić i wysyłać na Sybir do ciężkich robót, albo na „posielenie“ (osiedlenie), albo rozstrzeliwać (jeśli schwytają oficera czy wychowańca szkoły kadetów) lub oddawać jak rekrutów „w sałdaty“ (jak to kiedyś mego Tatuńcia z pod Boremla). Wielu z tych, co byli porwani jako dzieci wygnańców i skazańców naszych i wywiezieni na wychowanie do moskiewskich szkół wojskowych, potrafili jednak w cudowny sposób[1]) zachować uczucia polskie i teraz zjawiają się między powstańcami, a wyuczeni sztuki wojskowej przez Moskali, stają na czele naszych oddziałów. Jednym z takich jest Edmund Różycki (walczył pod Salichą na Wołyniu), syn Karola R., słynnego dowódcy z r. 1831. Naturalnie, jeśli Moskale któregoś z takich wychowanków swoich dostaną w ręce, rozstrzeliwają go natychmiast.

Otóż, gdy takie partje jeńców prowadzą do Kijowa, wszystko, co jest polskiego w Kijowie, stara się wyjść na ich spotkanie i odezwać się choć z daleka, żeby zagłuszyć klątwy i wyzwiska kacapów, którzy ze swej strony także spieszą na „powitanie“ miatieżników. Ale nietylko słowem wita się tych naszych kochanych wojaków — i zaraz opowiem, jak to bywa, bo właśnie wczoraj spotykaliśmy partją jeńców z pod Radziwiłłowa, na granicy Wołynia i tego, co tak brzydko zaborcy nazwali Galicją[2]).

Wiedziano już zawczasu, kiedy przypędzą z Żytomierza jeńców, bo my mamy swoją pocztę, tajną wprawdzie, ale lepszą niż rządowa (w której wszy-

---

[1]) Czytać zebrane przez Reuttównę i wydane w Wilnie 1920 r.: „Dziecko polskie w latach niewoli i walk“.

[2]) Po oswobodzeniu Polski w 1918 r. nazwano to Małopolską (niezbyt dokładnie, coprawda).

stkie listy czytają, a wiele z nich niszczą, gdy im się coś nie podoba). — Więc cała kolonja polska zakrzątnęła się około poczęstunku dla partji: cały dzień uprzedni i noc panie, panienki, my dzieci nawet, poraliśmy się w kuchni i piekarni, lepiąc pierogi, wyrabiając placki i obwarzanki, piekąc chleby i bułki. Były butle z kawą i mlekiem, faski śmietany i miodu, piwo, a nawet beczułka z gorzałką (bo trzeba będzie i żołnierzy uczęstować), papierosy i tytoń, całe worki ogórków i t. d. Wszystko to miało jechać na wózku, szczelnie przykrytym, żeby nie zwabić kacapów, którzyby to z pewnością zrabowali, a tak udało się na koźle posadzić jakiegoś inwalidę w moskiewskim mundurze i pospólstwo ani się domyślało, co on wiezie.

Wczesnym rankiem wybraliśmy się gromadką całą pieszo w stronę Korpusu Kadeckiego[1]) (Szkoły Wojskowej) za miasto, ale trzeba było iść długo i słońce zaczynało przypiekać, a tłumy kacapskie gromadziły się na drodze, a zmiarkowawszy o co chodzi, zaczęli łamać gałęzie i podnosić kamienie z szosy, aby „Lachiw" uczęstować po swojemu. Szczęściem, żeśmy ich wyprzedziły (same panie i dzieci były, bo mężczyzn zaraz aresztowano w takich razach) porządnie, a i tak niejeden kamień świsnął nad głową i trochę strachu było. Wreszcie, minąwszy Bezgrust (owo Sans-Souci, gdzie się nam powóz połamał wtedy), dojrzeliśmy tuman kurzu na drodze. I ukazał się oddziałek: na przedzie jechał oficer, za nim piesza gromada jeńców, otoczonych żołnierzami. Tłum szczęściem został daleko za nami, więc Ciotka R. śmiało wystąpiła na środek szosy

[1]) Z czasem znalazł się ów budynek śród miasta, posuwającego się w tę stronę.

i dawszy ręką znak oficerowi, zaczęła mówić wyborną moskiewszczyzną, której się nauczyła w Syberji. Nie rozumiałam wszystkiego, co mu tam prawiła, ale w swej żałobnej sukni wyglądała tak poważnie i pięknie, przemawiała grzecznie, ale z taką godnością, że oficer, widocznie zdumiony, zeskoczył z konia i salutując po wojskowemu, coś odpowiadał. Ostatecznie skutek był taki, że na komendę tego „karaulnego" oficera wstrzymano pochód i pozwolono na popas krótki. Niebawem cała gromadka naszych kochanych „miatieżników" rozsiadła się na ziemi przy boku drogi, zawsze otoczona żołnierzami: panu oficerowi podały panie nasze pudełko papierosów, inne skoczyły do wózka niedaleko stojącego i zaczęły wydobywać prowjanty. Beczułka znalazła się odrazu między żołnierzami, a także chleb wyborny ze słoniną wędzoną; inne zaś zapasy zanieśliśmy między naszą kochaną gromadkę, a Mateczka tymczasem częstowała oficera winem i piernikami z uprzejmym uśmiechem. Zdaje się, że łyknął on także gorzały ze swoim „karaułem", dość, że był w wybornym humorze i pozwolił wszystkim zbliżyć się do jeńców. Co to za radość była! Jak oni zgłodniali, zakurzeni, wymęczeni, ochotnie zajadali nasze przysmaki! A Galicjanie najwięcej się delektowali kawą. Wszyscy zajadali pierogi ze śmietaną, mleko popijali, chwytali radośnie papierosy (nie pojmuję, jak można lubić tę obrzydliwość dymiącą i zatruwającą powietrze!). A dopieroż gawęda! Jak oni opowiadali o bitwach, o przygodach swoich; a byli i ranni między nimi: tym panie nasze opatrywały rany, zakładały czyste bandaże, szarpie. Każdy mówił, jak się nazywa naprawdę (bo zwykle mają swoje powstańcze przydomki: Czapla, Krogulec, Szczur i t. p.), prosił, by od niego napisać do kre-

wnych, dawali adresy (a oficer jakby nie słuchał!). Dziwna rzecz, jak tak wybornie pamiętam nazwiska z historji i literatury, a teraźniejsze, zwykłe, zapominam w momencie. Zapamiętałam jednak jednego „Galileusza", jak mówili jego koledzy, Fredka Pierożyńskiego (nietrudno zapamiętać chyba!). Był to chłopaczek naprawdę nie wiele starszy odemnie (mówił, że ma już lat piętnaście), wygląda, jak dziecko, z twarzą krągłą i rumianą, choć ranny w nogę, pod Radziwiłłowem właśnie, gdzie wpadli przez granicę galicyjską, ale taki czupurny i wesół; szczególnie się cieszył Mucha, którego sobie powstańcy z rąk do rąk podawali, a on ich ściskał, całował, obiecywał, że jak tylko będzie mógł, to i on do powstania poleci: byłby i teraz poszedł, ale Mamcia powiedziała, że siedmioletnich za nic nie przyjmują.

Słońce przypiekało, grzmot się odezwał w oddali, a z bliska oficer huknął na swoich ludzi, że czas już „w pierjod" ruszać. Trzeba było coprędzej zbierać wypróżnione naczynia, pakować i przykrywać na wózku. Zabębniono i trzeba było pożegnać naszych kochanych gości, którzy pokrzepieni i rozweseleni, pomaszerowali dalej — do fortecy — na Peczersk.

Powrót nasz nie był zbyt przyjemny, bo nie mówiąc już o grzmotach coraz mocniejszych, ale bliżej miasta spotkaliśmy kacapów i ci byliby się dobrze z nami rozprawili, ciskając kamienie i prętami wywijając, gdyby nie oficer zaprzyjaźniony, zwłaszcza z Ciocią R., której mówił: „Nie bojtieś, sudarynia!" (to wspanialej, niż „barynia" — zaimponowała mu widocznie!). Jak wrzasnął: „Paszli won, duraki! eto carskije plenny (jeńcy) — paszli k'czortu"!... tak i tłum spokorniał, tylko baby jeszcze klęły i wygrażały pięściami; ale i sołdaci rozochoceni „ho-

ZŁOTA BRAMA (ZWALISKA).

ryłką", którą wysączyli do dna, rozpędzali swoich rodaków niezbyt grzecznie, — tak, że się nasza wyprawa dobrze skończyła (nie mówiąc o strasznym bolu nóg, głowy i pokaleczeniu... bucików).

Lipiec 1863 r.

Weszło potem w zwyczaj spotykać wszystkie partje, przyprowadzane ze wszech stron do Kijowa, a co jeszcze ważniejsza, żegnać te, które wyprawiano także pieszo na Sybir, o czem kiedyś opowiem.

Teraz trzeba wiedzieć, że wolno czasami dowozić jedzenie więźniom na Peczersku, a jest ich coraz więcej: zapełnia się baszta Prozorowska i Północna, gdzie po kilkuset razem siedzi; zapełniają się „kazamaty" okropne podziemne, ciemne i wilgotne więzienia. A rodzin polskich coraz więcej zjeżdża się do Kijowa i wszystko tylko myśli o Peczersku, o swoich kochanych więźniach, którym trzeba dopomagać, ratować ich, o ile możności.

A jaką mamy świetną komunikację, to i uwierzyć trudno. Przy widzeniu się z więźniami, które nie wszyscy uzyskać mogą (bo ciężej oskarżonych nie wypuszczają nawet do krat tych) przy tych podwójnych kratach, karaułach i t. d. trudno się rozmówić dokładnie, więc mamy swoją p o c z t ę, ale jaką?

Otóż zdarzyło się tak szczęśliwie, że kapelanem przy cerkwi fortecznej jest pop Borecki, wołyniak, z unitów, a niegdyś był u Babuni mojej w Krzemieńcu korepetytorem syna jej najmłodszego, Seweryna (którego potem Moskale wzięli do wojska i zginął w r. 1848 w czasie kampanji węgierskiej; podobno utopił się umyślnie z koniem w Dunaju, żeby nie walczyć przeciw powstańcom węgierskim!); doskonale pamięta Mateczkę moją, jako młodziutką panienkę:

„Pani Julja“ nazywa ją, mówi wybornie po polsku i co tydzień zjawia się u nas (z długiemi włosami i brodą, jak oni wszyscy, tylko wcale nie taki niegodziwy), wita się, zasiada (tylko nie w dużym salonie, ale w pokoiku Mateczki) i zaczyna wydobywać z kieszeni, co? p o c z t ę od więźniów — całą paczkę. Są to maleńkie zwitki papieru cienkiego, skręcone, a zapisane drobniutkiemi literkami, żeby się więcej zmieściło, na wierzchu adres. Jakim sposobem poczciwy nasz „świaszczennik“ (pop ruski) dostawał te kartki od więźniów naszych? nie wiem: dość, że bywało ich po kilkadziesiąt naraz, a potem Muszka, niby tajny pocztyljon, ale sprytny i odważny, roznosił te upragnione karteczki po całym Kijowie i wręczał ostrożnie komu należy; a były witane radośnie, czasem oblewane łzami.

Tyle osób znamy teraz, a wszyscy żyją w serdecznej przyjaźni, o jednem tylko myślą, o jedno się troszczą: o więźniów swoich ukochanych, o sprawę narodową, o tych powstańców, co gdzieś daleko walczą i giną. Z Kongresówki i Litwy kochanej także wieści przychodzą — ale niepodobna mi wszystkiego spisywać. Wolę opowiadać o tem, co tu widzę i słyszę.

Lipiec 1863 r.

Otóż teraz często bywamy w cerkwi! A to takim sposobem: jest w jednej z baszt kaplica prawosławna, gdzie się co sobota odbywa „wieczernia“ czyli nieszpory prawosławne, na które wpuszczają ludzi z Peczerska. Jest w tej kaplicy galerja, z której okna wychodzą na podworzec, a na podworcu tym wolno przechadzać się więźniom przez pół godziny. Dzięki różnym machinacjom, urządza się tak, że niektórzy dostają przechadzkę właśnie w sobotę

podczas „wieczerni", a dobroczyńca nasz, „batiuszka" Borecki rodzinom ich (t. j. paniom tylko) ułatwił wstęp do cerkwi. Wczoraj właśnie obie z Julcią zjawiłyśmy się u bram baszty, owiązawszy głowy chusteczkami kolorowemi i prosiłyśmy (po moskiewsku naturalnie) o wpuszczenie nas „na wieczernie". „Wasza familja" (nazwisko)? pyta oficer straży. „Sofja Gowriłowna Iwanowa (u nich nazwisk panieńskich nie zmieniają na owna); a eto maja siestra" odpowiada śmiało Julcia: „my plemiennice Świaszczennika"... Spojrzał p. gaficèr; co pomyślał, nie wiem, bo zdaje mi się, że mimo krasnych „płatiej" (chustek) nie wyglądałyśmy tak dalece na „Gawriłówny", — dość, że nas wpuścił i niebawem, żegnając się zamaszyście od prawego ramienia („I światoho Ducha!"), zaczęłyśmy wybijać pokłony na środku cerkwi, tłukąc czołem o ziemię, co ja zwłaszcza z takim impetem czyniłam, że mię aż Julcia trącała, mitygując. Uderzywszy po kilkanaście pokłonów, gdy pop zaintonował „Hospodi pomiłuj" przed „Carskimi wrotami" (co u nich zastępują ołtarz, a pop ciągle to się chowa, to znów wychodzi na jaw), poniosłyśmy się na galerję, by od czasu do czasu beknąć z ludem owo „Hospodi"; ale umieściłyśmy się tuż przy oknie, pod którem parami przechodzili nasi kochani więźniowie, poglądając ostrożnie w górę i robiąc różne pocieszne miny na dowód, że nas widzą. Stasiek był w swojej błękitnej bluzie i czapeczce siwej na głowie; obok niego p. Adolf Trachtenberg z czarną brodą, ale napróżno patrzył, bo p. Emilji nie było tym razem. — Nie zawsze można sobie pozwolić na przyjemność widzenia choć w taki sposób swoich ukochanych i niewiele osób z „naszych" może naraz wchodzić do cerkwi, bo zwróciłoby to uwagę i naraziłoby batiuszkę Boreckiego.

Wiele osób przejeżdża powozem pod oknami niektórych więzień, a nawet próbuje się przechodzić pieszo, ale wtedy najczęściej odpędza straż, zwłaszcza jeżeli są Kozacy, bo ci oprócz klątw i wyzwisk używają często i nahajki. Raz dostało mi się po plecach, nim zdołałam się usunąć, ale wydawało mi się, że to zaszczyt, że i ja coś ucierpię od wrogów Ojczyzny. Saperzy są lepsi, więc dużo osób przejeżdża i przechodzi, kiedy oni straż trzymają. Jeździ przed 14-tym numerem pna Helena Grudzińska (w ich domu, tuż przy Złotej Bramie mieszkamy od frontu, zaś pp. Grudz. z dziećmi w małym domku w ogrodzie), która ma tam swego narzeczonego, p. Lewandowskiego. Raz wzięła mię do swego powozu i chociaż przeważnie patrzyłam w okno Stacha, ale dojrzałam, jak pięknie się kłaniał pan L. pannie Hali; ona zaś pokazywała mu kwiaty ze swego ogrodu, same czerwone róże (to podobno znaczy miłość gorącą; mnie nie wypadałoby tego pokazywać Staśkowi, a jednak bardzo go kocham, więcej niż Zygmusia — naprawdę).

Lipiec 1863 r.

Z pomiędzy znajomych naszych niektórych lubię bardzo, np. panią Trachtenberg (ona śpiewa pięknie), a zwłaszcza małego Bogusia: to dziecko dziwnie rozwiniete i smutne; kiedy mu dać ołówek, rysuje z wielkim zapałem jakieś kreski i kółka, ale co to jest?: „To kjata, duża kjata, a za kjatą Tatuś patrzy na Bogusia“! Tak się bawią dzieci polskie; co dziwnego, że potem na powstańców wyrastają. Bawię się często z Konradkiem[1]), synkiem Apolla

[1]) Konradek ów dostawszy się później do Anglji, został tam oficerem marynarki, a jednocześnie znakomitym autorem.

Korzeniowskiego (nie Józefa, ale brata jego, także autora), którego żona, p. Ewelina ma zacnego bardzo brata Stefana Bobrowskiego, patrjotę wielkiego. Kuzynką ich jest pna Zuzia Chajęcka, także patrjotka i opiekunka więźniów (podobno ma tam narzeczonego), mieszkająca z Ciotką swoją p. Marciszewską, autorką różnych książek kucharskich i przepisów (jeden widziałam p. tyt.: „Paluszki moje własne"), wyglądającą jak pączek w maśle. Otóż te panie przyrządzają różne przysmaki dla więźniów i ułatwiają ich przesyłanie. Czasem, gdy się dostanie pozwolenie na większą przesyłkę, powstaje ruch ogromny w naszej kolonji. Najczęściej wtedy zbiera się całe grono u nas i w kuchni naszej i w ogródku pp. Grudzińskich pracujemy wszystkie: lepimy pierogi lub „kołduny" (przysmak ukraińsko-litewski), a z temi największy kłopot, bo muszą być malutkie, na jeden kąsek, a zjada się ich bardzo dużo, tak, że setkami i setkami lepić trzeba, okrywając gałkę z mięsa i świeżego łoju baraniego, korzeniami zaprawioną. Wyrabia się obwarzanki i zgrabne placuszki, bo większe chleby niechętnie przepuszczają, żeby tam czego nie ukryć.

Kiedy już cały transport gotowy, wiozą go dwie lub trzy panie do fortecy i pilnują, żeby się o ile możności dostał do więźniów, nie rozchwytany przez żołnierzy. Wielki z tem bywa kłopot, a kiedyś nadjechał plac-komendant Muśnickij i rozzłoszczony niewiadomo czemu, cały transport kazał wyrzucić na śmiecie. Trochę z oburzeniem, trochę ze śmiechem opowiadały panie, jak po odjeździe rozjuszo-

---

jako Joseph Conrad, którego powieści, przeważnie z życia marynarskiego cieszą się wielką poczytnością w Anglji i t. d. Nie zapomina jednak, że jest Polakiem.

nego komendanta żołnierze rzucili się na śmietnik i wyławiali wyborne pierogi z wiśniami, bielutkie, pszenne, polane całą faską śmietany, i pomimo niepachnącej przyprawy pożerali je z apetytem; ale więźniom kochanym nic się z naszej pracy nie dostało.

Bywa u nas często pni Gnatowska (z domu Żania Opacka, autorka wiersza: „W splątanem pasmie mojego żywota — Była jedna tylko — jedna nitka złota" i t. d.), której mąż i pasierb siedzą w więzieniu, a synek Jańcio[1]) czarnooki, o włosach kręconych w pukle, bawi się ze mną, choć młodszy o lat parę i nie taki figlarz, jak ja jeszcze bywam czasami, pomimo tych różnych utrapień, jakie przeżywamy. Coby to ze mnie było, gdyby nie te utrapienia? Pewnie wisus; ale od kiedy piszę mój dzienniczek, już czwarty rok, bardzo się ustatkowałam.

Lipiec 1863 r.

Zebrało się u nas wczoraj wieczór kilku panów i tyle ciekawych rzeczy mówili, że mi się w głowie rozjaśniło i chcę pokrótce streścić to, czegom się dowiedziała. Pokazuje się, że oddawna już młodzież kijowska, zwłaszcza uniwersytecka, tworzyła różne Związki, ale nie dla przygotowania zbrojnego powstania. Z początku (już w 1856 r., wkrótce po wstąpieniu Aleksandra I) zbierały się grupy po kilkunastu studentów; potem utworzyli Związek, zwany

[1]) Jan Gnatowski, później zacny kapłan i wytwornie wykształcony literat; pracuje jako katecheta młodzieży, profesor, redaktor (we Lwowie i Warszawie), autor (Jan Łada) poczytnych powieści, szkiców literackich i t. d. Salon jego znany w stolicy gromadzi doborowe towarzystwo. Niejednokrotnie spotyka się z nim towarzyszka lat młodych, zawsze życzliwie witana.

Trojnicki[1]), na czele którego stało trzech, niewiadomych innym, naczelników. Celem młodzieży było kształcić się i doskonalić we wszystkiem (coś, jak Filareci w Wilnie), a zwłaszcza poznawać dzieje narodu swego. Każdy miał obowiązek odczytać na zebraniu studenckiem to, co opracował z historji Polski. Piękne miało być zebranie (1858 r.) w mieszkaniu H. Stockiego, gdzie ze stu może zgromadzonych zbliżyło się z sobą i postanowiło działać razem dla dobra Ojczyzny. Wszyscy także zajmowali się sprawą włościańską, ludem, a że lud w trzech kresowych prowincjach naszych jest rusiński, więc młodzież starała się przemawiać doń w jego własnym języku i zakładać szkółki (tajne naturalnie, bo rząd nie pozwalał uczyć po rusińsku tak, jak i po polsku). Dwie takie szkółki powstały w Kijowie, a wkrótce utworzono stowarzyszenie „Hromada", gdzie więcej było Polaków niż Rusinów[2]). Między młodzieżą wyróżniali się: Gustaw Wasilewski, Antoni Jurjewicz (ten właśnie, którego tak okropnie pobito pod Sołowjówką), Tadeusz Rylski, Antonowicz i inni. Ale ten ostatni później zdradził sprawę polską, podjudza teraz Rusinów i zdaje się, że służy Moskalom. — Nie mogę tu wszystkich wyliczać, ani szczegółowo wszystkiego spisywać; dość, że młodzież kijowska zorganizowała młodzież (nawet gimnazjalną) w naszych trzech prowincjach (Wołyń, Podole, Ukraina) w „gminy", które się z sobą komunikowały, a główny zarząd był w Kijowie; potem dodano jeszcze czwartą gminę dla młodzieży z Litwy i Białorusi przybywającej i piątą dla Królewiaków. (Na czele stali: T. Rylski, A. Chamiec (z Wołynia), G. Wasi-

[1]) vid. Przyp. lit. m.
[2]) vid. Przyp. lit. n, m, o.

lewski, Wit. Jaroszyński i Litwin Winc. Odyniec). Starano się komunikować z młodzieżą polską w Warszawie, Petersburgu i t. d.

W przeszłym roku (1862) zarząd Trojnickiego poddał się zupełnie Centr. Kom. Narodowemu w Warszawie i odtąd już zaczęto przemyśliwać o zbrojnem powstaniu. Cała młodzież miała nadzieję, że lud, do którego się zbliżali z największą życzliwością, dla którego pracowali, niosąc oświatę prawdziwą, pójdzie z nimi i dopomoże w oswobodzeniu państwa polskiego, zapewniającego ludowi ukraińskiemu (t. j. „ruskiemu" nie rosyjskiemu) wolność, ziemię, poszanowanie religji i języka. Wielu obywateli sprzeciwiało się takiemu usamowolnieniu chłopa, któremu nie dowierzali (i słusznie, jak się pokazało), nazywali młodzież „chłopomanami", ale ci nie ustępowali i tyle potrafili zdziałać, że większość szlachty zgodziła się z nimi.

Tak tedy ułożono „Złotą Hramotę"[1]) i niesiono ją między lud. (Antoni Jurjewicz należał do najgorętszych przyjaciół ludu tego). Można więc sobie wyobrazić, jaki żal straszny, jaki ból przejął serca tej naszej kochanej młodzieży, kiedy ów lud rzucił się na nich, jak dzikie bestje; a jednak i wtedy woleli ginąć, jak męczennicy, aniżeli się bronić i strzelać do chłopów. Czyż to wszystko nie jest okropne? Czy lud ten opamięta się[2]) kiedy?...

Lipiec 1863 r.

Wielkie zmartwienie u pp. Korzeniowskich, bo przyszła wiadomość, że brat samej pani, najzacniej-

[1]) vid. Przyp. lit. p.

[2]) Niestety w r. 1917 i t. d., w czasie rewolucji bolszewickiej, lud ten rzucił się na obywatelstwo i całą klasę inteligentną polską: rabował, mordował, pastwił się z dzikiem

szy St. Bobrowski (przeciwnik Mierosławskiego), taki rozumny patrjota i działacz, został zabity w Krakowie i to w pojedynku, do którego zmusił go niedobry człowiek (Jan Grabowski podobno), któremu on ręki podać nie chciał (pewno słusznie!). Najwięcej rozpacza matka jego staruszka, p. Bobrowska; miał dopiero *22* lata i tyle mógł zrobić dla Ojczyzny. Bardzo go też kochał Leonek Syroczyński, o którym tu wszyscy w Kijowie tak dobrze mówią.

Nie zapisałam tu jeszcze paru weselszych rzeczy z opowiadań panów naszych: oto ów Trepow, policmajster warszawski, co do ludu strzelać kazał, dostał potem publicznie w twarz od studenta med. Władysława Krajewskiego i stąd ułożono wierszyk: „W Warszawie, przy wodotrysku — Pułkownik Trepow dostał po... buzi".

W Kijowie znów był taki pułkownik Brynkien, który zelżył na ulicy studenta Polaka (Jarockiego, za potrącenie pieska). Otóż studenci ujęli się za honor kolegi (było to jeszcze w 1857 r.) i kiedy Brynkien wychodził z teatru, otoczyli go w przedsionku, a jeden z nich, Sągajło, zdjąwszy płaszcz, żeby było widać, że jest w mundurze studenckim, dał pułkownikowi w twarz; inni zaś zbili go kijami tak, że się przewrócił zanim nadbiegła policja (może to niefadnie, że się kilkunastu rzuciło na jednego, ale cóż robić z tymi Moskalami, którzy mają na swe rozkazy policją, wojsko i t. p.?). Najzabawniej, że kiedy Brynkien z ziemi się dźwignąwszy, pytał prof. uniwersytetu Waltera, co ma robić: „Przyłóż Pan zimne okłady" — ten odpowiedział. Całą przygodę opisał wierszem bardzo zabawnie student Komar, pod tytułem: „Brynkinjada".

Bywa u nas często pni Popowska, starsza już osoba, bardzo głucha, ale bardzo miła: ma czterech

synów, z których jeden, p. Józef[1]), siedzi w fortecy w sąsiedztwie naszego Stacha; zacny i rozumny młodzieniec: widujemy go przez okno, ale wiem, że zarówno jak i bracia jego nie wymawia kilku liter, np. r, l, ł, co zabawnie wygląda; np. p. Julian, który z matką do nas przychodzi, opowiada, że „jadł jaki na obiad, a zjanij się w pajec tak, że jęki podać nie może" — to też nazywają go „Jujek z Samhojodka" (wieś ich). — Obaj ci bracia byli w przyjaźni z Leonkiem i należeli do różnych kółek uniwersyteckich.

Nadzwyczaj miła jest rodzina pp. Knothe (on, p. Ferdynand, obywatel wiejski, przywieziony przez chłopów, siedzi w fortecy). Pani Zenobja K. z siostrą swą pną Kamillą Podhorodyńską mieszkają na Lipkach (to ładna część Kijowa na wzgórzu, cała w ogrodach. Wogóle tu ciągle z góry na górę się wchodzi i jest ich więcej, niż te siedem wzgórzy, na których Rzym zbudowano); i mają dwoje przemiłych dzieci: Oktusię, kilka lat młodszą odemnie, jasnowłosą, a miłą jak aniołek, i małego Staśka, a oboje chodzą w białych habitach zakonnych (żeby się szczęśliwie chowały) i nazywają się Felisia i Felunio, na cześć św. Feliksa, patrona dzieci. Tak lubię z niemi się bawić.

Mieszka tu pni Izydorowa Kopernicka, której mąż, bardzo uczony człowiek (antropolog i t. d.), siedzi w fortecy, ona zaś karmi małego synka Stasia[2]).

Lipiec 1863 r.

Z Wołyniaków naszych był tu p. Zygmunt Luba Radzimiński[3]) w uniwersytecie i bardzo dobrze go

---

[1]) vid. Przyp. lit. ŕ.

[2]) Stanisław Kopernicki, później publicysta i redaktor „Czasu" w Krakowie.

wspominają koledzy patrjoci, ale teraz mieszka na wsi i choć taki młodziutki, ożenił się z p. Anielą Czosnowską z tej Białokrynicy, do której często jeździliśmy na spacer. Ona jedynaczka, a ma mnóstwo braci.

Był w szkołach także Ignaś Radliński[1]), bardzo zdolny chłopak; nie wiem, czy się także nie wybrał do powstania?

Niedawno (w maju) wyjechał p. Marjan Dubiecki, wielki patrjota, dusza zgromadzeń studenckich, potem nauczyciel języka polskiego w Równem, ale wywieziono go do Tambowa, a kiedy powrócił, wybrali go rodacy na przedstawiciela władz powstańczych tutejszych (t. j. Ziem Ruskich) w Warszawie). Właśnie przejeżdżał przez Kijów i widziałam go u Aleksandra Szum.; taki wątły i chorowity się wydaje, a taki dzielny!

Był w przejeździe p. Włodz. Milowicz[2]) z Dymitrówki koło Krzemieńca, który dużo robi dla sprawy narodowej tu i zagranicą; teraz jedzie do Lwowa.

Ale najważniejszy z naszych Wołyniaków, to chyba p. Edmund Różycki (syn Karola R., dowódcy w 1831 r.), ten, co to dzieckiem był porwany i wywieziony do korpusu kadetów, jako „syn polskiego powstańca z 1831 r.“, chociaż go ukrywano pod cudzem nazwiskiem. Wyśledził to jakoś gen. gubernator kijowski Bibikow przez swoich szpiegów i

---

[1]) Ignacy Radliński, później znany pedagog, literat i uczony; pisał przeważnie z literatur Wschodnich, zwłaszcza hebrajskiej monografje i badania rzeczy religijnych; wogóle przeciwny chrześcijaństwu. Zmarł 1920 r. w Warszawie. Syn jego Tadeusz także pedagog i literat, oraz podróżnik.

[2]) vid. Przyp. lit. r i m.

dwunastoletniego Edmundka wysłano do Petersburga (1840 r.), żeby go tam na Moskala wychować. Jak się to udało, widzimy: skończył świetnie szkoły, odznaczył się w wojnie na Kaukazie (szkoda, że przeciw tym, co także o wolność walczyli!), został podpułkownikiem sztabu i wtedy, gdy chciano go coraz wyżej posuwać, oświadczył, że pragnie wrócić do kraju i podał się do dymisji. Zamieszkawszy w Kijowszczyźnie, wstąpił do tajnych organizacji narodowych (objął z Al. Jabłonowskim i Sz. Kopernickim zarząd prowincji Ruskiej). A teraz właśnie, gdy nasza garstka z Kijowa wychodziła (26 kwietnia 1863 r.), uformował swój oddział i przeprowadził go przez cały Wołyń. Cóż, kiedy inne oddziałki porozbijano, gen. Wysocki z Galicji spóźnił się z przybyciem i Różycki, otoczony ogromnemi siłami wroga, zwyciężył je pod Salichą i musiał przejść granicę. Tam podobno, w Galicji, organizuje polskie oddziały, żeby znów tu wkroczyć; ale czy to się uda, kiedy coraz to nowe partje Moskale rozbijają i przypędzają jeńców do Kijowa, że już forteca pomieścić ich nie może. Opowiadał nam o Różyckim kolega jego z Kaukazu, zesłany tam także za karę, p. Jan Chranicki[1]), który znów pospieszył do Różyckiego do Galicji. Niektórym udaje się wymknąć jakoś szczęśliwie, ale tylu już poległo, albo do więzienia się dostało. — A. Jurjewicz (z pod Sołowjówki) żyje, Bogu dzięki, ale ciężko ranny leży w Żytomierzu.

Są tu krewni Zygmunta Padlewskiego, który był naczelnikiem Kijowa (od Rządu Nar.), a od stycznia formuje oddziały powstańcze w okolicy Warszawy, bo także był oficerem wojsk rosyjskich.

Może ja już zanadto tych nazwisk spisuję, ale

---

[1]) vid. Przyp. lit. s.

tak chciałabym zapamiętać wszystkich zacnych patrjotów, których tu spotykamy, a zwłaszcza moich „rodaków" z Kresów. Wspomnę jeszcze tylko p. Józefa Tretiaka[1]) z okolic Porycka na Wołyniu, który należał do patrjotycznej młodzieży uniwersyteckiej i dwóch pp. Żulińskich: Józefa i Tadeusza[2]), co tu przyjechali dawniej (1859 r.) z Warszawy, ale musieli opuścić Kijów i są podobno w Krakowie. To rodzeni bracia p. Romana, który tyle robi tam w Warszawie (a jest ich sześciu zacnych i rozumnych).

Wymieniam tylko największych patrjotów, których tu poznałam, albo o których najwięcej słyszałam w Kijowie.

Lipiec 1863 r.

Jaką mieliśmy przygodę zeszłej nocy! Oddawna już wiadomo, że popi tutejsi, monachy i t. p. podjudzają ludność na Polaków; mówiono nawet, że święcili noże do rzezi, że kogoś udusili w Ławrze Peczerskiej, gdy się spuścił do podziemi do pieczar, gdzie to tyle świętych moskiewskich leży w grobowcach i dary odbiera od pielgrzymów. Ale co najciekawsze, że w tej Ławrze drukowało się dużo odezw naszego Rządu Narodowego, dopóki szpiegi tego nie wyśledzili (żyd warszawski Bernstein, udający studenta) i nie zaaresztowano poczciwego Hoffmana, litografa z Warszawy (którego p. Stefan Bobrowski umiał pozyskać dla naszej sprawy).

Ale wracam do nocnej przygody: otóż spaliśmy

---

[1]) vid. Przyp. lit. m i r.

[2]) Obaj bracia odznaczyli się patrjotyczną i społeczną działalnością, osiadłszy we Lwowie, który uczcił ich zasługi. Józef jako profesor, Tadeusz jako znakomity i ofiarny lekarz upamiętali się. Kazimierz Ż., ksiądz, z początku w Paryżu, potem w Galicji pracował dla ojczyzny.

wszyscy, dobrze po północy, gdy nagle Ciocia R. słyszy dobijanie się do okna, a raczej do okiennic w jednym z pokoi parterowych, i to uderzanie kijem w drzewo. „Kto tam?" — „Kacap!" — odzywa się gromki głos; tak się przynajmniej Cioci wydaje, więc szybko budzi Szumowskich i drzwi zaryglowuje, jak może. Stukanie nie ustaje i wyraźnie już słychać zniecierpliwiony głos: „Otwierajcież wreszcie okno! to ja, Kasper, (nie kacap!...) mam coś powiedzieć"... W momencie okno otwarte, a wszyscy się pozbiegali tymczasem — młodzi i starzy — dowiadujemy się, że p. Gasper wraca właśnie z zebrania u pp. Trypolskich, gdzie się zjawił pewien pan z zagranicy i przywiózł wiadomość, że trzy państwa nam życzliwe: Francja naturalnie, Anglja tym razem i nawet Austrja[1]) podały notę do Rosji, domagając się nadania swobód Polsce, zamiast walki z powstańcami. Ową notę odrzuciła Rosja (przez Gorczakowa), więc ma się rozumieć, trzy państwa wypowiedzą jej wojnę w naszej obronie. Tą radosną wiadomością chciał się natychmiast z nami podzielić kochany p. Gasper i dlatego wpadł w nocy. (Dobrze, że go nie schwyciła policja, gdy się do okna laską dobijał!). Cóżby to za szczęście było, gdyby się Europa za nami ujęła! I czy nam się to nie należy? Mało to Polaków poległo w wojskach Napoleona I, po całym świecie za nim wędrując? A dawniej jeszcze: kto ocalił Wiedeń i świat chrześcijański od zagłady, jak nie nasz Sobieski (1683 r.). A teraz nasza kochana młodzież walczy po bohatersku z wrogiem o tyle licz-

[1]) Nadzieje te były próżne, bo pomimo odrzucenia not przez Rosję, żadne z państw europejskich nie ujęło się za Polską.

mejszym, walczy o swoją Ojczyznę i nikt nie dopomoże? [1])

Nie mogę opisywać tych różnych bitew i czynów bohaterskich, boby dzienniczek mój zmienił się chyba w całą księgę, ale wspomnę, że np. na Litwie słynie oddział księdza Mackiewicza, który sam dowodzi: modli się do Boga a bije Moskali i wielu mamy znakomitych dowódzców. Jeden z nich, Langiewicz, ma za adjutanta pannę Henrykę Pustowojtow (podobno córkę moskiewskiego generała), która się bije doskonale. Widziałam jej fotografję w konfederatce, w męskim stroju.

A znów p. Aleks. Horwatt, marszałek szlachty tutejszej, opowiadał, że z Warszawy wyruszył taki młodziutki chłopak, jedynak u matki, Ludomir Benedyktowicz, mający talent do malarstwa; bił się doskonale, ale został ciężko ranny i kiedy leżał na polu, Kozak niegodziwy uciął mu obie ręce. Żyje i podobno żyć będzie, ale z jakiem strasznem kalectwem [2]).

I jeszcze opowiadał p. Horwatt o małym Michasiu Sołtanie, którego ojciec, p. Adam, miał rodzinną siedzibę w nowogródzkiem (ojczyźnie Mickiewicza), w miasteczku Ździęciole, niegdyś Sapiehów, w starożytnym zamku obronnym i mieszkał tam z żoną i trzema synkami, trzema Budrysami, jak ich nazywano. Najmłodszy Michaś miał rok zaledwie gdy wybuchło powstanie i 1831 r. ojciec jego, dawny żołnierz Napoleoński, wyruszył w pole. Został dziadunio, były marszałek W. Ks. Litewskiego i matka

[1]) Cesarzowa Eugenja pisała 2 marca 1863 list do Metternicha za Polską z projektem wskrzeszenia jej. Potem 3 państwa (Francja, Anglja i Austrja) wydały notę do Rosji, żądając swobód dla Polski, ale została odparta notą Gorczakowa.

[2]) vid. Przyp lit. or.

wątła i delikatna. Smutne wiadomości przychodziły od ojca, wreszcie powstanie upadło i p. Adam musiał uchodzić za granicę. Rzucili się Moskale, jak sępy, na siedzibę powstańca, ale dziadek sędziwy usiłował bronić swych wnuków, bo matka ze zgryzoty umarła. Parę lat się to ciągnęło, aż wreszcie 1835 r. przybył feldjeger cesarski wprost z Petersburga i gwałtem zabrał chłopczyków do szkoły kadetów. Płakała służba cała i chłopi nawet, gdy małych dziedziców zabierano z domu rodzinnego, błogosławił Dziadek orlęta polskie, a mały pięcioletni Michaś nawet nie mógł dobrze zrozumieć, czemu tak wszyscy płaczą. Długa to historja i niepodobna mi tego wszystkiego opowiadać, dość, że mały Michaś, śliczne pacholę polskie, pieszczony i zbytkiem otoczony w szkole cesarskiej, rozłączony z braćmi, z początku tęsknił, zachorował ciężko, ale wyzdrowiawszy, stopniami zapomniał o domu i ojczyźnie. Dopiero gdy był dorosłym młodzieńcem, przypomniała mu jedna dama dworu, Rosjanka, kim i czem był. Cudem prawdziwym obudziła się w Michaile Adamowiczu, jak go tam nazywano, miłość Ojczyzny utraconej. W parę lat później założył on w szkole oficerskiej tajemne kółko samokształcenia po polsku, a skoro się dowiedział o naszem powstaniu, ruszył bić się za Ojczyznę, jak ojciec, jak dziadowie, poszedł do lasu na głód, na śmierć może.

Sierpień 1863 r.

Jaki nadzwyczajny wypadek mam do opowiedzenia! Ucieczka więźnia i to z 14-go numeru, gdzie Staś nasz siedzi. Był tam pod fałszywem nazwiskiem p. Zarębski, także były oficer rosyjski, ale odkryto nazwisko prawdziwe, więc wiedział, że sąd go skaże na rozstrzelanie. Trzeba go było ocalić i osnuto

cały plan, a do wykonania zabrała się w mieście pna Zuzia Chojęcka z p. Marciszewską, utrzymującą restauracją, gdzie bywali i Rosjanie. Panie te umiały tak zręcznie manewrować, że nie ściągały na siebie podejrzenia, a wybornie dopomagały więźniom. Tym razem jednak musiał być jakiś donos, bo na parę dni przed ucieczką Zarębskiego zjawiła się rewizja w mieszkaniu, przewracając wszystko do góry nogami. Żandarmi przetrząsali nawet łóżka, piece, pruli poduszki, a naczelny oficer rozsiadł się w salonie, gdzie mu zastawiła jakiś poczęstunek p. Marciszewska, przysunąwszy wygodny, skórzany fotel. Nic podejrzanego nie znaleźli panowie żandarmi i wynieśli się po kilku godzinach źli, a tymczasem w fotelu tym właśnie ukryta była peruka dla więźnia przygotowana i parę innych rzeczy. We dwa dni później wychodził z korytarza 14-go numeru żołnierz z workiem brudnej bielizny na głowie: we drzwiach natknął się na oficera karaulnego, którego salutował jak należy i pomaszerował dalej o zmroku. Parę godzin potem zrobił się rwetes i hałas straszny w więzieniu, bo przy rewizji przednocnej w celach, jedna znalazła się pusta, właśnie cela Zarębskiego (którego sąsiad, nasz Stach, ucharakteryzował był na sołdata, dostawszy, nie wiem jak, żołnierski mundur i t. d.). Wściekali się Moskale, bili własnych sołdatów, trzęśli wszystko od dachu do podziemi, rozbiegli się po całym Peczersku, strzelali na trwogę, ale wszystko napróżno. Tymczasem nasz zbieg, przebrawszy się do niepoznania u p. Marciszewskiej, w jasnej peruce, ogolony, wyszedł sobie na miasto i zawędrował na Padół, gdzie go ukrywano przez dni kilka, zanim się policja, rozpuszczona jak psy gończe, nie uspokoiła cokolwiek; a wtedy z paszportem wyjechał do Odesy podobno i... tyle go widzieli!

Ale teraz gorzej jest nam wszystkim, bo więcej śledzą i nie wpuszczają do fortecy, tak, że nawet do cerkwi zjawić się nie możemy. Byleby naszego popa nie przychwycili!...

Sierpień 1863 r.

Znowu wiadomość! Była u nas rewizja zupełnie niespodzianie, ale szczęściem nic ważnego nie znaleźli: zabrali wprawdzie co tylko było pisanego w domu, więc całe paki i niewiadomo czy oddadzą; tyle było listów (ale żadnej karteczki z fortecy), — a i ja ucierpiałam, bo zabrali zeszyty całe notatek, które tak lubię robić z książek czytanych i hymn „Boże coś Polskę", przepisany na pięknym papierze z nieśmiertelnikiem przez moją przyjaciółkę M. R. na pamiątkę. Może mię za to ukażą, jak przeczytają? Podobno że do rewizji u Mateczki przyczyniło się to, że Dr Wermiński napisał, iż do niego należała zakopana w lesie broń palna; tymczasem ta, którą Moskale znaleźli, była broń sieczna, t. j. pałasze itp.; więc zaczęli szukać znowu i wykopali tym razem palną broń; tylko już nie mieli kogo karać, bo biedny leśniczy, pokaleczony przez nich, umarł, a p. Wermiński za granicę umknął; ale oni wiedzą, że bywał u nas w Krzemieńcu, więc pewno szukają śladów jakich i korespondencji.

Wspominałam kiedyś o p. Gustawie Wasilewskim, takim zacnym i sympatycznym młodzieńcu, co to należał do kółek studenckich (razem z Leonkiem S., Peretjatkiewiczem, Żulińskim, T. Rylskim, Popowskimi, Tretiakiem i t. d.), potem (1862 r.) był w polskiej szkole wojskowej w Cuneo we Włoszech, wreszcie został komisarzem powstańczym w województwie Kaliskiem. Otóż przyszła wiadomość, że on zginął w Lubelskiem, w oddziale Lele-

wela (przydomek) w bitwie pod Krasnobrodem 23-go marca 1863 r.

Nasza forteczna poczta znów funkcjonuje, a Muszka pełni dalej obowiązki listonosza. Otóż gdy tak kiedyś spieszył z rulonikami na odległe ulice i musiał się zatrzymać przy jakiemś skrzyżowaniu, gdzie się natłoczyły wozy i pojazdy, przypatrzyła mu się przez lornetkę elegancka dama obok stojąca i powiedziała do towarzyszki: „Quel charmant enfant!", sądząc, że nie zrozumie. „Merci, Madame, pour le compliment!" odrzekł Muszka, ukłonił się i poskoczył dalej, a potem nam to ze śmiechem opowiadał: „Nie domyślało się Moskiewica, co ja mam w kieszeni, bo pewnieby mnie inaczej nazwała wtedy".

Nie mówiłam, zdaje się, że tu w Kijowie jest zwyczaj roznoszenia po ulicach lodów: nosi je na głowie kacap w takim dużym kuble, pełnym kawałków lodu i krzyczy: „Sacharn moroz!" i zatrzymuje się, gdy tylko go zawołać, z czego my dzieci często korzystamy, gdy koło naszego domu przechodzi. Wybiegamy z filiżanką i łyżeczką, a on każdemu nakłada porcyjkę stosowną: ja np. za 5 kopiejek dostaję aż trzy gatunki.

Jest tu także niedaleko, gdy się schodzi Żytomierską na Kreszczatik targ, zwany Tołkuczka, gdzie na placu rozkładają swój towar przekupnie, na ławeczkach lub na ziemi i wszystkiego tam dostać można: płótna, chustek, dywaników, ubrań (podobno kradzionych także!), wyrobów z drzewa, haftów, koroneczek, naczyń, misek drewnianych ładnie malowanych, ludowych wyrobów rozmaitych, obwarzanków, a nawet gorącego jedzenia. My z Julcią naprzykład fundujemy sobie tam pierogi hreczane, lemieszczane z serem, wyborne naprawdę, po 2 kopiejki sztuka. Matki nasze śmieją się z nas, ale nie

zabraniają tych przysmaków; tylko wody nie wolno nam tu pić, bo Dnieprowa bardzo ma być szkodliwa: za to pije się dużo herbaty o różnych porach dnia i zajada się do tego konfitury, po moskiewsku nazwane „warenje", których mnóstwo i bardzo tanio tu sprzedają. Słynne są suche „kanfjekty" Bałabuchiny (tak się nazywa ich autorka), a także różne przetwory z klukwy czyli żurawiu, kwaśnej jagody, która i w zimie (bo w lutym) rośnie. Na rogach ulic sprzedają Turcy halwę i rahatłakum, a w sierpniu Tatarzy z Krymu i Południowej Rosji zjawiają się z wielbłądami i wielkiemi brykami, na których przywożą wyborne winogrona rozmaitego koloru i gatunku (po 10—15 kopijek funt), np. „Rosowyj Muskat", „Izabeł", „Don Piedro" i t. p., jak to oni zabawnie nazywają. Doskonałe są także krymskie wina, które też zamiast wody pijamy.

Wrzesień 1863 r.

Jakiż to u nas był ruch przez te parę dni: w fortecy przepełnienie, więc wyprawiają całe partje za Dniepr, na Sybir: jednych do ciężkich robót i ci idą w kajdanach, innych na „posielenie" (na osiedlenie) w Syberji, a że idą pieszo, ta droga trwa bardzo długo, całe miesiące i lata, a po drodze zatrzymują ich na etapach, w takich strasznych więzieniach, gdzie natłoczeni po kilkuset tam, gdzie zaledwie jest miejsce na kilkudziesięciu, w okropnym zaduchu nocują na pryczach, t. j. ławach drewnianych, bez żadnego posłania lub na ziemi, gdy miejsca niema, gryzieni przez roje zgłodniałych obrzydliwych owadów, tak, że pokrwawieni, opuchli, zrana ledwie na nogach utrzymać się mogą. I strawę ohydną im przynoszą w kubłach brudnych, stęchłą, zgniłą, z robakami. — I takie męczarnie piekielne znoszą przez całe mie-

KOŚCIÓŁ KATOLICKI ŚW. ALEKSANDRA.

siące, — latem i zimą, — a starają się wlec dalej, żeby nie zostawać po szpitalach także okropnych i nie rozstawać się z towarzyszami. Między tymi towarzyszami są i zbrodniarze okrutni i kobiety zbrodniarki, wszyscy umyślnie razem gnani na Sybir z dziećmi najlepszych rodzin, najpiękniejszego wychowania, żeby powiększyć ich mękę. Niektórzy z tych zbrodniarzy szanują naszych wygnańców, „katorżników", jak oni, bo odczuwają resztkami sumienia całą tę różnicę, ale większość nienawidzi „paniczów": okradają ich w etapach, szukają zwady umyślnie, żeby się rzucić i pobić słabszego od siebie. A gdy się zrobi hałas w izbie, wpada oficer, najczęściej pijany, z żołnierzami i wszystkich bić każe... Strach nawet pomyśleć o tej niedoli, o tem piekle, do którego gnają naszych ukochanych, a tymczasem rozmaite panie nasze, Polki prawdziwe, które mają tam mężów, braci, synów (choć starszych pań Moskale nie puszczają) idą razem z nimi, wystarawszy się z wielkim trudem o pozwolenie, a jechać w swoim powozie nie wolno. Uwierzyć trudno, ale takie osoby wątłe, delikatnie wychowane, ubierają się jak wieśniaczki i pieszo idą z partją, żeby na etapach wyprosić u oficera, jeśli się znajdzie jakiś lepszy trochę, pozwolenia na ugotowanie jadła gdzieś w chacie chłopskiej, na przepranie bielizny dla naszych męczenników. Czyż to nie bohaterstwo? Większe niż tych, co na polu bitwy walczą. Czy gdziekolwiek, w jakim kraju na świecie, robią kobiety coś podobnego? I widocznie Bóg im sił dodaje, bo nie padają na drodze, znoszą te trudy i męki niewymowne i są jakby Anioły opiekuńcze więźniów naszych.

Niedawno w kościele klęczała modląc się gorąco jakaś pani, młoda i blada bardzo; nagle za-

chwiała się i padła na kamienną posadzkę, uderzając mocno głową. Podnieśli ją, otrzeźwili i ktoś odwiózł ją do domu: to była hr. Romanowa Bnińska, która się wybiera z partją, bo mąż jej zesłany na Sybir. Ona taka wątła, prosiła pewnie Boga o siłę i odwagę: biedna!...

W tych dniach miał być także wyprawionym z partją doktór młody, Jachimowicz[1]), którego narzeczona, pna Anna Radlińska, przebywająca tu ze starszą siostrą p. Heleną (wyglądającą jak mężczyzna z krótko obciętemi włosami i chodem zamaszystym) chciała z nim wziąć ślub i towarzyszyć mężowi na wygnanie. Władze moskiewskie długo nie pozwalały na to, wreszcie udało się uzyskać pozwolenie w przeddzień wyprawienia partji, tak, że ślub miał się odbyć w fortecy o 12-tej w nocy, a o świcie partja wyruszała. W jednej chwili cała kolonja polska była powiadomioną i zajęła się przygotowaniami. Do nas przybiegło kilka pań i na gwałt szyła się biała suknia dla panny młodej, wił się wianeczek mirtowy. Ale nikogo nie wpuszczono do fortecy, nawet siostra, która miejsce matki zastępowała pannie Annie, musiała ją błogosławić u bram twierdzy i puścić w ciemną noc samą, tylko z oficerem od straży i księdzem katolickim. A raniutko, ubrana w szarą sukmanę i grube buty, z główką owiązaną chustą, z kijem w ręku, z tobołkiem na plecach szła za Dniepr wraz z dwiema innemi paniami. Poznać nie można było tej szczupłej panienki, wysmukłej, o bladej twarzyczce okolonej ciemnemi, kręcącemi się

---

[1]) Dr Jachimowicz powróciwszy wraz z żoną z długoletniego wygnania, otworzył w Odesie na limanach zakład leczniczy, licznie odwiedzany przez pacjentów z całej Polski, a zwłaszcza z Kresów. (Tam zmarł Al. Jabłonowski w r. 1912).

włosami, tej panny Hani, która wczoraj jeszcze przymierzała białą sukienkę u nas w tym „domu Grudzińskich", gdzie tyle różnych robi się przygotowań.

A wszyscyśmy, jak zwykle, odprowadzali partją za Dniepr; wyruszyła dopiero około 8-mej po różnych marudztwach: ktoś zemdlał, ktoś zachorował między więźniami, ktoś się przewracał, nie umiejąc iść w kajdanach, a jechało parę wozów z tobołami różnemi i na to, by można położyć więźnia, któryby upadł na drodze lub ciężko zachorował. — Straszny pochód, a jednak szli nasi wygnańcy dumnie, z głową podniesioną, niektórzy dowcipkowali, żeby rozweselić towarzyszy albo tych, co odprowadzali partją.

Z początku trzeba było się trzymać zdaleka, ale później, gdy się przeszło ogromny most na Dnieprze, żelazny, na murowanych parami wieżach zawieszony, t. j. gdy się już weszło w gubernję Czernihowską, na smutną czarną równinę bezleśną, pochód zwolnił kroku. Oficer, do którego zbliżyło się parę papń, coś mu tam ostrożnie wtykając i przemawiając po moskiewsku, pozwolił na stójkę i dopiero się zaczął pożegnalny częstunek, jak zwykle dla straży najprzód, a potem dla naszych wygnańców kochanych. Co tam było rzeczy rozmaitych: do jedzenia, do ubrania, naczyń nawet; były puszki z cukrem i herbatą, czokolada, wędliny, obwarzanki, (pierożków i chlebów nie można dawać, bo wszystkie straż musi przekrawywać, czy w nich się coś nie ukrywa), były łyżki drewniane, misternie toczone i bardzo dowcipnie nawet, bo rączka dawała się odkręcać niepostrzeżenie, a wydrążona we środku, zawierała pieniądze papierowe, czego jakoś nie zwąchali Moskale na razie przynajmniej. Każdy wię-

zień dostawał taką łyżkę, bo noży naturalnie, ani scyzoryków nie wolno dawać.

Ileż tam było pożegnań i łez, ale większość pań dzielnie się trzymała, nie chcąc Moskali ucieszyć widokiem żalu swojego; i pna Helena R., choć bardzo blada, bez łez błogosławiła ukochaną siostrzyczkę swoją na tę długą, straszną drogę, co może rok, albo dłużej potrwa.

Innych więźniów, jak np. Stacha naszego, Dra Trachtenberga, Popowskiego i t. d. trzymają dłużej w Kijowie, prowadząc śledztwo, żeby jak najwięcej odkryć z organizacji Rządu Narodowego i t. p. Ale oni dzielnie się trzymają i nic nie zdradzą. W Warszawskiej cytadeli[1]) gorzej jeszcze, bo tam męczą więźniów, głodzą, torturują, żeby zmusić do zeznań. Okropnie słuchać o tem, a najgorszy ma być taki Tuchołko, co tam prowadzi śledztwa i inni, tacy renegaci nikczemni, co byli kiedyś Polakami, lub z polskich rodzin pochodzą (jak ten major Płut, o którym w „Panu Tadeuszu" pisze Mickiewicz). Już ten, co naszą Ojczyznę zdradza, to musi być najgorszy z łotrów; jakby ten syn, co matkę rodzoną, umęczoną, pokaleczoną, śmiertelnie chorą, porzuca i jeszcze wrogów na nią naprowadza. To potwór chyba.

30 października 1863 r.

Spadła dawno oczekiwana klęska! Aleksandra Szumowskiego wydalono z gimnazjum, gdzie był ukochanym przez uczniów profesorem geografji (ale oprócz tej geografji wykładanej tak pięknie, jak on tylko umie, czego on ich jeszcze nie uczył!); wyda-

[1]) W czasie wielkiej wojny, po ustąpieniu Moskali, zaczęto wydawać w Warszawie książki, opisujące prześladowania i męki zadawane Polakom w czasach niewoli; między innemi „Cytadela Warszawska" i t. d. (vid. Przyp. lit. cz).

łono „za szkodliwy wpływ na młodzież"... Ale kiedy się zjawił w klasie nowy profesor Moskal, z głębi Rosji przysłany dla „abrusienja" młodzieży szkolnej, uczniowie wzburzyli się, podarli zeszyty, połamali ławki i nie chcieli przyjąć nowego apostoła. Co teraz będzie z nimi, ze szkołą? Aleksander desperuje; chciałby ich ratować, a nie może. A co z nim będzie?

8 listopada 1863 r.

Nie długo czekaliśmy na odpowiedź: w samą wilją Wszystkich Świętych wieczorem zjawił się u nas gruby, umundurowany jegomość z żandarmami, na rewizją, jak myśleliśmy; ale nie: zapytał gdzie „Aleksandr Jakentiewicz"? bo ma być aresztowany i natychmiast wywieziony do... Orenburga! — Można sobie wyobrazić, co się działo. Ciocia Roszkowska, jak zwykle najśmielsza i umiejąca tak przemawiać, że ją Moskale rozumieją i szanują, wystąpiła z prośbą o zwłokę, bo przecież niepodobna porwać tak nagle gospodarza domu i pensjonatu, mającego tyle interesów do załatwienia. Argumenty te nie byłyby pewno odniosły skutku, gdyby nie spora paczka „z papierosami" (jak to się mówi), podana panu oficerowi, który wreszcie dał się skłonić do zatrzymania się, ale tylko do rana, oświadczył jednak, że więźnia opuścić nie może ani na chwilę, więc i sam tu zanocuje, odprawiwszy chwilowo żandarmów. Miły gość na tę noc ostatnią w domu dla wygnańca naszego, który miał być wieziony „pierekładną" czyli kibitką z dwoma żandarmami i to dzień i noc, zmieniając na każdej stacji pocztowe konie i wózek. Podróż bez przerwy miała trwać około dwóch tygodni, bo Orenburg blisko granicy Azjatyckiej (leży przeszło 2 tysiące werst czyli kilometrów od Kijowa).

Można sobie wyobrazić, jak okropnie noc ta przeszła, jakie gorączkowe robiło się przygotowania. Odrazu postanowiono, że Wandzia pojedzie za mężem, a matka Aleksandra powiedziała, że ich nie opuści, że nie zostanie w Kijowie bez swego jedynaka. — Nie pojmuję, jak się to mogło tak prędko zrobić, ale rano wyjechał Aleksander z dwoma żandarmami, a żegnał się ze wszystkimi, jak gdyby ich nie miał zobaczyć. Ukląkł przed matką, która go błogosławiła krzyżem świętym, potem Ciotka R. i Mateczka; tulił do serca nas obie z Julcią i Muszkę, którego bardzo lubi, żegnał uczniów z pensjonatu i nauczycieli, a Francuz p. Janin ze łzami w oczach powtarza tylko: „C'est inique, c'est incroyable"! — Pierekładna zajechała przed bramę z dzwonkami i ze strasznym turkotem pędząc, uwiozła naszego kochanego Aleksandra. Jednocześnie wszystko się przygotowywało na wyjazd Wandzi i Babuni Szumowskiej, a miał im towarzyszyć Tomasz poczciwy (ten młody lokaj, co się naszym koczem opiekował). Zapomocą przyjaciół i znajomych, którzy się zbiegli na wiadomość o porwaniu Aleksandra, wynalazło się tarantas, t. j. duży powóz kryty, na drążkach zawieszony zamiast resorów, któreby nie wytrzymały tak gwałtownej podróży. Co się tam pomieściło rzeczy w rozmaitych kryjówkach, to i wyliczyć trudno: dość, że zabierano pościel, ubranie wszelakie, książki, żywność najrozmaitszą i t. d. A i my wszystkie odprowadzać miałyśmy za Dniepr nasze podróżniczki, dopókiby nie dogoniły Aleksandra. Żandarmi, pozyskani obfitością „papierosów", obiecali o ile możności marudzić w drodze, żeby ich można było dopędzić. „Podorożne" dla wszystkich wyrobiło się mimo Święta w cudowny sposób i już pod wieczór tego samego dnia wyruszyła cała karawana. W ta-

rantasie tylko Babunia Szumowska ze mną i Tomaszem na koźle, a w drugim wynajętym powozie, oprócz Wandzi opatulonej w różne ciepłości, bo chłodno było porządnie i jechało się w zimne kraje, jechała Ciocia R., Mateczka i Julcia na koźle. Gdyby nie zmartwienie ciężkie i niepokój o podróżnych (zwłaszcza że Wandzia była cierpiąca i ruch jej szkodził), to jazda byłaby wspaniała. Pędziliśmy co koń wyskoczy od stacji do stacji po trzy konie przy każdym powozie, z dzwonkami, a że księżyc w pełni świecił, więc i latarni nie było potrzeba na razie. Minęliśmy Dniepr, jakby złocistą rzekę, dudniąc po moście żelaznym; za nami na lewo został Padół, tysiącem świateł odbijający się w wodzie i wyspa Truchanowska na Dnieprze, jak wieniec gwiaździsty. Za Dnieprem zdaleka mijaliśmy Drewnicę, mieścinę; jużeśmy w Czernihowskiej gubernji, tej rosyjskiej Ukrainie; o wiele brzydszej i smutniejszej niż nasza; tylko przy księżycu wszystko się piękniej wydawało. Pani Szumowska odmówiwszy wieczorne pacierze i razem ze mną litanję do M. Boskiej, opowiadała mi różne rzeczy: jak to Oleś był zawsze poczciwym chłopcem, pilnym, koleżeńskim i najlepszym synem; jak właśnie uczył się w Czernihowskiem gimnazjum, a zawsze tak kochał swój język ojczysty i historję. Potem uczyła mnie, jak przyrządzać wyborną maść na rany (z żywicy i słoniny topionej; albo także na rany: spirytus, w którym moczone płatki białej lilji; już wolałabym to ostatnie). Spać się nam nie chciało, ale wśród nocy przyszła Julcia zziębnięta zająć moje miejsce, a mnie posadzono ku wielkiej mojej radości na koźle tamtego powozu. Tu jeszcze było zabawniej patrzeć przed siebie na białą drogę szosową, z której iskry tryskały od kopyt końskich, a pędziliśmy jak wiatr,

bo jemszczyk dostawał obfite „tryngielty", jak tam się mówi, a droga była doskonała i równa, nie tak, jak na naszym Wołyniu lub na Podolu, gdzie często z wzgórza na wzgórze się jedzie. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Mamie i Cioci ciągle się zdawało, że ja zasypiam, aż się kiwam (a to od szybkiej jazdy) i że spadnę z wysokiego kozła; chciały mię nawet przywiązać jakimś pasem, ale się wyprosiłam i musiałam co chwila odwracać się i przemawiać coś, na dowód, że nie śpię.

Wreszcie księżyc się ukrył i potroszę dnieć zaczęło, ale pierekładny ani widać, więc jedziemy coraz dalej, aż do Nieżyna, miasta o 15 mil (150 werst) od Kijowa, dokąd o 10-tej zrana przybyliśmy, licząc, że tu napewno Aleksandra dogonimy. Niestety, okazało się, że żandarmi z więźniem swoim popasali tu, pili czaj, ale przed godziną wyjechali. Trzeba było z wielkim żalem opuścić nasze podróżniczki, zjadłszy śniadanie naprędce, bo im się bardzo spieszyło. Tu już nastąpiło prawdziwe pożegnanie smutne, oblane łzami, w sam dzień Zaduszny, i one w tarantasie, pod opieką poczciwego Tomasza, pojechały w głąb tej strasznej Rosji, my zaś wróciłyśmy do Kijowa, ale dopiero późną nocą, wyziębłe, zgłodniałe, smutne i tak zmęczone, że ja przynajmniej spałam jak kamień aż do wieczora.

Grudzień 1863 r.

Już zima na dobre się rozpoczęła, a tu dopiero w miesiąc po wyjeździe naszych podróżnych przyszedł pierwszy od nich list. Bogu dzięki, są już na miejscu, ale jechali całe dwa tygodnie i to z jakiemi przygodami! O parę stacji od Nieżyna panie nasze dogoniły Aleksandra, ale zdarzało się nieraz tak, że je żandarmi wyprzedzali; jechało się przez puste

równiny i stepy, przez miasta i rzeki, a tu zimno się zwiększało, wicher hulał po polach. Aż wreszcie w połowie listopada przybyli nad Wołgę, ogromną, szeroką rzekę, która już marznąć zaczęła, tak, że kry pędziły jedna za drugą i wiatr gwizdał przeraźliwie i to już ku wieczorowi, a zatrzymać się nie wolno, mówią żandarmi, i niema gdzie. Trzeba się przeprawiać na łodziach, ale cóż robić z ogromnym tarantasem? Wierzyć trudno, ale za dobre pieniądze Tatarzy i Kałmucy tamtejsi zgodzili się przenieść na rękach tarantas przez Wołgę zapomocą jakichś tratew. Na dwóch łodziach płynęły panie z Tomaszem i więzień z żandarmami, miotani falą i wichrem, uderzani krami, tak, że co chwila można się było spodziewać rozbicia. A te kry napływały i gromadziły się tak, że wkońcu łodzie stanęły jak obmurowane i nie było sposobu ich z miejsca ruszyć. — Brzeg już było dobrze widać, ale jak się doń dostać? Nie było rady, tylko z kry na krę przeskakiwać i tak się puścili wygnańcy z pomocą Kałmuków, którzy mocno za ramię trzymali. Nagle Babunia Szumowska potknąwszy się, wpadła między dwie kry; wyciągnęli ją z wody lodowatej ledwie żywą, wynieśli na brzeg, dokąd Baszkiry przydźwigali tarantas z tratwy, co także w lodach uwięzła. Tam Babunię ułożyli, okryli futrami, kocami i cóż kto powie? nawet zapalenia płuc nie dostała. Czy to nie cudowna opieka Boża? I Wandzia nie rozchorowała się, ona, taka delikatna...

Grudzień 1863 r.

W dziesięć dni po pierwszym otrzymaliśmy drugi list z Orenburga, opisujący życie ich tam, ciężkie i trudne, bo niedostatek im grozi. Jest tam garść wygnańców zrujnowanych, tak jak Szumo-

wscy, przez wyrwanie z domu rodzinnego, od gospodarstwa i zajęć. Rząd wypłaca wygnańcom (ze szlachty) po 6 rubli mies. na osobę, a cóż to jest? Nawet wobec taniości niektórych artykułów żywności, np. zająca lub szczupaka całego można dostać za 6—10 kopiejek, ponieważ ludność miejscowa tam pod Uralem uważa te zwierzęta za „nieczyste" (ciekawam czemu, np. w porównaniu ze świnką?) i nie je ich wcale. Klimat ma być przykry niezmiernie z powodu wichrów straszliwych i zamieci zimą, a upałów niesłychanych w lecie wśród tych stepów jałowych. Z wiosną rozpoczynają się choroby zaraźliwe, a najgorsza w czasie upałów dysenterja śmiertelna, zwłaszcza dla dzieci, których też prawie niema w Orenburgu.

Z wygnańców zbliżyli się Aleksandrostwa odrazu z pp. Korzonami: on[1]) młody, ale wielce uczony historyk, uczeń Moskiewskiego uniwersytetu (gdzie kolegował z Janem Karłowiczem[2]), językoznawcą i muzykiem na wiolonczeli), a którego żona, p. Jadwiga, dopomaga mu w pracy, układając i przepisując jego rękopisy historyczne. Ale to nie przynosi dochodu, więc cierpią niedostatek; brak opału (w okolicach Orenburga, jak często w Rosji, niema wcale lasów, o węgiel zaś bardzo trudno, a kolei żelaznej nigdzie niema) i marnie się żywią. To też panie

---

[1]) Tadeusz Korzon, znakomity historyk i statysta polski, pracował później w Warszawie przy Bibljotece Zamoyskich († 19). Córka jego Wanda poślubiła Promyka (Konrada Prószyńskiego) słynnego wydawcę elementarza i książek ludowych. Syn jego Kazimierz Prószyński, wynalazca w dziedzinie fizyki.

[2]) Jan Karłowicz, słynny uczony, lingwista, ojciec znakomitego muzyka kompozytora, Mieczysława, który przedwcześnie zginął od lawiny w Zakopanem.

wzięły się do pracy ręcznej; na razie wyrabiają szydełkiem lub na drutach chustki, szale, pelerynki, kapturki i t. p. z wełny tamtejszej owczej lub koziej. A znów Baszkirki i Tatarki robią z „koziego puchu", jak to nazywają, na długich drutach cieniuchne ażurowe chustki, ale takie, że cała ogromna chusta da się podobno przeciągnąć przez pierścionek z palca, a jest mięciuchna i bardzo ciepła. Ciekawe!

Zaprzyjaźnili się Szumowscy także z p. Adamem Kostrowickim, bogatym niegdyś obywatelem na Litwie, obecnie zrujnowanym zupełnie i to w okropny sposób, bo cały majątek swój i brata zostawił pod opieką żony. Tymczasem w Rosji jest takie prawo, że przestępca polityczny skazany przez ich sądy, zostaje pozbawiony praw wszelkich i uważany za umarłego. Otóż ta pani, straszny wyjątek między Polkami, skorzystała z takiego niegodziwego prawa i rękę swą, wraz z majątkiem męża i szwagra, oddała Moskalowi jakiemuś. P. Adam chciał, by odebrać jej przynajmniej synka swego, ale i tego rząd nie dopuszcza, bo skazaniec traci nawet prawo ojcowskie. Jakież to straszne!...

Grudzień 1863 r.

Sprawa Stasia przeciąga się: Ciocia R. robi starania u gen. gubern. Annenkowa i t. d., a Mama jej wszędzie towarzyszy i pomaga; przytem opiekować się trzeba pensjonatem Szumowskiego przynajmniej przez kilka miesięcy, więc zimę spędzamy w Kijowie. Pomimo ciągłego zajęcia więźniami naszymi, w którem i my najmłodsze udział bierzemy, jak kto może, — trzeba i o nauce pomyśleć. Obie z Julcią R. bierzemy lekcje muzyki u artysty-kompozytora p. Konstantego Millera, emigranta z Francji i Belgji

(gdzie się uczył) i Ameryki, niedawno przybyłego. Jest to brat rodzony Wujenki Lucysi Rucińskiej, wykształcony wysoko, doktor medycyny, artysta i taki poetyczny, taki entuzjasta, mimo siwiejącego już włosa (który mu się zwija w pukle nad czołem), takie piękne i ciekawe rzeczy opowiada, że go lubimy i kochamy wszyscy, a zwłaszcza my uczennice. Jest na mnie bardzo łaskaw: podarował mi kilka swoich utworów, a jeden nawet mi dedykował („Souvenir de Niagara"-Valse brillante), z czego wielce dumną jestem. — Osobno jeszcze biorę co tydzień lekcję od pni Polheim, szopenistki, i uczę się z nią pięknego „Impromptu". Po Nowym Roku mam zacząć lekcje angielskiego, także z p. Millerem (on nie od Niemców, ale od Szwedów pochodzi; to zawsze lepiej). — Niemieckiego uczę się od p. Engelhardta (Szwajcara, dozorcy w naszym pensjonacie), a rysuję z p. Janin, kopiując cierpliwie ołówkiem wzorki rozmaite, t. j. kwiaty, owoce, widoczki. Wolałabym z natury, ale cóż, kiedy niema tego zwyczaju. Przyrzeczone mam także na wiązanie (urodziny moje wkońcu grudnia) lekcje literatury francuskiej, któremi się bardzo cieszę; a to z p. Louis Denys[1]), mieszkający u pp. Grudzińskich także (i — powiem w sekrecie — admirujący bardzo p. Helenę Gr., tę, co ma narzeczonego w więzieniu).

Kolonja polska urządza Wigilją dla więźniów naszych, więc ruch u nas niemały. Do Orenburga

---

[1]) Louis Denys, później ożeniwszy się z p. Heleną Grudzińską, założył w Odesie pensjonat dla zamożnych chłopców z obywatelstwa kresowego. W r. 1917 autorka „Dzienniczka" odwiedziła dawnego swego nauczyciela dogorywającego, a pielęgnowanego przez żonę staruszkę. Mieli dwóch synów bardzo zdolnych.

także się coś posyła; tylko niewiadomo, czy dojdzie; ale jakażby to była dla nich przyjemność!

Styczeń 1864 r.

Udała się Wigilja dla więźniów i doszła przesyłka do Orenburga, a stamtąd znów na sam Nowy Rok przyszła dla nas paczka właśnie z temi chustkami orenburskiemi, których tak byłam ciekawa: duża bura z białym szlakiem dla Cioci R., a takaż biała dla Mateczki — obie ogromne, a przesuwają się przez pierścionek (męski); dwie mniejsze dla Julci i dla mnie, takie cieplutkie, gdy się niemi otulić od tego gwałtownego wiatru kijowskiego, który idzie głównie od Dniepru, a na skrzyżowaniu ulic wytwarza takie przeciągi, że się na nogach utrzymać nie można i mną naprzykład rzuca jak piłką o ścianę.

Ale smutno nam było bardzo zasiąść do wigilijnego stołu w szczupłem gronku (było i parę pań bliżej znajomych, co mają mężów w fortecy), myśląc o naszych wygnańcach w Orenburgu, o Stachu w więzieniu i tylu znajomych i przyjaciołach oddalonych lub poległych, o tych powstańcach kochanych, co gdzieś daleko po lasach marzną, głodują, albo giną w walce beznadziejnej z Moskalem.

Na kresach naszych powstanie już oddawna stłumione: jedni, szczęśliwsi, przeszli do Galicji i dalej za granicę; inni przez Żytomierskie i Kijowskie więzienia idą na Sybir, w sołdaty, w ciężkie roboty. Niektórzy na rozstrzelanie skazani, np. zacny Drużbacki.

Styczeń 1864 r.

Często wysyłają partje za Dniepr i zawsze kolonja nasza odprowadza je, jak można najdalej. Cza-

sem przychodzą listy z drogi od pań, towarzyszących partji, a czasem ktoś z naszych (bo wielu jest urzędników Polaków, inżynierów i t. p. w głębi Rosji i na Syberji) i opowiadają straszne rzeczy o mękach wygnańców naszych. A jak oni postępują szlachetnie i wszędzie trzymają się zasad, które głosili, zwłaszcza młodzież z uniwersytetu Kijowskiego. Otóż w oddziałach skazańców rząd przestrzega pilnie podziału klasowego, t. j. na szlachtę („dworjanin") i nieszlachtę: np. pierwsi otrzymują po 15 kopiejek dziennie, drudzy tylko po trzy kop. na osobę, a tych ostatnich zawsze większość. Na kilku lub kilkunastu młodzieży i obywateli, reszta partji składała się z lokai, furmanów, poberežników (leśniczych), kowali, ślusarzy, rozmaitej czeladzi lub służby dworskiej (nie mówiąc już o zbójach, złodziejach i t. p.). Tymczasem każda partja, jak tylko Dniepr przekroczy, wprowadza natychmiast równość podziału pieniędzy między wszystkich, i to naturalnie pod wpływem naszej młodzieży kijowskiej, która umiała dawniej jeszcze przekonać starszych i nawrócić ich do zasad demokratycznych prawdziwie. Ale w Permie, Kazaniu i t. d. łączyły się kijowskie partje z innemi, przybywającemi z Korony i Litwy, a liczniejszemi o wiele. Wtedy następują spory nie tyle z Koroniarzami (gdzie mało bywa szlachty, więcej mieszczan), co z Litwinami, którzy się oburzają na tę zasadę równości. A jednak i religja chrześcijańska oddawna nas tego uczy; to też zdaje mi się, że patrząc na postępowanie wielu ludzi, a nawet całych narodów i państw, trudnoby się domyśleć, że to są chrześcijanie. Pewnie, że niełatwo żyć według prawdziwej nauki Chrystusa i stosować się do niej na każdym kroku, nawet w drobnostkach, ja np. codziennie muszę z sobą walkę staczać, żeby się mo-

MOST NA DNIEPRZE.

dlić za nieprzyjaciół, i to proszę Boga, by ich upamiętał, a wcale nie o błogosławieństwo dla nich, jak to czynią niektóre pobożne osoby. Niech już sobie na tamtym świecie doznają przebaczenia, ale na tym chciałabym serdecznie, by ich Bóg sprawiedliwy srogo ukarał za ich niegodziwości i krzywdę, wyrządzaną mojej Ojczyźnie; bo przecież takich tylko uważam za nieprzyjaciół.

Zapomniałam napisać, że przy jednej z partji szedł p. Michał Gruszecki, dawny powstaniec z roku 1830 i Sybirak, więc siwowłosy starzec z białemi wąsami, ale taki dzielny i wesół, — maszerował jak żołnierz, a żona jego, młoda jeszcze osoba, jechała za partją.

Okazuje się, że p. Aleksander Jabłonowski nie wyemigrował, ale został wywieziony do Penzy, do ziemi Mordwinów, czyli do mordowni, jak on mówi.

Luty 1864 r.

Cóż się u nas w Kijowie działo! prawdziwy dzień sądny. Moskale wściekali się, latali jak szaleni: tu wpadali na rewizje, tam aresztowali niewiadomo dlaczego tych, co im się wydawali podejrzani, a wszystko napróżno, bo znikł bez śladu więzień Antoni Jurjewicz, ów z pod Sołowijówki, co wyleczywszy się z ran, miał być srogo sądzony. Rzecz się tak miała: kiedy się dowiedziano, że ze wspólnej ogromnej sali w baszcie Północnej, Jurjewicz ma być przeniesiony do osobnej kaźni, gdzie najniebezpieczniejszych więźniów trzymają, zapewne w kazamaty (podziemia), postanowiono go uratować za wszelką cenę. Przedtem już, chodząc po tej ogromnej izbie, zauważyli niektórzy więźniowie, że podłoga dudni, jak gdyby próżnia była pod spodem; teraz więc nocą podniósłszy deski pod tapczanem

jednego z więźniów, przekonali się, że dół nie był wypełniony gruzem i kamieniami (widocznie ci, co budowali, pieniądze wzięli, a materjał ukradli; nic dziwnego, bo w Rosji się zdarza, że ogromne sumy rząd wydaje na budowę i utrzymanie budynków, a w lat kilka lub nawet kilkanaście okazuje się, że one wcale nie istnieją i nigdy nie istniały!...), ale pusty zupełnie; tam więc spuścili Jurjewicza, tak, że gdy rano sprawdzano obecność więźniów, wywołując jak zwykle nazwiska, okazało się, że Jurjewicz zniknął. Straż, oficerowie, komendanci latali jak szaleni, grozili, łajali, bili własnych sołdatów, a tu nic! Więźniowie nasi mówili: „Pewnoście sami go porwali w nocy, a teraz nas napadacie". Komendant (Muśnicki) włosy rwał sobie z głowy i krzyczał, pieniąc się ze złości, jak to on umie: „Proklatyj! Czy go licho porwało? Czy w ziemię się zapadł"?... i nawet nie wiedział, jak był blisko prawdy. — Latali po całym Peczersku (jak wtedy po ucieczce Zarębskiego), rewidowali, aresztowali tam i na Starym Kijowie, t. j. koło nas, — ani śladu! Dyżurna straż dostała pałkami według moskiewskiego zwyczaju (tam byle za co biją pałkami, rózgami, a nawet knutem) i to nie pomogło. — Więzień tymczasem cały dzień leżał pod podłogą, a nocami wypełzał do izby więziennej, żeby się posilić i odetchnąć nieco świeższem powietrzem. Ale natem nie koniec: co nocy spuszczano do podziemia po kilku innych więźniów, którzy kopali chodnik podziemny, nosząc ziemię i ubijając ją właśnie w owej próżni pod podłogą. — Naturalnie z miasta przyszła pomoc: dostarczono łopat i innych narzędzi, świeczek, a nawet busoli, żeby pracownicy wiedzieli, jak się kierować pod ziemią i dokąd wyprowadzić swój tunel cudowny. Jak to się robiło, to wie panna Zuzia i inne panie,

specjalistki od takiej kontrabandy; dość, że robota szła, a władze nic się nie domyślały. Ale jaka to była piekielnie trudna i ciężka robota, Bóg jeden wie, a trwała kilka tygodni. Co się nacierpieli więźniowie, którzy pracując po całych nocach pod ziemią, musieli jeszcze ukrywać się przed innymi, bo nie wszystkim więźniom można było ufać. Niektórzy znów hałasowali całą noc, żeby zagłuszyć stukanie pod ziemią, biegali po całej izbie ogromnej, aż czasem straż wpadała, myśląc, że powarjowali. I rzeczywiście można było oszaleć z tej męki, połączonej z okropną obawą i niepokojem — czy się uda? Wreszcie w połowie lutego podkop doszedł do stoku góry poza murem, gdzie było wielkie śmietnisko i tamtędy, korzystając z ciemnej, burzliwej nocy, wypuszczono Jurjewicza z kolegą, także mocno zagrożonym, a jeszcze dziesięciu podobno miano nadzieję w ten sam sposób uratować. Jak się więźniowie nasi z Peczerska wydostali, nie wiem; gdzie ich przechowywano? dość, że znikli obaj; ale nazajutrz po ich ucieczce jakaś baba, zbierająca szmaty na śmietnisku, zapadła się nagle pod ziemię i narobiła krzyku. Wyciągnęli ją, ale niestety, wykryto zarazem chodnik podziemny, wykonany w tak cudowny sposób. W głowę zachodzili inżynierowie rządowi, którzy się tam zlecieli, jakim sposobem więźniowie, — bo któżby inny? — zdołali takie roboty wykonać? Pewnie że się zdumiewali, bo czyż Moskal zrozumie, do czego może doprowadzić miłość Ojczyzny, poświęcenie patrjotów, co krew i życie dać gotowi za kraj i rodaków? (A swoją drogą, nie możnaby było tego zrobić, gdyby nie złodziejstwo moskiewskich budowniczych, którzy zamiast murowanych fundamentów twierdzy, dziurę zostawili). — Więźniów przeprowadzono do innej baszty, rozpoczęto

śledztwo, ale Jurjewicza i kolegi jego jak niema, tak niema, — Bogu dzięki!

Marzec 1864 r.

Przychodzą co parę tygodni listy od Szumowskich: państwu Korzonom przybyła córeczka, ale ciężko im bardzo wyżyć. Babunia Szumowska też choruje w tym klimacie. Ale dużo uprzejmości okazują naszym wygnańcom pp. Czerkawscy: on jest aptekarzem, pochodzi z okolic Krzemieńca, gdzie mieszka jego stara matka i ma przy sobie wnuczkę, sierotkę Filipinkę. Otóż Mateczka obiecała, że weźmie tę dziewczynkę na wychowanie, gdy powrócimy do Krzemieńca; ale jakoś się na to nie zanosi, bo sprawa Stacha przedłuża się i niewiadomo, kiedy go sądzić będą. Ciocia R. z Mateczką tu pozostają, a Wuj Roszkowski już dawno wyjechał do Podwysokiego (na Ukrainie, niedaleko Humania), gdzie się opiekuje hr. Stanisławem Potockim i jego siedzibą. Z tejże okolicy przyjeżdżał niedawno Wujaszek Wilo Pfaffius, stryjeczny brat Mamy, który się ożenił z milutką bardzo Henryką Orlicką (śliczne nazwisko polskie!); jest obecnie lekarzem w Hołowaniewskiem (także dobra Potockich, szczątki dawnego olbrzymiego klucza, bo wiadomo, że dobra jednego takiego magnata polskiego znacznie były obszerniejsze, niż jakieś księstwo udzielne w Niemczech). Wuj Wilo był dawniej na Syberji, dokąd go sprowadził starszy brat, Eugenjusz. A rzecz ciekawa, że ten brat nie był wygnanym, ani skazańcem, ale widząc, że tylu krewnych, przyjaciół wysyłają na Sybir, pojechał tam także i starał się być im użytecznym. Chcąc jednak zapracować na życie, został urzędnikiem w Kiachcie, na pograniczu Chin, i powoli tak się oswoił z obcym żywiołem (a Polaków,

jako wykształconych i uczciwych, wysoko tam cenią), że on, patrjota, entuzjasta, — ożenił się z Rosjanką, córką wielkorządcy (niby gubernatora) w Kiachcie i pozostał tam na dobre, chociaż marzy ciągle o powrocie do Ojczyzny z żoną i dziećmi. Pamiętam, jak się Mateczka tem martwiła, chociaż Wujenka Eugenjuszowa miała być bardzo poczciwa, chcąca się spolszczyć i napisała ładny list (po francusku) do Mamy, prosząc o książki polskie, żeby mogła poznać język nasz, a potem „ce cher pays“ swego męża. Podobno dużo robili dobrego wygnańcom naszym, a nam do Krzemieńca (w zamian za książki i t. p.) przysyłali różne śliczne rzeczy: wyroby chińskie, doskonałą herbatę (żółtą i zieloną), materje z surowego jedwabiu (cze-sucze) i t. p.

Kwiecień 1864 r.

Przebyliśmy tu Wielkanoc prawie pierwszą w Kijowie, bo tej przeszłorocznej wśród chorób i utrapień zaraz po przyjeździe, liczyć nie można. Teraz było weselej, bo się przygotowywało różne przysmaki dla więźniów: mięsiwa, ciasta (doskonałe obertuchy czyli placki z grubą warstwą sera, zaprawionego szafranem, rodzenkami, migdałami i innemi wybornościami, placek „krakowski“, t. j. przekładaniec wysoki, a pełny samych doskonałości, tonących w smakowitem babowem cieście), baby nawet. Cóż, kiedy wszystko to straż więzienna krajała na kawałki przed oddaniem więźniom (czemu się nie bardzo można dziwić, bo w ten sposób przekradało się rozmaite rzeczy, np. w chlebie pilniki do przepiłowania krat, dłutka, gwoździe i t. p.). — Odbieramy i my podarki z fortecy (czasem przez popa B., czasem przez jakiego poczciwego żołnierza), a to wyroby więźniów z chleba, pestek lub kości. Nawet

Stasiek nasz, który dawniej nie miał żadnej biegłości w palcach, przysłał nam medaljony z chlebowej masy, a dla Mamy krzyżyk z kości słoniowej, misternie wyrobiony w wianuszku cierniowym. Inni więźniowie z nudy haftują na kanwie, wyplatają łańcuszki, bransoletki z włosów i t. p.

Na Wielkanoc było tu mnóstwo ślicznych „pisanek" różnobarwnych i my je także robiłyśmy, ale to prawdziwa sztuka, której trzeba się uczyć: jak zanurzać w różne farby po kolei, rysować roztopionym woskiem i t. d. Kraszanek dużo robiliśmy we wszelkich możebnych barwach. Wszyscy się tu witają na Wielkanoc słowami: „Chrystos woskres", a odpowiada się: „Woistienno woskres!" (rzeczywiście zmartwychwstał) i Polacy tak mówią. — A spotkała mię niezbyt miła niespodzianka, bo kiedy wyniosłam dziadowi-żebrakowi (niezbyt czystemu i cuchnącemu wódką) kawał „paski" i parę kraszanek, on mię nagle ucałował w oba policzki! Pokazuje się, że w to święto Zmartwychwstania Moskale ze wszystkimi się całują w domu i na ulicy. To też starałyśmy się trzymać zdaleka, dopóki święta nie minęły. Obchodzą je także okropnem pijaństwem Moskale, tak, że leżą po ulicach jak kłody, a w nocy takie krzyki okropne słychać i bijatyki, że dreszcz przejmuje.

Był u nas w czasie Świąt p. Konstanty Miller wieczorem i grał tak ślicznie, że słuchając, ulatywało się duchem w jakieś czarodziejskie kraje; on nie gra z nut, ani nawet z pamięci, tylko improwizuje, snuje z duszy swej i wyobraźni. Bo też w muzyce takiej słychać to jakiś odległy tętent, to jakby trąby i bębny, to znów jęki i płacze, to niby marsz rycerski i strzały; a czasem taką rzewną, słodką melodję, jakby pienia anielskie. To coś, co unosi po-

nad ziemię, gdzieś daleko i wysoko — to „sztuka piękna", jak nazywają w książkach. A jak to ślicznie opisał Mickiewicz w muzyce Jankiela! Albo gdy Wojski w róg trąbił na polowaniu.

I malarstwo to sztuka, ale ja tego jeszcze[1]) nie rozumiem, nie odczuwam; może dlatego, że mało pięknych obrazów i rzeźb widziałam. Za to piękno w naturze zachwyca mię niezmiernie, zwłaszcza wody, lasy, no i góry, które kocham naprawdę, chociaż dotąd nie widziałam piękniejszych niż Krzemienieckie. Czy też kiedy zobaczę nasze Tatry, Pieniny, morze?... Takie mi przyszły marzenia pod wpływem muzyki p. Millera. On dużo widział w Europie i Ameryce (np. wodospad Niagary, Szwajcarję, morza i oceany) i tak pięknie o tem opowiada.

W maju 1864 r.

Przyszedł list z Orenburga! Szumowscy mają malutką córeczkę Stasiunię, więc moją siostrzeniczkę! Jak się cieszę, — obyż się im szczęśliwie chowała ta dziecina na wygnaniu, — Boże mój Boże! Muszę coś dla niej zrobić: może, jak Mama radzi, pończoszki na drutach, cieniutkie i zgrabne, bo to wcale dobrze potrafię; nawet czytając lub ucząc się, na pamięć umiem robić na drutach, jak Mama lub Ciocia Kamilcia, która chodząc, modląc się, rozmawiając, czytając, nie wypuszcza z rąk pończoszki i tak niepostrzeżenie wytwarza mnóstwo rzeczy dla przyjaciół, dla biednych. A Mama umie wyrabiać śliczne kaftaniczki dla dzieci, kapturki i trzewiczki, wszystko na drutach z włóczki lub bawełny.

---

[1]) Później, kiedy nasza Krzemieńczanka, podróżując już z dorosłą córką, zwiedziła najpiękniejsze europejskie galerje i muzea, nabrała uwielbienia dla malarstwa. Uczyła też historji sztuki, budząc do niej zamiłowanie.

Maj 1864 r.

Coraz to nowe partje wyruszają za Dniepr, coraz inni znajomi i przyjaciele nam ubywają: wywieziono w głąb Rosji p. Ferdynanda Knothego, a za nim wyjechała cała rodzina: pani Zenobja z Oktunią i Stasiem i najpoczciwsza pna Kam. Podhorodeńska, opiekunka ich wszystkich. Pp. Korzeniowscy wywiezieni (do Wołogdy) także, chociaż p. Ewelina chora, i Konradka zabrali.

Czerwiec 1864 r.

Nie wiem już nawet, jak to opisać, bo mię ciągle łzy zalewają. Niema już naszego maleńkiego Bogusia, aniołeczka małego: to także męczennik za Polskę. Dra Trachtenberga[1]) skazano na wygnanie do Rosji południowej, a przed wywiezieniem pozwolono mu na kilka godzin, z żandarmem naturalnie, do domu zajechać. Boguś maleńki, uradowany czekał na tego Tatunia z „za kjaty", a pani Emilja pojechała zabrać męża z fortecy. Wchodzą po schodach, otwierają drzwi i pan Adolf staje na progu, a syneczek wybiega od okna, gdzie klęczał wyczekując, wyciąga rączki, chce coś wołać i nagle strumień krwi z usteczek mu wytryska i dziecko pada na ziemię martwe. Pękło mu z radości biedne małe serduszko kochające. A rodzice nieszczęśliwi, — pani Emilja mało nie oszalała z żalu okropnego.

Takie u nas w Polsce rzeczy dzieją się z dziećmi...

---

[1]) Po powrocie z wygnania pp. Trachtenbergowie zamieszkali na Krymie w Synferopolu, gdzie p. Emilja, już jako wdowa (z córką i wnukami), gościła u siebie dawną Maryjkę, przyjaciółkę Bogusia, teraz posiwiałą a zawsze kochającą dzieci, dla których pisze rozmaite powieści i opowiadania.

Jak to kiedyś nasza mała Wandziunia Roszkowska czteroletnia mdlała, żegnając się z Matką na Sybir jadącą, a dziś ona znów na wygnaniu hoduje córeczkę maleńką.

Czerwiec 1864 r. w Żytomierzu.

Sprawa Stacha przeciąga się i coraz nowe przechodzi fazy, tak, że Mateczka postanowiła wyjechać do Krzemieńca (ku mej wielkiej radości) na czas jakiś, a po drodze tu się zatrzymała. Odprowadzała nas C. Antolcia R. z Julcią, a jechaliśmy pocztowemi końmi, swoim powozem krytym (ale już nie tym poczciwym koczem, który groził rozsypaniem się i został sprzedany za 25 rubli, lecz inną kocz-karetą, wcale ładną, nabytą w Kijowie „z okazji"). Wstąpiliśmy do Korystyszowa, gdzie mieszkają przyjaciele Rodziców pp. Ksawerostwo Pietraszkiewicze[1]). To bardzo zacni ludzie i patrjoci tacy: on był zasłany na Kaukaz i dotąd w sobie kulę nosi, której nie zdołano wyjąć. Teraz jest pedagogiem, t. j. wychowawcą w zamożnych polskich rodzinach (bo w szkołach Polacy, zwłaszcza „przestępcy" uczyć nie mogą). Obecnie przez lato bawi u nich sympatyczna niezmiernie (i okazałej postawy) pna Seweryna Górska, siostra samej pani, także nauczycielka, miłująca kraj i młodzież polską. Mówi, że trzeba wychować na rycerza polskiego (bo przecież

---

[1]) Pp. Pietraszkiewiczowie wyjechali z czasem do Krakowa, gdzie p. Seweryna Górska otworzyła znany w całej Polsce Zakład wychowawczy, ożywiony najzacniejszym duchem obywatelskim i patrjotycznym, a dom ich stał się ogniskiem gromadzącem kresowców i wybitną młodzież kształcąca się w Krakowie (L. Rydel, Wyspiański, Maszkowski, St. Estreicher, K. Ehrenberg i t. d.). Sami wychowywali 4 synów i 5 córek.

Polska kiedyś odrodzić się musi, choć to powstanie upadnie) małego Adasia[1]), synka pp. Pietraszkiewiczów. A tymczasem szwagier jej żałuje, że mu zdrowie nie pozwala iść do tego naszego powstania. — Mnie się zdaje, że lepiej, żeby żył i wychowywał młodzież na zacnych Polaków, bo cóżby się stało, gdyby wszyscy zacni ludzie wyginęli. Gdyby np. Mickiewicz lub Krasiński byli polegli w powstaniu Listopadowem, któżby ich zastąpił? któżby świecił dla Narodu, jak te gwiazdy cudowne, co wskazują drogę na ziemi i ku niebu nas wznoszą? Czemby się stał Wallenrod, gdyby nie Halban?

Lipiec i sierpień 1864 r. w Żytomierzu.

W Żytomierzu jest nam nadzwyczaj przyjemnie. Ciocia R. odjechała wprawdzie z Julcią, ale tu w domu Wujostwa Rucińskich zawsze tak miło: grywam przy Cioci Lucysi (uczę się Nokturny F-moll Chopina), a z siostrą jej, p. Julją Puczkowską, artystką malarką (jest jej obraz tu w katedrze) rysuję trochę i to nawet portret jej córki Zosi[2]), mojej rówieśniczki. Robimy spacery, pływamy po Teterowie i byłoby nieraz wesoło, gdyby można zapomnieć o tem, co się widziało, i gdyby nie wiadomości o powstańcach naszych w Królestwie[3]). Teraz walczą

---

[1]) Adam Pietraszkiewicz służył w sztabie armji austrjackiej, ale w czasie wielkiej wojny, gdy miał przejść w stopniu generała do wojska polskiego, zginął w tragiczny sposób pod kołami pociągu.

[2]) Zofja z Puczkowskich Micińska została żoną Bolesława Micińskiego, bogatego obywatela na Pobereżu (granice Podola), a dom ich w Wasylówce, a później w Jałańcu (pod Berszadą) gromadził gości z dalekich stron każdego lata, dopóki nie został zniszczony i z ziemią zrównany przez bolszewików w r. 1918, a właściciele skazani na ruinę i tułaczkę.

[3]) vid. Przyp. lit. „

już tylko resztki bohaterskie, co się poddać nie chcą i właśnie przyszła straszna wiadomość o straceniu[2]) w Warszawie na szubienicy pięciu ostatnich członków Rządu Narodowego, gdzie był i Roman Żuliński przezacny. Jest tu kolega Wuja, Sybirak, p. Fortunat Grabowski, taki poczciwy i krotochwilny. Obaj z Wujem Justkiem nie dają nam desperować, każą trzymać „głowę do góry" mimo wszystko, bo kiedyś musi być lepiej!

Sierpień 1865 r. Lato w Krzemieńcu.

Po dłuższej przerwie w dzienniczku zapisać muszę bolesną wiadomość z Orenburga: Stasiunia nasza, ten kwiatek rozkwitły na wygnaniu i ślicznie się rozwijający, ta gwiazdka, co nam wszystkim świeciła zdaleka, — mała ulubieniczka nietylko wygnańców Orenburskich, ale nas wszystkich, co tęsknimy za jej rodzicami, rozwinięta nad wiek, tak, że jej dowcipki i figielki zapełniały listy stamtąd, a fotografje przesyłane co parę miesięcy były naszą uciechą, — moja najmilsza siostrzeniczka, Stasiunia Szumowska umarła... Skończyła 15 miesięcy; była niby zdrowa, tłuściutka, aż tu przyszły owe straszne upały orenburskie, od których dzieci jak muchy padają; wygnańcom nie pozwolono ruszyć się z miejsca, żeby chronić dzieciątko, i pieszczotka nasza umarła z dysenterji. — Żyje, Bogu dzięki, dziecko pp. Korzonów, które Wandzia nasza karmiła mlekiem własnem, gdy było maleńkie i prawie z głodu ginęło; oby się nadal chowało! ale Stasiuni naszej już niema[2]).

---

[1]) vid. Przyp. lit. w.

[2]) vid. Przyp. lit. ss.

Wrzesień 1865 r. w Kijowie.

Dłużej bawiliśmy w Krzemieńcu, niż było zamierzone, ale nic ważnego nie mam do zapisania. Smutno tam, bo większość obywateli w okolicy aresztowano; nawet tacy, co się w sprawy ojczyste nie mięszali, dostali się w szpony żandarmów i sędziów moskiewskich, jeśli się opłacić nie mogli lub nie chcieli (do tych ostatnich należy p. Daniel Mężyński, bogacz, właściciel Brykowa). Innych aresztują za to, że ich krewni, choćby dalecy, należą do powstania (Milowicze z Dymitrówki, Mudryńca i t. d., Knollowie, Żukowscy i t. d.). P. Antoni Roguski naturalnie był schwycony, ale się zdołał wywinąć i wrócił do ślicznego[1]) Nowego Stawu, bo chłopi za nim świadczyli, a mnóstwa broni, zatopionej w stawie, nie znaleziono dotąd i nikt nic zdradził. Mania i Lolo zdrowi, uczą się w domu od swojej mądrej Mamy, która i łacinę zna.

Teraz powróciliśmy do Kijowa, skąd jeszcze wysyłają partje na Sybir, ale sprawa Stacha dotąd nie rozstrzygnięta i niewiadomo, czy się przed zimą zakończy.

Październik 1865 r.

Byłyśmy obie z Julcią R. w owej zakratowanej podwójnie rozmównicy na pożegnanie u Stacha, ale nie on wyjeżdża (już trzeci rok siedzi w fortecy!),

---

[1]) Uniknęli pogromu pp. Roguscy: córka ich Marja poślubiła prof. Radlińskiego, syn jedyny, Karol, prawnik w Łucku, doczekał dwóch zacnych, pełnych zapału i patrjotyzmu synów, których w kwiecie wieku stracił. Wrócił z żoną (Jadwigą Głuchowską) do N. Stawu, by tam (w Krzemienieckim powiecie) szerzyć oświatę polską i w r. 1918 zostali oboje zamęczeni i zamordowani przez lud zbolszenizowany, zginęli, jak i wiele innych rodzin obywatelskich na Wołyniu.

tylko my obie i to na Ukrainę do Wuja Adolfa R., osamotnionego od tak dawna. Matki nasze zostają jeszcze w Kijowie do rozstrzygnięcia sprawy Stasia, który tak się zmienił przez te lata (chociaż jeszcze dwudziestu niema); spoważniał jeszcze, wyszczuplał, wyrósł i patrzył na nas smutnemi oczami, chociaż się uśmiechał i podżartowywał. W więzieniu dużo czytał i myślał: filozofował, jak mówi, śmiejąc się. Kiedyż go zobaczymy?

Także pierwszy raz w życiu rozstaję się z Mateczką i nie mogę sobie wyobrazić, jak to będzie? Trzeba być mężną: mam już lat piętnaście i przestaję być dzieckiem, a nawet mam przyrzeczoną „długą suknię" wkrótce. To tylko bieda, że zawsze jestem drobna i dziecinnie wyglądam, chociaż tyle smutnych uczuć przez serce, a tyle poważnych myśli przez głowę mi przeszło. I wspomnień już mam bolesnych pełno, ale trzeba je odsuwać i patrzeć w przyszłość, uczyć się dużo, hartować moralnie i fizycznie, żeby kiedyś stać się prawdziwie użyteczną, służyć Ojczyźnie, jak Mateczka i C. Roszkowska. Ach, biedna teraz ta nasza droga, najdroższa Ojczyzna!

Listopad 1865 r. w Podwysokiem.

Jesteśmy już na dobre osiedlone w Podwysokiem na Ukrainie Południowej, w oficynie „pałacu" hr. Stanisława Potockiego. Ale ten „pałac" to jest właściwie chata słomą kryta, a tak szumnie nazwana, ponieważ jest siedzibą magnata polskiego. Jakże smutno przedstawia się ten dziedzic jednego z najznakomitszych rodów (chociaż jeśli był „sans peur", jak słynny Bayard, to nie „sans reproche", niestety, ów ród magnacki!), a syn bohatera z napoleońskich wojen, poległego w 1809 r., Włodzimierza Potockie-

go, którego pomnik mamy na Wawelu. — Hr. Stanisław, o długiej siwej brodzie, żyje jak pustelnik, bo jest mizantropem, a raczej, jak to się podobno nazywa, „misogynem", t. j. niecierpi kobiet i nawet (a może i głównie) z własną matką się nie widuje. Stara hrabina szczupła, niska, o żółtej, jakby woskowej twarzy, ujętej w czarny z rinszką czepek, o długim nosie, głucha mocno, — przyjeżdża dość często i zatrzymuje się w naszej oficynce, a nagadawszy się z Wujem o rachunkach, przyczem Wuj, milczący z natury, głównie mimiką z nią się porozumiewa; zachodzi do naszego niby saloniku. Wypadło mi ją tam zabawiać i tak zagustowała w mojem towarzystwie, że oświadczyła Wujowi, także ze stosowną gestykulacją (t. j. uderzając palcem w czoło), że ta „Waćpana, malutka siostrzenica, jest zupełnie mądra", i odtąd zaszczyca mię rozmową o polityce i t. p., z czego się Julcia potrosze naigrawa.

My obie poważnie czas spędzamy, a Julcia widząc, jak ja bardzo tęsknię za Mateczką, matkuje mi naprawdę. Grywamy na 4 ręce, bo Wuj sprowadził dobre pianino, czytujemy dużo, a ja się ćwiczę w angielskim (którego zaledwie 33 lekcje wzięłam od p. Millera), wychodzimy na przechadzkę, byle zdala od okien Hrabiego, albo jeździmy saneczkami, bo już śnieg upadł, a wieczorami Wuj nam głośno czytuje Macaulaya „Szkice Historyczne" (w przekładzie francuskim) lub „Harmonies économiques" Bastiat'a, dzieło z ekonomji politycznej, bardzo mię interesujące. Jeździmy też czasami o parę mil do Hołowaniewskiego, gdzie mieszkają Wujostwo Wilowie Pfaffiusowie z maleńkim synkiem Stasiem, którym się cieszę, bo dzieci lubię niezmiernie; zresztą on się Staś nazywa. — A naszego prawdziwego

Stacha dotąd nie osądzono i Matki nasze muszą siedzieć w Kijowie.

Grudzień 1865 r.

Chorowałam dość ciężko, ale teraz zdrowszą jestem i lada dzień spodziewamy się Pań naszych. Stach skazany na 15 lat posielenia (osiedlenia) w Syberji, co się uważa za bardzo łaskawe, bo różne „zbrodnie“ mu zarzucają.

Luty 1866 r. w Podwysokiem.

Matki nasze przyjechały na Święta Bożego Narodzenia, pożegnawszy wygnańca naszego ukochanego po długiej niewoli (trzy lata bez czterech miesięcy) w Kijowie. Wysłano go do Krasnojorska, ale nie pieszo, więc prędzej tam się dostanie. My tu spędzamy resztę zimy, a potem wrócimy do Krzemieńca[1]). Muszka ma nauczyciela; ja zaś cierpię tak na oczy, że czytać prawie nie mogę, ani też pisać dzienniczka. Może coś dodam później.

Tutaj dużo się czytuje głośno, a tryb życia prowadzimy „arystokratyczny“. Śniadanie jada się o 12-tej, obiad o 6-tej, a kuchnia jest wytworna; jedyna rzecz, o którą dba zdziwaczały hr. Potocki, a całe otoczenie ma z tego korzystać.

Tęskno mi za tem życiem bolesnem i ciężkiem z czasów kijowskich, ale też pełnem wzniosłych wrażeń i działalności patrjotycznej.

---

[1]) Zygmunt Kozieradzki (Muszka) ukończywszy politechnikę w Zurychu, budował kolej Nadwiślańską; potem otworzył dom komisowy w Mohyłowie Podolskim, gdzie umarł (z wypadku) w 33-cim roku życia (1886 r.).

Czy kiedy w przyszłości doczekam czegoś podobnego? Czy my młodzi dożyjemy innych, lepszych dla Ojczyzny czasów? [1])

---

[1]) Autorka „Dzienniczka" dożyła strasznych czasów wielkiej Wojny 1914—18 r., pogromów i ruiny rodaków, krewnych, przyjaciół i własnej, ale też doczekała wskrzeszenia ukochanej Ojczyzny, której służyła, jak mogła, wraz z jedyną swą córką (Aliną Ś., literatką).

Przypiski dłuższe.

Przyp. lit. Kr.: **O Krzemieńcu.**

„Mała patrjotka" dożyła wielkiej pociechy, gdyż będąc już 70-letnią (i zrujnowaną zupełnie przez wojnę) widziała Krzemieniec w rękach polskich, wskrzeszony mimo wiekowego ucisku, prześladowań, tępienia i wywożenia Polaków. Mury ukochanego Liceum Czackiego, skąd teraz wypędzono popów i popowiczów, miały być przywrócone do dawnej świetności i służyć do pomieszczenia wzorowej szkoły polskiej, bo duch polski nie wygasł w tej kolebce Juljusza Słowackiego, opromienionej urokiem wspomnień pięknej przeszłości i nadziei na przyszłość.

Przyp. lit. x.: **Wojna Krymska** i t. d.

Rosja rozpoczęła wojnę z Turcją 1853 r. Na czele stał Paskiewicz (sławiony po wyprawie Węgierskiej z 1848 roku) i Gorczakow. Po stronie Turcji stanęły (w styczniu 1854 r.) Anglja i Francja z Napoleonem III i odniosły pod Almą zwycięstwo, otwierające drogę do Sewastopola (na Krymie). — Powstaje ruch w emigracji polskiej: Ks. Adam Czartoryski już oddawna działał na Wschodzie, a w Konstantynopolu z jego ramienia Michał Czaykowski starał się o przyjaźń z Turcją i wpływ na Południowych Słowian. Zdolny, pełen kozackiej fantazji, umiał Czaykowski pozyskać względy Turków i zjednać sobie Kozaków Zaporożców i Nekrasowców, a gdy Rosja zażądała jego wydania, przyjął islamizm i jako Sadyk-effendi wystąpił w czasie wojny Krymskiej z projektem utworzenia Kozaków sułtańskich (pisze Rawita Gawroński), a rząd polecił mu organizację pułku kawalerji z Polaków i Słowian. Wielu oficerów polskich (Bystrzonowski, Wysocki, Breański, Jagmin, Jordanowie i t. d.) wstępują do wojska tureckiego w tym celu, a Sadyk dzielnie walczy w podjazdowej wojnie nad Dunajem. Tymczasem jednak występuje pułkownik

Wład. Zamoyski i, popierany przez Anglików, tworzy legjony polskie, niezależnie od Sadyka-Czaykowskiego (gromadzącego obóz pod Burgas); wreszcie 16-go listopada 1855 r. rząd W. Brytanji mianuje Zamoyskiego generałem dywizji Kozaków sułtańskich.

W tym właśnie czasie przybył do Konstantynopola Mickiewicz, pragnąc i tu (jak przedtem we Włoszech i t. d.) działać dla dobra Ojczyzny; usiłował też pogodzić oba obozy, ale napróżno.

Korpus Zamoyskiego, około 2 tysiące, miał się wyprawić do Georgji, wesprzeć Szamila, wodza Czerkiesów, walczących o swą niepodległość przeciw Rosji. Wszystko zapóźno: Mikołaj I, złamany niepowodzeniem, umiera prawie nagle (otruty?) w Petersburgu 2 marca 1855 r., a syn jego Aleksander II zakańcza pełną klęsk dla Rosji wojnę w 1856 r. (trzy łata trwała) pokojem Paryskim. W listopadzie 1855 r. umiera (26/XI) z cholery w sile wieku Mickiewicz.

I tak: „Na dwóch przeciwległych krańcach Europy schodzili ze świata niemal jednocześnie dwaj wielcy mocarze. — W nadnewskiej stolicy konał w mękach obrażonej dumy śmiertelny wróg Polski, otoczony krwawemi widmami pomordowanych ofiar. Nad brzegami Bosforu zstępował do grobu wielki, potężny władca dusz i serc polskich, opromieniony aureolą niewygasającej nigdy miłości Ojczyzny. Życie ich było pasmem walk i trudów, poczętych u pierwszego z dumy i pychy, a drugiego z czystej miłości i silnej wiary. To też, gdy z śmiercią Mikołaja twierdza despotyzmu zachwiała się w swych posadach, dzieła Mickiewicza nie przestały być drogowskazem dla myśli i ducha polskiego. „Rosja mikołajewska zginęła niepowrotnie, Polska Mickiewicza żyje w serc miljonach"... — pisze August Sokołowski.

Ale dla Polski nic nie zrobiła dyplomacja europejska po zwycięskiej wojnie Krymskiej. Jeszcze w 1852 r., gdy Napoleon III namawiał Austrję do wojny z Rosją, pisze Metternich były minister, radząc, by pokonawszy Rosję, przywrócić Polskę w granicach 1772 r., co i dla Austrji pożądane. Franciszek Józef zgodził się, ale Anglja postawiła swoje veto, chcąc mieć z Polski „beczkę prochu", gotową do wybuchu przeciw Rosji. Za to w r. 1854 (27 lutego) min. ang. lord

Clarendon oświadczył w parlamencie, że: „należy raz skupić wszystkie siły Europy i bez żadnych skrytych zamiarów, ani osobistych interesów zamknąć państwo rosyjskie w granicach, wykreślonych przez naturę i historję". A równocześnie układał poseł pruski w Londynie Bunsen (przyjaciel króla Fryderyka Wilhelma IV) memorjał, w którym dowodził, że Prusy powinny się połączyć z mocarstwami Zachodniemi przeciw Rosji. Przytem proponował dać królowi saskiemu koronę polską, której Austrja miała oddać Galicją, a Prusy część Poznańskiego. — Sprzeciwił się temu Bismark, twierdząc, że niepodległa Polska stałaby się aljantką Austrji, a zawsze groźną i nieprzejednaną nieprzyjaciółką Prus, ze względu na ujście Wisły i „pretensje" (!) swoje do Śląska.

W jesieni 1855 r. minister francuski (Drouin de Lhuys) przedłożył znów Clarendonowi projekt odbudowania Królestwa Polskiego, ale otrzymał odmowną odpowiedź. — Nic zatem dziwnego, że kiedy podczas Kongresu Paryskiego (1856 r.) Clarendon zaproponował odbudowanie Polski, Napoleon III przyjął to chłodno, bo nie dowierzał Anglji, chcącej tym razem przeszkodzić porozumieniu Francji z Rosją. — Niemiała więc Polska nikogo, coby się za nią ujął. Zadowolono się poufnem oświadczeniem Orłowa, posła rosyjskiego, że cesarz Aleksander Nikołajewicz „zarówno troszczy się o szczęście Polaków, jak i innych swoich poddanych"... A tymczasem ów Aleksander II po śmierci Paskiewicza powierzył rządy namiestnicze na czas krótki gen. Krasińskiemu, a potem ks. Gorczakowowi (obrońcy Sebastopola), zniedołężniałemu (potomek zubożałej rodziny arystokratycznej, sfrancuziały, głuchy, krótkowidz), za którego właściwie rządził Paweł Muchanow, znany z nienawiści swej do Polski i Polaków.

A jednak społeczeństwo polskie ufało w dobre zamiary cara (zwłaszcza gdy ambasador rosyjski w Berlinie rozwodził się nad przychylnością Aleksandra II dla Polaków i zamierzonemi reformami, — nieszczerze, ma się rozumieć). — Tylko emigracja nasza z ks. Czartoryskim i Wł. Zamoyskim odnosiła się z niedowierzaniem do rządu rosyjskiego.

Kiedy w maju 1856 Aleksander II miał przyjechać do Warszawy, szlachta zapragnęła skorzystać z tak ważnej chwili i marszałek lubelski J. Jezierski napisał memorjał, zaś

A. Wielopolski ułożył adres do cara. Wiadomo, że Aleksander II nie przyjął tego i odezwał się: „Point de reveries!"... Podobno wpłynął na to gabinet wiedeński, nie chcący porozumienia Polski z Rosją); ale nam trudno połapać się w tym szeregu intryg i obłudnych knowań, obcych naturze polskiej.

Przyp. lit. a.:

Aleksander Jabłonowski, niepospolity uczony i wielki patrjota, historyk Ziem Ruskich, urodził się 1829 r. w Ziemi Czerskiej (gub. Warszawskiej), kształcił się w uniwersytetach Dorpackim i Kijowskim (do r. 1852). Później, jako nauczyciel domowy na Ukrainie, przygotowywał się do dziejopisarstwa, a w r. 1859—61 odbył długą podróż zagranicę: był w Berlinie, Paryżu, Londynie, Brukseli, a najdłużej wśród Słowian Południowych, których polubił. — Od r. 1861 w Kijowie bierze czynny udział w sprawach patrjotycznych i dostaje się na wygnanie do Penzy. W r. 1870 odbywa znów podróż do Turcji, Azji i Afryki, a w r. 1875, zamieszkawszy w Warszawie, podejmuje wraz z Pawińskim wiekopomne wydawnictwa źródeł dziejowych i pisze (do „Aten", „Bibl. Warsz.", „Słown. geogr." i t. d.) artykuły przeważnie z dziejów Ukrainy. Pomimo wybitnego patrjotyzmu polskiego, poważany wielce przez uczonych rosyjskich, zostaje obrany członkiem Towarzystwa Historycznego im. Nestora w Kijowie (1892 r.) i bierze udział w zjazdach historycznych. — Od r. 1894 jest członkiem Akademji Umiejętności w Krakowie, a w r. 1910 zakłada w Warszawie Towarzystwo Naukowe, którego prezesem był do śmierci (1913). — Pomnikową jego pracą był ogromny „Atlas Ziem Ruskich", za który otrzymał nagrodę Akad. Umiejętn. w Krakowie i przyjęcie do Tow. Nauk. w Londynie, gdzie uczestniczył w zjeździe historyków z całego świata.

(Przypominam sobie, jak rozłożywszy ogromne arkusze atlasu na posadzce dużej sali, której połowę zajmowały, wskazywał mi laseczką posiadłości przodków moich Bohowitynów, znaczone zdaje mi się barwą liljową, w odróżnieniu od szarej, oznaczającej mniejsze dobra rodów ówczesnych).

W ostatnich latach życia, po złamaniu nogi w biodrze,

opierając się na grubej lasce, starzec wyniosłej postaci, zawsze lubownik natury, której też był znawcą niepospolitym, zwłaszcza botaniki i astronomji, jeździł na limany do Odesy, spędziwszy wpierw kilka tygodni na Ukrainie w domu pp. Bądarzewskich pod Berdyczowem lub częściej jeszcze w Szapijówce[1]) u hr. Stanisława Tyszkiewicza. — Przysłuchiwaliśmy się z największem zajęciem jego ciekawym opowiadaniom z podróży odbytych i wypadków krajowych, rozprawom z historji i polityki, objaśnieniom o teatrze wojny tureckiej, która się wówczas toczyła. Czytywaliśmy razem gazety, któremi się niezmiernie interesował. Wciągu tych letnich „wczasów" nie ustawał w pracy, np. dostarczał posłom naszym w Dumie Petersburskiej memorjałów historycznych do spraw bieżących, np. posłowi Dymszy co do Chełmszczyzny. Był to umysł głęboki, bystry a niestrudzony, serce wierne w przyjaźni a gorące w miłości Ojczyzny. Tak o Al. Jabłonowskim piszą w Tyg. Ilustr. (Nr. 35, 1913 r.) w nekrologu Al. Jabłonowski:

„Jeden wyraz, którego nam wolno użyć, to podziw dla tego umysłu niestrudzonego, dla tej woli wytężonej zawsze w dążeniu do celu, dla tej dłoni ośmdziesiątkilkoletniego starca, którą potrafił do ostatniej chwili trzymać pióro, dla tej energji, podtrzymującej w nim niegasnący płomień ducha... Jego oryginalna mądra głowa (portret Lenza), jego niepospolita postać, nienaruszony spokój i powaga wywierały zawsze i wszędzie wrażenie niepowszednie. Znać było, że to dygnitarz, mąż nauki, który w innych warunkach zasiadałby w senacie. — Niestety, nauka polska nie mogła mu dać takiego krzesła; nie poskąpiła mu jednak najwyższych swoich odznaczeń... Jego „Atlas Ziem ruskich Rzeczypospolitej", to praca olbrzymia, o której trudno pomyśleć, iż dokonał jej jeden człowiek, nie mający nawet takiego warsztatu naukowego, jakim jest katedra uniwersytecka...

Po śmierci jego (we wrześniu na Limanie Odeskim w zakładzie Dra Jachimowicza 1913 r.), niech serca polskie, gdziekolwiek są, zapłaczą nad stratą tego niepospolitego męża, który zaiste był Mohortem kultury polskiej na Rusi i nie wie-

[1]) vid. Przyp. Szapijówka lit. pp.

dział, nie chciał wiedzieć, co to jest rezygnacja". Cześć jego pamięci wśród tegoczesnych i przyszłych pokoleń. Ś.

Przyp. lit. pp. (do art. „Al. Jabłonowski):

Szapijówka hr. Tyszkiewicza. — Szapijówka w Kijowszczyźnie, blisko Skwiry, urocza rezydencja letnia rodziny hr. Stanisława Tyszkiewicza, otoczona parkiem starych dębów ze stawami, trawnikami, kwietnikiem i klombami dywanowemi, przyjmowała w swych gościnnych ścianach przybyszów zdaleka, racząc ich uroczym krajobrazem, wytwornemi przysmakami, a co więcej śliczną muzyką. Wspaniałe fortepiany, harmonjum, a z czasem i postępowa pianola ułatwiały rozkoszowanie się utworami dawnej i najnowszej muzyki. Pan domu, córki, a zwłaszcza syn jedyny, utalentowany kompozytor (Janusz T.), ze współudziałem niektórych gości, urządzali prawdziwe koncerta. — W sąsiedniej (o 3 km.) Tokarówce Świeykowskich, cudnym ogrodem i parkiem nad wodą otoczonej, także przebywali goście letni z „Europy", często artyści lub inne znakomitości (znakomitością był także wychowaniec Uniw. Krakowskiego, zmarły przedwcześnie znawca i miłośnik sztuki, dziedzic tokarowiecki, Emanuel Świeykowski). Komunikowano się codzień prawie między Szapijówką a Tokarówką, łącząc nowożytne sposoby ze średniowiecznym niby przepychem, więc: pyszne zaprzęgi, służba w kozackiej o barwach herbowych liberji, wieczorem smolne kagańce, przez konnego pachołka dzierżone, a później: automobile o szalonym rozpędzie, świecące jasnemi acetylenowemi latarniami i mknące pod staremi dębami parku — istne czary... Dziś pustka, zniszczenie. Kataklizm wielkiej wojny 1914—18 zmiótł wszystko. Młody dziedzic Szapijówki, oraz Białopola i przyległości, ostatni (13-ty) z linji na Berdyczowie i Łohojsku, pełen cnót i talentów, umarł 1920 r. w Warszawie, gdzie zarabiał na życie jako inżynier (ukończywszy politechnikę kijowską z odznaczeniem pod bombami bolszewików), a w parę miesięcy po nim zmarł ojciec, hr. Stanisław Tyszkiewicz. — Przedtem spustoszono i zrabowano doszczętnie siedziby ich i ziemie, jak wszystkie pomniki i placówki kultury polskiej, życia polskiego na Wschodnich Kresach, jak Tokarówkę, pełną wytwornych sprzętów, obrazów, tkanin i t. p., — Czerepa-

szyńce Zdziechowskich z pałacem słynącym zbiorami, jakby muzealnemi, — Buków Abramowiczów, — siedziby Czeczelów, Lipkowskich, Rakowskich, Podhorskich, Różyn Złotnickiego, Babin Jaroszyńskich, a dalej nad Dniestrem Jałaniec Michałowskich (po Giżyckich) — i tyle, tyle innych pałaców i dworów polskich na Rusi, depczącej teraz i we krwi topiącej pracę wieków, zabytki cywilizacji polskiej, kultury Zachodu.. Ach jaki żal, jaki żal..." Ś.

Przyp. lit. c.: **Towarzystwo Rolnicze.**

W kołach szlacheckich w Królestwie powstało za czasów mikołajowskich jeszcze stronnictwo, stworzone przez Andrzeja Zamoyskiego, które za cel miało pracę organiczną nad podniesieniem kraju w granicach legalnych. Zamoyski nie zasklepiając się w ciasnem kółku domowych obowiązków, rzucił się na pole ekonomiczne, w spółce z Francuzem Guibert zaprowadził żeglugę parową na Wiśle, założył fabrykę narzędzi rolniczych i t. p., a zbierając szlachtę u siebie w Klemensowie co rok w lipcu, obwoził ją po swojem wzorowem gospodarstwie, a wieczorami przy stole wszczynał rozmowy o agronomji, o obowiązkach społecznych, o kwestji włościańskiej i t. p., — słowem, otwierał szersze horyzonty umysłom zagrzęzłym w życiu powszedniem. Tym sposobem skupił „pan Andrzej" powoli około siebie liczne grono ziemian, zwanych Klemensowczykami, a tworzących potężne w kraju stronnictwo. — Teraz (1857 r.), kiedy się na zmiany w kraju zanosiło, uzyskał Zamoyski, dzięki życzliwości Gorczakowa, ukaz cesarski, zezwalający na założenie Towarzystwa rolniczego w Królestwie (dnia 24 listopada 1857 r.). W następnym już roku (1858) Towarzystwo Rolnicze liczy 2540 członków i rozporządza znacznemi funduszami, podnosi kulturę i oświatę w kraju; słowem, staje się potęgą.

W tymże roku 1858 rząd zezwala na wydanie zabronionych dotąd surowo dzieł Mickiewicza.

Przyp. lit. b.: **Zrabowane zabytki polskie.**

W r. 1921 po zawarciu pokoju z Rosją (bolszewicką), wysłano komisję do odbierania zabytków polskiej kultury, sztuki i cywilizacji, zrabowanych przez Moskali od czasu rozbiorów

Polski, powstań i w czasie wielkiej wojny (1914). Są tam skarby ogromne, oprócz 68 wagonów mebli, dywanów, zwierciadeł, obrazów i t. p. wywiezionych z Łazienek, Belwederu, Zamku, oraz 11.000 dzwonów ze świątyń katolickich. Są więc całe bibljoteki: Załuskich (300.000 tomów), Tow. Przyjaciół Nauk, Uniwersytecka, Nieświeska (Radziwiłłów), Puławska (Czartoryskich), Rzewuskich; Archiwum Wileńskie, Korpusu Kadetów, Heroldji Polskiej, Łowickie, Arch. prezydenta Zakrzewskiego, Orła Białego, Bibljoteka A. Zamoyskiego (z Klemensowa), Arch. i Bibl. Krzemieniecka i t. d.

Oprócz tego: rzeźby, bronzy, manuskrypty (np. Chopina, Moniuszki i t. p.), broń, sztandary, mnóstwo dokumentów, pamiątek rodowych i narodowych.

Część tych zabytków zdołali zebrać w kilku tysiącach pak i ukryć w Rosji w czasie wielkiej wojny wygnańcy polscy, np. Dybczyński i zmarły z głodu ksiądz Żyskar (wielki ratownik dzwonów polskich, wywiezionych w głąb Rosji).

Wywieziono w różnych czasach drogocenne zabytki z Polski do Szewcji, Saksonji, do Berlina, Wiednia i t. d. Gdyby to wszystko odzyskać!

Przyp. lit. d.: **Garibaldi — Mierosławski.**

Mierosławski Ludwik w Paryżu nawoływał w swoich przemowach i pismach ulotnych do powstania: „do rozgłośnego dzwonienia szablą", do „sygnałowych błyskawic szyszaka". Tym stylem, błyskotliwemi frazesami przemawiał do narodu „wódz", sam przez siebie mianowany.

Po zjawieniu się Garibaldiego, który stanął na czele ruchu wolnościowego we Włoszech, po zwycięstwach jego nad Burbonami (w Neapolu) i odrodzeniu się Włoch niepodległych pod berłem dynastji Sabaudzkiej, woła Mierosławski: „Jeżeli ten Włoch, jakieś Serby, jakieś Multany, jakichś Greków osypki, jakicheś Czarnogórców banda krzykiem, frazesami, pieniactwem, zębami wdzierają się co dnia zuchwalej na ów przeznaczenia rydwan", to cóż dopiero mówić o dwudziestomiljonowym narodzie polskim? Tak wołał z nad brzegów Sekwany „wódz zmartwychwstały".

Przyp. lit. e.:

Gorczakow zaraz wysłał telegram i wieczorem otrzymał od cara odpowiedź: „Adresu nie należało przyjmować; teraz

nie czas na ustępstwa i ja nie dopuszczę żadnych". Tak zapatrywano się na sprawę polską w Petersburgu; Gorczakow zaś, świadomy stosunków miejscowych, myślał inaczej. — Wkrótce (za radą Enocha, przechrzty ale Polaka) wysłał do Petersburga Jana Karnickiego, aby objaśnił cesarza o stosunkach i zażądał koncesji. Zgodzono się na to, ale jednak wystosował car do Gorczakowa list (który kazał ogłosić w dziennikach), potępiający cały ruch narodowy, co wznieciło wielkie oburzenie, nawet między Białymi.

Przyp. lit. f.:

W. Ks. Konstanty Mikołajewicz miał lat 35; zdolnościami przewyższający braci, starannie wykształcony, znający świat z dalekich podróży po Azji i Europie, ukrywał pod powierzchownością chłodną wiele ambicji i dumy. Mianowany admirałem, zreorganizował i podniósł flotę rosyjską; był znawcą sztuki, umysł posiadał bystry, sporo dowcipu; nie miał też na dworze carskim sympatji. Ofiarowane sobie namiestnictwo w Polsce przyjął chętnie. Od Krzywickiego (dyrektora komisji oświecenia) uczył się po polsku i wogóle starał się Polakom przypodobać.

Przyp. lit. g.: **Unici** (z „Martyrologjum" wyd. 1921 r. przez ks. Pruszkowskiego).

Od r. 1863 do 1915 prześladowcami Unitów na pograniczu Królestwa, t. j. na Podlasiu, w Ziemi Chełmskiej i Hrubieszowskiem byli namiestnicy: ks. Czerkaski, hr. Berg, Kotzebue, gubernator siedlecki Gromeka, archirej warszawski Arsenjusz, który zniósł kler łaciński na Podlasiu. Biskup unicki Szymański w 1865 przeniesiony z Janowa do Łomży, a Konstanty Łubieński i Wincenty Popiel za pomoc niesioną Unitom wysłani na Sybir 1869 r. Biskup unicki Jan Kaliński w 1866 był wywieziony do Wiatki. — Ohydni przybysze z Galicji, jako narzędzia rządu moskiewskiego, t. j. Rusini: Krynicki, Djaczan, Ławrowski, Marceli Popiel, prześladują lud unicki. W djecezji Chełmskiej grasuje ks. Kuziemski, Rusin. W 1873 r. sroży się prześladowanie ludu nieszczęsnego, oddanego na pastwę mąk, bitego na śmierć rózgami, ginącego po więzieniach, na wygnaniu, dokąd ich wywożono, rozłączając ro-

dziny, porywając rodziców od dzieci i t. p. (Czytaj: „Z ziemi Chełmskiej“ Reymonta, patrz obraz Pruszkowskiego „Unitka“ w Muzeum Narod. i t. d.). - - Rektor chełmski Wojcicki, niegodziwy odstępca. Jezuici tajemnie, w przebraniu, przekradają się z Galicji i niosą pomoc męczennikom unickim; nabożeństwa, chrzty, śluby, odbywają się po lasach nocą.

Za księcia Albedyńskiego, gen. gubern. Warszawy, trwa dalej prześladowanie, mimo protestów z Rzymu. — Dopiero 30-go kwietnia 1905 wydano akt tolerancyjny za Mikołaja II, ale to nie przeszkadza, że później i nawet w czasie wielkiej wojny prześladują unitów i usiłują ziemie te oderwać od Polski. — Rolę wroga dla narodu, którego stał się odstępcą, pełni metrop. Szeptycki, chyłący się ku Rosji i prawosławiu.

Przyp. lit. or.:

Ludomir Benedyktowicz, pomimo utraty obu rąk w powstaniu (odciął je 17-letniemu chłopcu Kozak, gdy ranny leżał na pobojowisku pod Feliksowem), ukończył studja malarskie w Akad. Monachijskiej i ożeniwszy się, osiadł w Krakowie, gdzie walcząc z niedostatkiem, utrzymując ślepą matkę i liczną rodzinę, nie tracił nigdy fantazji ani humoru, — pracował dla sztuki. Oprócz znanych obrazów, tchnących weselem i zamiłowaniem przyrody ojczystej, oraz prześlicznych rysunków piórkiem (jakby akwaforty), tworzył wiersze, improwizował, przemawiał publicznie, kochał kraj i ludzi. Ciężkiemi dotknięty ciosami, nie stracił odwagi ani wiary w swe ideały i... weteran z 1863 r. doczekał się wskrzeszenia Ojczyzny. M. S.

Przyp. lit. k.: **„Złota Hramota“.**

Dążenia młodzieży polskiej, ześrodkowanej w Uniwersytecie Kijowskim, co do uwłaszczenia chłopów, sformułowane są w „Złotej Hramocie“, napisanej po rusińsku (t. j. po małorusku czyli ukraińsku) i odczytywanej w Sołowijówce i t. d.

„Powstawszy wraz z Polską i Litwą przeciw panowaniu moskiewskiemu, aby zyskać wieczną wolność i szczęsną dolę dla całej naszej Ojczyzny, oświadczamy przed Bogiem, całym światem i narodem, że innego szczęścia nie pragniemy dla drogiej naszej Ojczyzny i nie szukamy go w niczem więcej, jak tylko w wolności, swobodzie, równości i szczęściu wszy-

stkich mieszkańców, jakiejkolwiek są wiary i stanu. A pragnąc najwięcej szczęścia dla ludu wiejskiego, postanawiamy na wieczne czasy":

Tu następują poszczególne punkta, z których główniejsze:

1) Lud wiejski w siołach i futerach pańskich i rządowych i t. d. są od tego dnia („siohodnia") wolni, swobodni i równi co do praw innym obywatelom Ojczyzny...

3) Mogą i mają prawo uczyć się we wszystkich szkołach i być w krajowej służbie zarówno z innymi obywatelami Ojczyzny.

4) Wraz z innymi mają prawo wybierać z pomiędzy siebie deputowanych do sądów, rad i urzędów wiejskich, ziemskich, publicznych i t. d.

6) Podatki narodowe, ziemiańskie powinności i ludzi do wojska narodowego będą dawać tylko za postanowieniem sejmu państwa, złożonego z posłów całej Ojczyzny.

7) Ziemie orne, sadyby pańskie lub skarbowe i t. d. będą od niniejszego dnia po wieczne czasy własnością każdego gospodarza bez żadnej za nie zapłaty. Dziedzicom za te ich ziemie zapłaci skarb narodowy.

10) Wiejskim księżom prawosławnym (popom) oprócz ziemi cerkiewnej naznaczamy płacę w pieniądzach, aby nie potrzebowali od ludu zapłaty za duchowne posługi.

11) Oprócz tego, co się wyżej powiedziało, każdemu, kto chwyci z nami za oręż przeciw panowaniu moskiewskiemu i albo zdrów wyjdzie, albo rannym zostanie, udzieli się najmniej sześć morgów ziemi, albo dożywotnią płacę i t. d.

12) Nadając wiejskiemu ludowi wyż wykazane prawa wolności i obywatelskiej równości, wszystkich wobec każdego poręczamy i na wieki obiecujemy swobodę praw i wiary, jakiej się kto trzyma i używanie swego języka w szkołach, sądach i innych ziemskich urzędach.

„Co wszystko wyżej wypisane, ogłaszając wiejskiemu ludowi Podola, Wołynia i Ukrainy, zachowanie i obronę praw, tą hramotą nadanych, zaprzysięgamy wobec narodu, całego świata i Boga wszechmogącego, Bożej opiece poruczając dolę

ludu, któremu wiecznego życzymy dobra, — dajemy tę oto hramotę do wołostnego urzędu na każdą włość".

TYMCZASOWY RZĄD NARODOWY.

(Pieczęć wyobraża pod jedną koroną: Orła. Pogoń i Archanioła.

Przyp. lit. l.: **Sołowjówka.**

Tak pisze jeden z uczestników powstania na Ukrainie (L. Syroczyński): „Odłączenie się dla ruskich celów dwóch kolegów Polaków nie zachwiało w nas pozostałych przy polsko-ruskim sztandarze chęci pracy dla ludu ruskiego, poświęcenia się dla niego, podniesienia dla jego korzyści i przyszłości chorągwi powstańczej, poniesienia dla niego (i niestety, z rąk jego, jak w Sołowjówce) nawet śmierci. Ale za ideą nierozerwalności dawnej Polski i za jej granice historyczne, które, wedle słów ówczesnej dyplomacji, miała zakreślić krew za nią przelana, poszliśmy w bój i na śmierć, i nikt nie okazał większej ofiarności dla sprawy ludu, jak nasze oddziały powstańcze, walczące w jego oczach z wojskiem rosyjskiem, nikt się nie dał tak dla nich i przez nich umęczyć, jak oddział naszej młodzieży pod Sołowjówką.

We Lwowie umieszczono tablicę pamiątkową w kościele św. Marji Magdaleny z napisem: **Pamięci tych, którzy niosąc swobodę ludowi ukraińskiemu, padli swych idealnych dążeń ofiarą** — 10 maja, 28 kwietnia 1863 r. — **w Sołowjówce.** Po bokach 20 nazwisk: Jurjewicz, Peretjatkowicz, Przedrzemirscy, Wasilewscy i t. d.

Przyp. lit. r.: **Działacze polscy z Kresów** (Wołyń, Podole, Ukraina).

Józef Popowski z bratem Juljanem należał do organizacji uniwersyteckich (ur. 1841 w Zalewańszczyźnie). Przygotowywał powstanie w Skwirskim powiecie (Samhorodek) 1863 r., ale już w marcu został aresztowany i długo więziony, zwłaszcza że wiedziano, iż w 1862 r. bawił w Paryżu (gdzie chciał wstąpić do szkoły wojskowej). Skazany na karę śmierci, został dzięki staraniom matki zesłany do ciężkich robót na Sybir. Tam i na posieleniu (w Sterlitamaku) przebywszy lat 10, przybył 1875 r. jako emigrant do Galicji, gdzie poświęcił się

niezmordowanej pracy dla kraju. Najprzód w wojsku i Akad. wojsk. służył i kształcił się, zawsze z nadzieją, że — jak mówił — na czele pułku na białym koniu wjedzie do oswobodzonej od Moskali Warszawy. Propagując wszędzie antagonizm Austrji z Rosją i konieczność zbrojnej z nią rozprawy, wszedł do parlamentu, gdzie zasiadał lat 22 (1885—1907), a wśród tego (1892 r.) 3 lata w sejmie galicyjskim. Choroba dopiero w 1910 r. położyła kres temu patrjotycznemu i nadzwyczaj pracowitemu życiu.

Zygmunt Luba Radzimiński, ur. 1843 w Szymkowcach na Wołyniu, syn chorążyca Zasławskiego, uczył się w domu (pod okiem troskliwej matki Julji i ojczyma Zyg. Małachowskiego) i odrazu wstąpił na uniwersytet (1859), a pod wpływem Michała Grabowskiego, Wacława Rulikowskiego i innych poświęcił się historji, a zwłaszcza heraldyce, do której zawsze okazywał upodobanie. W Kijowie brał czynny udział w życiu koleżeńskiem i organizacjach patrjotycznych, ale w 1862 r. wyjechał na wieś. Rok 1863 zastał go po ślubie z p. Anielą Czosnowską (17-letnią), którą z rodzicami wyprawił do Lwowa, ale sam na miejscu pozostał i dopiero po upadku powstania z nią się połączył. Później, bawiąc w Galicji w Krakowie, zawiązał stosunki z Kremerem, Majerem, Skoblem, Winc. Polem i wdrożył się do pracy literackiej, której nie zaniedbał za powrotem na wieś na Wołyń, gdzie spełniał także wszelkie obowiązki społeczne i obywatelskie, zasługując na największe uznanie. Biorąc udział w pracach naukowych Towarzystw historycznych rosyjskich (w Kijowie „Nestora", Moskiewsk. Archeolog., Petersb. histor.), pozyskał i tam szacunek, co np. okazuje list gub. woł. Wahla (1889 r.), wzywający go do wzięcia udziału w wyst. staroż. w Moskwie: ...„Pański udział w wystawie wykaże całą różnicę, istniejącą między właścicielami z dziada, pradziada na Wołyniu, nie żałującymi trudów ani kosztów dla zgromadzenia dawnych jego pamiątek, — a tymi napływowymi elementami, które tylko się troszczą o wyciągnięcie materjalnych korzyści z historycznej gleby jego".

Z. Radzimiński, powołany do rozmaitych instytucji i Towarzystw naukowych polskich (we Lwowie, Krakowie, Warszawie i t. d.), należał do różnych wydawnictw i pisał samo-

dzielnie wiele artykułów i monografji historycznych, heraldycznych i t. p. Słowem, jako nieposzlakowany obywatel kraju, patrjota i uczony wybitny, dożył Z. Radzimiński późnego wieku i doczekał wybuchu strasznej wojny 1914 r.

Z pośród ówczesnej młodzieży kijowskiej uniwersyteckiej (około 1860 r.) wyszło wielu wybitnych ludzi, którzy zasłynęli później w kraju i zagranicą, jak: Marjan Dubiecki, ur. 1838 r., (historyk, literat i prof. w Krakowie), — Józef Tretiak (ur. 1841 r.), znany historyk literatury i prof. Akad. Jagiell., — Włodzimierz Miłowicz, działacz w kraju, a po powstaniu w Paryżu publicysta, oddający niemałe przysługi sprawie polskiej; Leon Syroczyński, uczony, patrjota i prof. Politechniki we Lwowie, brat jego Tadeusz, stryj Antoni Syroczyński i wielu innych, nie mówiąc już o Aleksandrze Jabłonowskim (zm. 1912 r.). (Czytać L. Syroczyńskiego: „Z przed 50 lat", wyd. drugie).

Przyp. lit. m.: **Młodzież uniwersytecka w Kijowie.**

Już od r. 1856 życie umysłowe i patrjotyczne rozkwitło w uniwersytecie kijowskim, gdzie się gromadziła młodzież nietylko z Kresów Wschodnich czyli „Kraju Zabranego", jak to nazywano, ale z całej Polski zaboru moskiewskiego i Litwy z Białorusią (czytaj Leona Syroczyńskiego: „Z przed 50 lat", wyd. 2-gie 1914 Lwów). Wielu z tej młodzieży stało się ludźmi wybitnymi w nauce, literaturze i działalności społecznej, a wszyscy prawie brali udział w powstaniu 1863 r.; dwóch tylko (Antonowicz i T. Rylski) zdradziło sprawę narodową. Najpierw zawiązały się liczne kółka literackie dla kształcenia się wspólnego w duchu narodowym. Jedno z tych przeobraziło się w redakcję pisma pod tyt.: „Publicystyka". Między członkami (13-tym z rzędu) był Litwin, Winc. Odyniec, dzielnie władający piórem. Na każdem zebraniu (co piątek) odczytywano jakiś artykuł, bądź treści dziejowej, bądź poruszający jakąś kwestję zajmującą współczesną. Do takich należała naturalnie kwestja ludowa i rusińska. Cała młodzież polska gorąco się zajmowała tą sprawą, wpływając na starsze pokolenie. Różnica zdań zginęła wobec ogłoszonej przez rząd rosyjski ustawy z dnia 2 marca 1861 r., nadającej pewne swobody chłopom, ale młodzież pragnęła dalej idących reform

dla ludu i dała temu wyraz w czasie powstania („Złota Hramota“ — patrz przyp. lit. k.). — Wszystko to zostało zmarnowane odrazu, a w 50 lat później, w czasie wielkiej wojny i rewolucji bolszewickiej, cała, sztucznie rozszerzona i podżeganiem długoletniem przez Moskali i Prusaków zdemoralizowana „Ukraina“, zapomniawszy o tem, co dla niej czyniło społeczeństwo polskie, stała się siłą wrogą, narzędziem w ręku przewrotnych nieprzyjaciół naszych, bolesną raną, krwawiącą w dążącem do odrodzenia państwie. Nie mówimy już o Litwie, której część także wrogim uległa wpływom, sprowadzając szereg klęsk na Ojczyznę naszą. — A w czasach około 1863 r. młodzież z Litwy do Kijowa przybyła, odznaczała się gorącym patrjotyzmem i szlachetnemi dążnościami. Związek Trojnicki, jeden z ważniejszych, utworzony został w dobranem, ciasnem kółku młodzieży, uniwersyteckiej, pod wpływem Wład. Hensla i Henr. Stockiego, obu Litwinów, wzorujących się prawdopodobnie na towarzystwie, zawiązanem niegdyś (w 1848 r.) przez braci Dalewskich w Wilnie.

Co do oświaty ludu, to oprócz propagandy zakładania polskich, względnie ruskich szkół ludowych przy parafjach wiejskich, kilku studentów, rzucając własne studja uniwersyteckie, objęło stanowiska nauczycieli takich szkółek; dwie zaś założyli w samym Kijowie: jedną na skalę szkółek ludowych (głównie dla chłopaków, co jako służący przebywali w mieście z paniczami), drugą jako seminarjum nauczycielskie, z internatem dla kilkunastu chłopców, wszystko utrzymywane kosztem młodzieży. (Kierownikiem był od założenia 1861 r. Mik. Zagórski, ale w 1862 r. rząd moskiewski zamknął szkołę). — Uczyli tam Polacy i Rusini, a między uczniami był bratanek poety Tarasa Szewczenki. Takie było podówczas współżycie Polaków i Rusinów...

Przyp. lit. p.: **Ruch Rusiński. Szewczenko.**

Polityczne wypadki w Europie r. 1861 wywołały w Polsce i w całej Rosji szybsze tętno życia. Zaczęło się od wojny francusko-włoskiej i wyprawy Garibaldiego do Sycylji. Większy jeszcze wpływ miało nadanie konstytucji w Austrji i zebranie się pierwszego sejmu polskiego w Galicji; także pro-

paganda rewolucyjnych pism rosyjskich Hercena z Londynu („Kałakoł") i reformy przez rząd zapowiedziane.

Wszystko to ożywiało nadzieje Polaków i Rusinów. Kulisz i Kostomarow rozpoczęli starania o wydawnictwa rusińskie; Szewczenko zawiązał stosunki z przyjaciółmi z nad Dniepru, a młodzież ruska zaczęła swą odrębność od Rosjan w Kijowie i Charkowie manifestować przy zakładaniu ludowych szkół. Luźne stowarzyszenia polskie i ruskie pozostawały z sobą w przyjaznych stosunkach; sporu rusko-polskiego nie było wcale, bo wszyscy tchnęli ogólnym liberalizmem. Do „Hromady" należeli Rusini i Polacy (tylko Antonowicz począł wówczas ciążyć ku Rosji, uważany przez kolegów za odstępcę). Ruch narodowościowy objawia się wszędzie. Po jednej z manifestacji kościelnych (1861 r.) młodzież zbiła na schodach Matkowskiego prystawa, który zapisywał tych, co śpiewali hymn narodowy; potem udawszy się tłumnie do uniwersytetu, rozbiła „Carskoje sposibo", pod szkło oprawione pismo cara Mikołaja I, dziękujące kuratorowi Uniwersytetu, Moskalowi, (1851) za odpowiednie zachowanie się studentów.

Aresztowały wówczas władze kilkudziesięciu studentów, grożąc zamknięciem uniwersytetu, więc zebrali się wspólnie (po 5-ciu) Rosjanie, Rusini i Polacy na naradę, co robić. Skończyło się na niczem, bo manifestacje ustały (tak, jak i w Warszawie, gdzie zamknięto kościoły). — Ale tu już zaczynają się zatargi między naszą młodzieżą a Rusinami, ciążącymi ku Rosji. Zawsze jednak Polacy okazują cześć dla dodatnich momentów historji Rusi, np. w 1862 r. biorą udział w uroczystem nabożeństwie za duszę poety Tarasa Szewczenki, którego ciało przez Kijów przewożono. (A później, w r. 1890, Rusini galicyjscy odmówili udziału w pogrzebie zwłok Mickiewicza w Krakowie). Jakże olbrzymie a bolesne zmiany zaszły w następnem pięćdziesięcioleciu.

Przyp. lit. n.:

Antoni Jurjewicz, ur. 1840 r. w Syczówce (pow. Humań), przeszedłszy gimn. w Niemirowie (na Podolu) i Kijowie, wstąpił 1858 r. na Uniwersytet, gdzie brał czynny udział w organizacjach młodzieży polskiej. Jako reprezentant gminy ukraińskiej 1861—62 miał najliczniejsze stosunki z młodzieżą przygo-

towującą powstanie w gub. Kijowskiej, a wierząc w możność pociągnięcia ludu do walki o wolność i prawa, zaprojektował wysłanie takiego agitacyjno-propagatorskiego oddziału i sam go wyprowadził z Kijowa (28 kwietnia 1863). Dwudziestu pełnych zapału młodzieńców (pisze w lat 50 potem L. Syroczyński) wyruszyło z hasłem wiary i ofiary w dniu powstania, a raczej w ową noc niepogodną, tak okropnie chłodną, — nieść ludowi ukraińskiemu swobodę, — a po 48 godzinach byli już częścią zabici, częścią pokaleczeni i nawpół tylko żywi w lochach karczmy w Sołowjówce. Ciężko poranionego Jurjewicza z 7 towarzyszami przewieziono do Żytomierza, potem do Kijowa, skąd w 1864 r. potrafił uciec wraz z kolegą i to owym słynnym podkopem. W kilka tygodni po ucieczce mógł Jurjewicz wyjechać przez Odesę za granicę do Francji i Brukseli, gdzie wstąpił na uniwersytet, ale zdrowie mu nie dopisywało. W 1866 r. w Paryżu odnowiły mu się rany i wskutek operacji (żeber pogruchotanych) umarł w szpitalu w marcu 1868. Dopiero 1875 r. przeniesiono szczątki tego niezwykłej szlachetności młodzieńca, tak górującego poczuciem obowiązku, na cmentarz Perè Lachaise.

Przyp. lit. s.:

Jan Chranicki (przedtem zasłany w sołdaty na Kaukaz, gdzie długie lata przesłużył) w maju 1863 r. wyruszył do powstania z Żytomierza, jako pułkownik, wraz z adjutantem swoim, Mikołajem Zagórskim. Pod Miropolem na Wołyniu doznali małej porażki, potem pod Mińkowcami nie mogąc się oprzeć ogromnej przewadze Rosjan, chociaż z oddziałkiem ich połączył się Ciechoński. Zmuszeni ukrywać się w rozsypce przed wojskiem i policją, a czasem i przed włościanami, doznawali znów pomocy od innych włościan, od uboższej szlachty polskiej i obywateli; i przekroczyli granicę austrjacką, aby w Galicji oczekiwać sposobności do wkroczenia w obręb Wołynia lub Podola wraz z formującemi się oddziałami Ed. Różyckiego, Wysockiego lub Artura Gołuchowskiego.

Przyp. lit. o.:

Włodzimierz Antonowicz i Tadeusz Rylski należeli w r. 1864 wraz z L. Syroczyńskim i innymi chłopomanami do uni-

wersyteckiej polskiej organizacji w Kijowie, do spisku Trojnickiego i do Hromady; razem z nimi zakładali szkółki dla ludu i uczyli w nich, propagowali uwłaszczenie i t. d., ale później koledzy zerwali z Hromadą i z nimi obu stosunki, uważając ich za odstępców sprawy narodowej. I to wcale nie dlatego, że jak pisze Antonowicz (w swej spowiedzi w „Osnowie" r. 1862), ukochali więcej narowy szlacheckie niż lud, wśród którego żyli, ale za to, że oni, a zwłaszcza Antonowicz, nie dbali zupełnie o Polskę i zamiast ruchu narodowego, rozwijali tylko klasowy i to w duchu rusińsko-moskiewskim. Później, starając się o katedrę uniwersytecką w Kijowie, Antonowicz przyjął uroczyście prawosławie, a społeczeństwo polskie zerwało z nim i z Rylskim wszelkie stosunki za to, że sprawę narodową opuścili wtedy, gdy najwięcej ofiar i pracy wymagała.

Włodzimierz Antonowicz, ur. 1834 r. w Machnówce (gub. Kij.), spędził dzieciństwo i młodość smutnie z niedobrą matką (Moniką z Górskich) wśród społeczeństwa polskiego, o którem później mówi z największą niechęcią. Ukończywszy gimnazjum w Odesie, studjuje medycynę, później historją w uniwersytecie kijowskim, który kończy 1860 r. i zaczyna wykładać historją w korpusie kadetów, zaś 1863 r. wstępuje w służbę rządową przy gen. gub. Kijowa. O pobycie swoim w Kijowie (1856—63) pisze z goryczą i niesprawiedliwością o młodzieży i całej szlachcie polskiej na Ukrainie (pisze w „Osnowe", miesięcznik w Petersburgu), zarzucając obywatelstwu naszemu sobkostwo i uleganie wpływowi Jezuitów. Po przyjęciu prawosławia, karjera Antonowicza idzie gładko: obsypany przez Rosję zaszczytami i orderami, wykłada w duchu właściwym sobie w uniwersytecie kijowskim historję południowej i zachodniej Rusi, wydaje dzieła i broszury. Umarł w Kijowie 1908 r.

Tadeusz Rylski, syn Rozesława i matki księżniczki Trubeckiej, urodził się w Stawiszczach 1840 r. W 1858 r. wstąpił na wydział filolog. histor. do uniwersytetu kijowskiego i stał się ulubieńcem kolegów i ich reprezentantem gminy ukraińskiej, ale we trzy lata później (1861 r.) zerwał z ogółem polskim, drukując (w „Osnowie" Petersb.) artykuł o szlachcie z prawego brzegu Dniepru, w czem zarysowuje się zamiar zerwania z polskim żywiołem na Rusi. W r. 1863 poświęca się

studjom ekonomicznym, wówczas gdy wszystko wre i we krwi tonie; później (1875 i t. d.) pisał do „Głosu“ Warsz. (Wspomnienia pradziada, epizod z dziejów Koliszczyzny, czyli rzezi i t. d.). Ożeniwszy się z Ludgardą Rylską, wyjeżdżał zagranicę (1866 i 67) i zbliżał się we Lwowie do kolegów emigrantów, ale po rychłym jej zgonie usunął się zupełnie od polskiego społeczeństwa, osiadł w dziedzicznej Romanówce (pow. Skwirski), ożenił się powtórnie, ale już z włościanką tej wsi, dzieci wychował w religji prawosławnej. Umarł 1902 r., otoczony żalem przez gromadę włościan, dla której założył szkółkę i sam w niej uczył, którą obsypał dobrodziejstwami. — Rusini anektują sobie T. Rylskiego i słusznie, ale niesłusznie na karb jego ukrainizmu zapisują czyny dodatnie, spełnione dawniej w gronie kolegów Polaków. Dla nas jest on odstępcą sprawy narodowej. L. S.

Przyp. lit. u.: **Powstanie 1863 r.**

Za broń chwyciło na razie 10.000 powstańców; mieli 600 strzelb i 6 armat. Przeciw nim armja 90 tys., 108 dział; prócz tego na Litwie 60 tys., a 45 tys. na Rusi.

Pomimo że Szkoła Główna potępiła wybuch, młodzież z instytutu w Puławach poszła co do jednego, a łączyła się z nią i młódź krakowska (Puławiacy legli wszyscy pod Słupczą w lutym). Na Podlasiu ruszyła drobna szlachta, czeladź, robotnicy; wodzami: Rogiński, Lewandowski, Sokół. W ośrodkach przemysłowych (Wąchock, Zagłębie i t. d.) powstali pod wodzą Langiewicza i Kurowskiego. W Płockiem prowadzili Sztejnkeller, Padlewski; w Lubelskiem: Lelewel, Nieczaj, Bohdanowicz.

W lutym walczono rozpaczliwie, staczając 80 potyczek z górą: pod Wągrowcem robotnicy-kosynierzy giną wszyscy. Mierosławski, wódz naczelny, pobity i ranny (Nowowieś. Krzywosąd) uchodzi za granicę.

Wtenczas pod wpływem ks. Wład. Czartoryskiego szlachta przystępuje do powstania; chwilowo dyktatorem Langiewicz, ale wyparty z oddziałkiem 4 tys. do Galicji i aresztowany tamże. — Biali nadają całemu ruchowi charakter narodowy (wszechpolski); powołują Litwę i Ruś do broni; tworzą też Rząd Narodowy z pięciu członkami. Na Litwie dowodzą ks.

Mackiewicz (który na Żmudzi rok cały się trzymał), Sierakowski, Narbutt, Kołyszko, ale tam zaledwie miesiąc (z wyjątkiem Żmudzi) utrzymało się powstanie. Przyszedł Murawjew i okrutne represje (na Litwie i Białorusi).

Na Ukrainie gorzej, bo w przeciągu tygodnia (od końca kwietnia star. stylu) powstanie zgniecione zostało przez siły chłopskie z małą pomocą wojska, wśród strasznych okrucieństw. W Kijowie 1500 ludzi oddano pod sąd wojenny, a 6 przywódców rozstrzelano.

Na Wołyniu około trzech tygodni trwała ruchawka, podtrzymywana uprzez szlachtę, a wrogo traktowana przez lud. Odznaczył się Różycki.

Na Podolu szlachta nie powstawała (oddziały z Galicji pobito).

Na Polesiu w Pińszczyźnie Traugutt przez sześć tygodni walczył. W Mińszczyźnie krócej trwało. W Inflantach (Łotwa) i Witebszczyźnie chłopi zdusili ruch w zarodku.

Rosja widząc, że Europa nie ujmie się za Polską (odrzuciła noty mocarstw), uruchomiła jednak 400 tysięcy wojska. W Warszawie hr. Berg, srogi, zastąpił W. Ks. Konstantego i Wielopolskiego. Przeciw olbrzymiej armji moskiewskiej walczą nasi: Chmieleński, Taczanowski, Kononowicz, Kruk, Czachowski, Wawer, Jankowski, Krysiński i t. d. W październiku dyktatura Romualda Traugutta. Na Południu Królestwa walczą: Bosak, Hauke, Murecki i t. d.; na Podlasiu ks. Brzósko (powieszony w maju 1864 r.), Wróblewski i t. d.

Nadeszła sroga zima (1863—64), powstańcy ginęli jak muchy, a 15 tys. musiało się poddać. Dowódcy, którzy nie wyjechali za granicę, zginęli lub zawiśli na szubienicy.

Traugut zawarł sojusz z rewolucjonistami Włoch i Węgier, powołał lud do posp. ruszenia w imię rewolucji, ale już było zapóźno.

W marcu 1864 r. car uwłaszczył chłopów, którzy odtąd odwracają się zupełnie od powstania. — W Wilnie powieszono Kalinowskiego, w Warszawie aresztowano całą organizację narodową z Traugutem (straceni 5 sierpnia). — W maju 1864 ustały potyczki (tylko na Podlasiu trwa oddziałek ks. Brzóski rok jeszcze). Powstanie zgniecione ogromną przewagą sił wro-

gich i okoliczności. Rozpoczyna się reakcja i straszne represje. Egzekucje trwają do początków 1865 r.

W powstaniu stoczono ogółem 1000 bitew; legło 25 tys.; wyroków śmierci około 400 wykonano. Innych wyroków (na katorgę i roty aresztanckie) w samem Królestwie 12 tysięcy. Straty materjalne były ogromne (w Królestwie skonfiskowano 1660 majątków; na Litwie 1794 majątki).

W zaborze Pruskim: w Berlinie sądzono (lipiec 1864 r.) 127 oskarżonych, ale wielu zwolniła amnestja.

WAustrji prześladowano zajadle tych, co popierali powstanie, a z 8 tys. aresztowanych skazano 24 na ciężkie kary.

I w społeczeństwie naszem nastała reakcja: wielu ludzi potępiało powstanie za klęski, jakie ściągnęło na kraj.

Powstanie Zabajkalskie, ostatnie echo insurrekcji 1863 r., był to tak zwany „bunt" zesłańców na Sybir do katorgi, pod wodzą Celińskiego i Szaramowicza w jesieni 1866 r. Rozbroili oni straż i próbowali z bronią w ręku przebić się do Chin; ale zgnębieni przez głód, ulegli wysłanemu w pogoń wojsku. Pięciu przywódców rozstrzelano w Irkucku 8 listopada 1866 r. — pisze J. Grabiec: patrz II „Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego".

Przyp. lit. t.:

Manifestację Horodelską 10 października 1861 organizował ks. Laurysiewicz z Ukrainy i Apollo Korzeniowski z Lubelskiego (od ziemian), później z Kijowa wygnany do Wołogdy (i Czernigowa), skąd ciekawe pisywał listy.

Przyp. lit. w.: **Stracenie Żulińskiego i t. d.**

W dniu 5 sierpnia 1864 r. w obliczu szeroko rozłożonej Warszawy Moskale wznieśli rusztowanie, a na niem szubienice dla pięciu ostatnich członków Rządu Narodowego. Od rana ulice wiodące ku cytadeli przepełnione były ludem; przed godz. 9 rano kilkadziesiąt tysięcy ludzi obojej płci i wszystkich stanów zaległy obszerny plac przed szubienicą. Rząd moskiewski egzekucję odbyć postanowił z całą pompą katowską. Kilkanaście tysięcy wojska stanęło wokoło szubienicy, — generałowie i dygnitarze moskiewscy zajęli miejsca tuż przy szafocie. Policja i żandarmerja trzymały lud w oddaleniu.

Na wschodniej stronie nieba wznosiła się mgła w powietrzu, zasłaniając słońce. Poranek sierpniowy wstawał smutny i ponury, jakby płacząc przed nędzą tej ziemi nieszczęśliwej. Wtem około 8-mej zrana zaczęło się wyjaśniać i naokoło słońca wytworzyło się dziwnie piękne i ogromnej siły świetlane koło. Niezwykłe to zjawisko wywołało ogromne wrażenie, nietylko na Polakach, ale i na Moskalach. Patrzcie zbrodniarze, — wołał lud głośno ze wszystkich stron, — Bóg zsyła aureolę męczennikom, robi ich Świętymi swymi.

Uderzyła 10-ta godzina. Z ponurych bram cytadeli wysunął się posępny orszak. Członków Rządu Narodowego wieziono na nędznych wózkach dla większej pogardy. Obok skazanych byli księża, a wokoło żandarmi, wojski i kaci. Jadący pogodną twarzą i ukłonami żegnali ludność. Pięciu wolnych synów ziemi, krwią tylu ofiar nasiąkłej, szło na śmierć męczeńską po pięciomiesięcznych cierpieniach, których wyobrażenie daćby mogła chyba tylko inkwizycja. — Szli na śmierć wymyślnie przygotowaną przez wroga, szli spokojnie z krzyżem przebaczenia w ręku, wobec ojców, matek, sióstr i braci, pośród wielotysięcznego tłumu rodaków, łkających na ten widok, przypominających Golgotę, szli umierać za swoją ideę i wiarę, na odkupienie grzechów ojców naszych. Nieludzka ceremonja czytania długich wyroków wywołała głęboki jęk z piersi zgromadzonych. Kobiety padły na kolana, głosy modlitwy wzniosły się do nieba. Zagrzmiały bębny, ujrzano Jeziorańskiego, jak szybko wbiegł na rusztowanie i pierwszy zawisnął; za nim wstąpił Żuliński i z zimną krwią własnoręcznie powróz założył około szyji. Tak wstępowali jeden po drugim członkowie ostatniego Rządu Polskiego pod swoją szubienicę, kat zarzucał kaptur na oczy, podrywał schodki i wkrótce w powietrzu zawisło pięć trupów, których Polska nigdy nie zapomni. Płacz i łkania z tysiąca piersi wtórowały hucznej muzyce, która grała obok rusztowania.

Przez dwie godziny ciała wisiały obok siebie na jednej szubienicy. W pół godziny po ich skonie znikło świetlane zjawisko na wschodniej stronie nieba.

O godz. 12-tej zdjęto i powieziono. Gdzie ciała ich za-

kopano, niewiadomo, lecz imiona ich na zawsze zostaną wyryte w sercach rodaków.

Przyp. lit. h.:

Stanisław Roszkowski (ur. w Irkucku 1844 r.), wysłany na Sybir na „posielenie" w końcu 1865 r. do gub. Jenisejskiej, pozyskał sobie życzliwość miejscowego miljonera Bazilewskiego, który mu powierzył (chociaż skazańcowi) zarząd jednego ze swych „pryisków" (kopalni złota), gdzie Roszkowski umieścił rozmaitych kolegów swych rodaków, wynajdując im stosowne zajęcia. Sam jednak zdenerwowany długiem więzieniem i tęsknotą za krajem, wpadł w melancholję, którą rozproszyło dopiero przybycie na Sybir rodziców (ojciec jego Adolf R. po raz trzeci odbywał tę wędrówkę, gdyż sam był dwukrotnie zesłańcem) i młodziutkiej siostry Julji (także ongiś na Sybirze urodzonej). Matka jego Antonilla R., także doświadczona w sprawach sybirskich, jak niegdyś dla męża, tak obecnie dla syna urządziła w tajdze (puszczy) dom, który stał się ogniskiem, gromadzącem całe młode grono wygnańców, stęsknionych za Ojczyzną. Sprowadzono aż z Petersburga fortepian i nieraz po całodziennej pracy młodzież wywijała dziarsko mazura, odbijając sobie nawzajem jedyną w tem gronie pannę, której matka przygrywała do tańca, a potem wszyscy razem śpiewali pieśni narodowe. I tak wśród sybirskiej puszczy rozkwitało to polskie grono, jak roślina egzotyczna wśród lodów Północy. — Po kilku leciech wrócony wskutek jakiejś amnestji do kraju, zastał Stanisław dawną małą Maryjkę już dorosłą i zaręczoną (z prof. T. Św.). Sam też ożenił się z Zofją Papłońską, córką znakomitego pedagoga Papłońskiego (dyr. Inst. Głuchoniemych w Warszawie) i wyjechał na studja politechniczne zagranicę (do Karlsruhe i Charlottenburga). Po ukończeniu takowych wrócił do kraju i przez lat dwadzieścia kilka oddawał się gorliwie pracy, ożywionej zawsze szlachetną dążnością obywatelską. Nie zamykając się w ciasnym zakresie życia rodzinnego, podejmował rozmaite sprawy rozleglejsze, czyto administrując większe fortuny znanych obywateli (jak hr. J. Mołodecki, hr. R. Bniński, hr. Konst. Potocki, I. J. Paderewski, z którym go przez szereg lat serdeczna łączyła przyjaźń), czy organizując spółki,

podejmując wspaniałe przedsięwzięcia, jak wzniesienie pięknej panoramy przy ulicy Karowej, udział w zbudowaniu Bristolu w Warszawie i t. p. — Niezmordowany w pracy, znajdował jednak chwile, w których pisał broszury, tchnące miłością dla społeczeństwa i wzniosłym na świat poglądem (np. „Polityka obowiązku").

Poważny, zamknięty w sobie, zbłądził w tem, że nie dbał o popularność, nie lubił zwierzać się ze swych zamiarów i czynów, krył się z dobremi uczynkami, jak inni z przestępstwami popełnianemi. Surowy dla siebie, nie zawsze umiał być pobłażliwym dla innych i tym sposobem tworzył sobie nieprzyjaciół. — Boleśnie dotknięty stratami rodzinnemi w ostatnich paru latach życia, wśród ciężkich cierpień fizycznych, nie zapomniał o tem społeczeństwie, dla którego przedtem pracował i rozporządził większą częścią mozolnie zdobytego mienia na cele publiczne i narodowe (ale i to źli ludzie zdołali unicestwić).

Zmarł w Krakowie 1902 r., nie zaznawszy szczęścia osobistego, ale wierny ideałom młodości i tradycji ojczystej.

Przyp. lit. ss.:

Szumowscy przebyli na wygnaniu do roku 1867 i zostawili trzy mogiłki w Orenburgu. We dwa lata po Stasiuni urodzony Marjanek dożył do lipca i w 15 miesiącu życia umarł z dysenterji, ku rozpaczy rodziców, a przedtem jeszcze Babunia Szumowska do grobu zeszła. Jesienią 1867 r. pozwolono wygnańcom wrócić, ale już nie do Kijowa, broń Boże, ale do Lublina, gdzie naszego geografa zamiłowanego mianowano prof. łaciny w gimn. lubelskiem. Szczęście, że i ten przedmiot dokładnie posiadał, a i tu pozyskał szacunek i poważanie uczniów, miłość kolegów.

W temże gimnazjum Zygmuś B. Kozieradzki (Mucha) skończył nauki, biorąc złoty medal, ostatni, jaki tego właśnie roku wydano w gimn. lubelskiem. Później studjował w Zurichu inżynierją, a wróciwszy do kraju, był przy budowie kolei Nadwiślańskiej. Umarł w 33-cim roku życia w Mohylowie Podolskim z wypadku.

Aleksander zaś Szumowski po kilku leciech profesury w Lublinie, przeniesiony został do Warszawy. Wandzia Szu-

mowska, która wyjechała młoda, piękna, kwitnąca z Kijowa (w 1863 r.), wróciła jak widmo samej siebie, zmieniona wymizerowana, zbolała stratą dwojga jedynaków. Szczęściem urodziła się niebawem Lublinianka, ubóstwiana przez rodzinę całą Tolcia, później artystka-muzyczka (Adamowska, żona wiolonczelisty Józefa) i działaczka-patriotka nasza w Ameryce; w czasie wielkiej wojny (1914) dużo zdziałała dla kraju.

Przyp. lit.: cz.: **Co czytać z owych czasów?** (dla młodzieży i starszych).

Grabca: **63 rok.** — **Dziecko polskie w latach niewoli i walk,** — zebrała Reuttówna (Wilno 1920 r.). — Stef. Brykczyńskiego: **Wspomnienia 1863 r. powstania.** — Bolesławity: **Dzięcię Starego Miasta** (także **Czerwona Para, Czarna Perełka** i. t. d.). — Choynowskiego: **Kuźnia.** — Struga: **Ojcowie nasi.** — Jeża: **Od kołyski do grobu** i t. p. — Poręka (Ant. Mioduszewski): **Ze wspomnień kijowskich.** — Leon Syroczyński: **Z przed 50 lat** (2-gie wyd. 1914 r.). — **Cytadela warszawska,** wyd. 1916 (z Gordona, Jasińskiego i t. d. str. 154). — **Z doli i niedoli, wspomnienia wygnanki** (E. Tobeńska, str. 146).

SPIS RZECZY W „DZIENNICZKU".

Str.

5 O Krzemieńcu i ojcu moim.
6 Sybiracy.
9 Dzieła Mickiewicza.
11 Góra Czercza.
13 Unici.
14 Lampa naftowa.
15 Teatr polski.
16 Opowiadania Sybirskie.
18 Francuzi. Menażerja. Telegrafy. Dagerotypy.
21 Stoliki wirujące.
22 Rodzina Mamy.
23 Moje nauki.
25 Ogród nasz.
27 Poezje zakazane (Krasiński). Towiański.
28 Aleksander Jabłonowski. Bohowityn. Geograf.
29 O polityce: co się dzieje w Warszawie i t. d.
32 Dziad z lirą. Jeszcze o polityce. Litwa Car w Wilnie.
36 Garibaldi. Nabożeństwo żałobne. Manifestacje u nas. O Bismarcku i t. d.
38 Wieści z Warszawy. Listopad 1866.
39 Boże Narodzenie w Nowym Stawie. Wyżewscy.
43 Manifestacje krwawe w Warszawie. 25—27 lutego. 2 marca: Pogrzeb 5 poległych.
44 Wielopolski. Adres do cara.
47 Sprzysiężenie młodzieży. R. Żuliński. 8 kwietnia: Rzeź.
50 Żałoba. Śpiewy. Arcybiskup Fijałkowski.
52 Piszę, jak kronikarz. I u nas aresztują.
54 Manifestacja w Horodle. Październik 1861. Rzeź ludu i zamku. Kościołów. Szkoła Główna.
57 Zagranica (Czartoryski. Cuneo) i w Warszawie. Arcybiskup Feliński. Reformy Wielopolskiego.
58 W. Ks. Konstanty. Rewolucjoniści.

Str.
59 Zamachy w Warszawie.
60 Obalanie krzyżów. Poczajów.
62 Okolice Krzemieńca.
63 Hiszpan.
64 Dziady. S. Roszkowski.
69 Pogrzeby rozmaite. Żydzi.
70 Niebieska pończocha.
71 Zabawne nazwiska.
71 Anonim = Z. Krasiński. Katakoł.
72 Ważne rzeczy w Warszawie. W. Książę. Zamoyski. Wielopolski.
75 Czerwoni i Biali. Spiski.
76 Wrzód pęknie.
77 Choroba Mateczki.
78 Co to będzie?
78 Powstanie.
79 Przyjazd. Spiskowcy. Oficer.
83 Wierszyk. Śledztwo. Rewizja. Skok. Mały miatieżnik.
86 Stach w niebezpieczeństwie.
88 Wyjazd do Kijowa.
90 Żytomierz.
93 Kijów.
94 Przygoda w podróży.
97 Przybycie do Kijowa.
98 Na Peczersku. Forteca.
100 Biją się w Królestwie, a na Rusi przygotowania. Stryczek.
104 Powstańcy z Kijowa.
106 Coś się gotuje.
106 Krwawy powrót.
108 Złota Hramota. Sołowjówka. Zdrada.
111 Olszański.
113 Za kratą Więźniowie. Żałoba.
114 Powstanie na Rusi.
115 Jeńcy. Powitanie. Wesoły popas.
119 Poczta. Mały listonosz.
120 Cerkiew. „Hospody pomiłuj"!
122 Znajomi nasi. Poczęstunki.
124 Młodzież Kijowska.

Str.
126 Chłopomanja. Brynkiniada.
128 Znakomici Wołyniacy.
131 Napad. Noty.
133 Malarz bez rąk. Michaś.
134 Ucieczka więźnia.
138 Rewizja. Pocztarek. „Tołkueska".
138 Partje za Dniepr. Skazańcy. Etapy.
142 O cytadeli Warszawskiej.
412 Nowa klęska. Porwanie.
143 Do Orenburga! Pogoń. Kochani nasi wygnańcy.
146 Za Wołgę po lodach.
147 Orenburg: Listy.
149 Lekcje moje. Muzyka. Znów p. Miller.
151 Kolęda. A powstańcy?
152 Zesłańcy nasi w drodze na Sybir.
153 Niesłychany wypadek. Tunel. Ucieczka cudowna.
156 Sybirak, ale nie prawdziwy.
157 Wielkanoc dla więźniów. Pocałunek.
158 O sztuce.
159 Maleńka wygnanka.
160 Boguś. Dzieci polskie.
161 Wyjazd do Krzemieńca. Rodzina Pietraszkiewiczów.
162 W Żytomierzu. Wuj Justynjan.
163 Mogiłka w Orenburgu.
164 W Krzemienieckiem.
165 Znów w Kijowie. Pożegnanie przez kratę. Na Ukrainie. Mądre lektury.
166 Tęsknota. Mam już piętnaście lat!
167 Dowidzenia Dzienniczku!

ERRATA

na str. 6 w. 8 z góry Lerneta (nie Lerucha).